

Arcymistrz fantasy i SF

**Adam
Wiśniewski-Snerg**

TRZECIJA CYWILIZACJA



Książka i Wiedza

Adam Wiśniewski – Snerg

Trzecia cywilizacja

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

Dalej nie można było jechać. Zatrzymałem samochód w kępie drzew. Była piąta po południu. Zdążę, pomyślałem, stąd do groty jest około kilometra. Przedzierałem się przez zarośla kierując się ku zachodowi. W końcu trafiłem na rzadko uczęszczaną ścieżkę. Po kilku minutach marszu wyszedłem na sawannę. Przedemną, w oddali, ciągnęła się skarpa płaskowyżu podziurawionego otworami grot. Zawahałem się.

Znalezienie groty mogło być trudne. Byłem w niej tylko raz i to o zmroku. Zapamiętałem, że punktem orientacyjnym był stary baobab stojący kilkadziesiąt metrów przed jej otworem. Niestety, w pobliżu skarpy rosło kilka baobabów. Próbowałem przypomnieć sobie inny punkt orientacyjny. Był. Szeroka szczelina w skale, z lewej strony wejścia do groty. Teraz już pewnie ruszyłem przez sawannę, nieco na północ.

Podejście do groty było strome. Zadyszałem się. Gdy wsunąłem się do niej przez otwór wejściowy, ogarnął mnie przyjemny chłód i woń stęchlizny. Rozejrzałem się. Matomba powinien już tu być – pomyślałem zaniepokojony, siadając na głazie.

Przez owalny otwór wejściowy wpadało światło, oświetlając część kiszkiowatego wnętrza. Z jednej strony groty, po skalnej ścianie sączyła się woda, druga ściana była sucha. Dalej wszystko tonęło w mroku.

Nareszcie, pomyślałem. Już niedługo zobaczę Świętą Grotę Dogonów. Ja, pierwszy biały człowiek, ujrzę „dowody podstawowe”. Dowody na to, że przed tysiącami lat z układu Syriusza przyleciał na Ziemię kosmiczny statek, a istoty na nim przybyłe stworzyły na Ziemi cywilizację. Czy będzie to rewelacja w skali światowej, czy tylko jeszcze jeden prymitywny mit?

Nie byłem w stanie opanować podniecenia, nerwowo spojrzałem na zegarek. Była już szósta. Poczułem jak ogarnia mnie strach. – Matomba się spóźnia... Podniosłem się z głazu i zapaliłem latarkę. Odruchowo ruszyłem w głąb groty. Nagle coś zauważyłem w świetle latarki. Podeszedłem bliżej. Pod ścianą leżał człowiek. Od razu go poznałem.

Krew odpłynęła mi z głowy, a nogi opanowało drżenie. Przedemną leżał trup Matomby. W jego piersi tkwił nóż, a w usta miał wciśnięty kamień. Szkliste oczy patrzyły na mnie – był w nich zwierzęcy strach.

Uciekać! Szybko! – pomyślałem.

Wysiłkiem woli opanowałem drżenie i wyjąłem z kieszeni pistolet. Odbezpieczyłem go i wsunąłem za pasek spodni. Rozejrzałem się wokół, ale nie zauważyłem nic podejrzanego. Zacząłem się wycofywać.

* * *

Dopiero na sawannie uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, kiedy zbiegłem na dół. Strach dodaje skrzydeł, pomyślałem. Szybkim krokiem ruszyłem teraz w stronę samochodu; obejrzałem się raz i drugi, ale nikt mnie nie ścigał.

Wszystko diabli wzięli, stwierdziłem. Muszę zacząć od początku. Szkoda Matomby. Pewnie był nieostrożny, a może się wygadał? Gra idzie o dużą stawkę. Oni nie cofną się przed niczym...

Gdy dotarłem do pierwszych drzew i zarośli, obok mojej głowy przeleciał oszczep i wbił się w pobliski pień drzewa. Sięgnąłem po pistolet i błyskawicznie się odwróciłem, ale za mną nikogo nie było. Nie odważyłem się przeszukać zarośli. Zerknąłem na oszczep. Miał długi stalowy grot. Jego drzewce drżało jeszcze od siły uderzenia.

Nie pamiętam, jak przedarłem się przez gąszcz do samochodu. Ale kiedy już znalazłem się w nim, przed oczyma miałem jeszcze ten obraz: błyszczące szklisko, przerażone oczy Matomby i jego białe silne zęby zaciśnięte na tkwiącym w ustach kamieniu.

Zrozumiałem ostrzeżenie. Matomba będzie milczał – jak kamień. A ja? Mam się strzec. Następnym razem oszczep utkwi w moich plecach.

Dopiero drugiego dnia po południu zatrzymałem auto przed swym bungalowem. W pobliżu kopalni manganu, niedaleko Timbaktu.

Na tarasie siedziała Izabela, demonstracyjnie zagłębiała w lekturze. Miało to oznaczać, że nie zauważyła powrotu męża.

– Witaj, kochanie! – zawołałem, wysiadając z samochodu. – Mam nadzieję, że zdążyłem na obiad?
– Już jesteś? – Izabela raczyła mnie zauważyć. – A czy wiesz może, jaki to dzisiaj dzień tygodnia?
– Jej głos miał tonację jadowito-ironiczną.

– Sądzę, że sobota – odparłem potulnie.
– Świetna orientacja – pochwaliła. – To może jeszcze przypomnisz sobie, kiedy obiecałeś wrócić do domu? – Teraz jej głos wibrował o ton wyżej.

– Obiecałem, że będę z powrotem w środę, ale...
– Bez żadnych ale! – krzyknęła. Gdy dżentelmen obiecuje wrócić w środę, to w środę się zjawia. Albo nie jest już dżentelmenem!

– Pozwól sobie wyjaśnić – zacząłem. – Wszystko przez awarię samochodu. Dwa dni straciłem na naprawę.

– Nie wierzę! – wykrzykiwała dalej swoje. – Oszukujesz mnie!
– Izo, kochanie – zacząłem czule. – Kiedy ja cię oszukałem? Dlaczego nie masz do mnie zaufania? Już mnie chyba nie kochasz – rzuciłem z dobrze udaną nutą gorzkości. Teraz była już bliska płaczu. – I dlatego robisz takie sceny...

– Robię sceny, bo ty ciągle gdzieś się włóczysz, a ja ciągle siedzę tu sama. Nie jestem jeszcze wdową ani rozwódką, aby oglądać na okrągło puste kąty, a męża widzieć przez dwa dni w tygodniu.

– Przesadzasz, możesz przecież jeździć ze mną.
– I tak właśnie zrobię! – oświadczyła kategorycznie. – Od teraz będziemy jeździć razem!
– Świetnie – ucieszyłem się. – I po problemie, jak widzisz.

– Myj się lepiej i przebieraj, bo za pół godziny podadzą obiad – weszła w rolę pani domu, co oznaczało zakończenie incydentu.

Westchnąłem z ulgą i poszedłem do łazienki.

Trudno, stwierdziłem w myśli. Każda kobieta, niezależnie od wykształcenia i zapasu tolerancji, w pewnym zakątku swej świadomości jest dyktatorką. Iza nie jest, niestety, wyjątkiem od tej reguły.

Mieszkałem w Timbaktu od pięciu lat. Po skończeniu politechniki z dyplomem inżyniera górnika przyjechałem do Republiki Mali, zachęcony wynagrodzeniem znacznie wyższym od tego, jakie oferowano mi w rodzimej Anglii. Pracowałem tu jako główny inżynier w kopalni manganu. Przed rokiem ożeniłem się z córką francuskiego plantatora bawełny.

Poza pracą zawodową miałem oryginalne – jak na inżyniera – hobby. Interesowała mnie etnografia i archeologia. Swój wolny czas poświęciłem więc na wyprawy w teren. W towarzystwie czarnego służącego i lokalnego przewodnika krążyłem po murzyńskich wioskach, zapuszczałem się w głąb dżungli, sawanny i pustkowi. Sypiałem wtedy w chatkach tubylców, w samochodzie i w łodzi. Lokalne choroby jakoś mnie omijały. Zdobyłem dużo wiadomości etnograficznych, a przy okazji przyjaźń i zaufanie czarnoskórych wodzów i czarowników. Poznałem zwyczaje i gnozę szczepów: Malinke, Bambara i Dogonów. Ci ostatni interesowali mnie najbardziej.

Nasze mieszkanie mogło z powodzeniem pełnić funkcję oddziału jakiegoś muzeum. Z każdej wyprawy przywoziłem broń, maski, narzędzia i przedmioty kultu. Robiło się coraz ciasniej. Większe eksponaty ustawiałem już na tarasie, ale nie rozwiązywało to problemu „przestrzeni wystawowej” – jak mówiła Izabela.

Kiedy zasiedliśmy do obiadu, spytała:

– Co tym razem przytargałeś do domu?

– Drobiazgi – usiłowałem zbagatelizować problem. – Kilka masek i jednego bożka.

– I gdzie to postawisz?! Każdy kąt w mieszkaniu zastawiony, już ruszyć się nie można!

– Wkrótce wybuduję specjalny pawilon i zabiorę z domu wszystkie eksponaty – obiecałem.

– Niby kiedy? – spytała z nutą niewiary w głosie.

– Nie wiem jeszcze dokładnie, ale na pewno w tym roku.

– Słowo?

– Słowo!

– To pocałuj mnie. Już się za tobą stęskniłam.

Skwapliwie skorzystałem z zaproszenia, ale pojednanie przerwał służący, który przyniósł drugie danie.

– Powiedz mi – zaczęła Izabela, gdy zostaliśmy sami – po co to wszystko zbierasz? Można mieć kilka eksponatów w celach dekoracyjnych, ale takie ilości?

– Moja droga – usiłowałem jej wytłumaczyć – myślę, że motywy kierujące postępkami człowieka nigdy nie bywają całkowicie jasne ani dla innych, ani dla niego samego. Jeśli chodzi o mnie, ja po prostu to lubię. Jestem ciekawy, chcę wiedzieć. Patrzę może nieco inaczej niż inni na naszą dymiącą i owrzodzoną planetę. Widzę szamoczącego się człowieka, który chce rozbić ściany więzienia własnych ograniczeń, tkwiących w nim samym. A mimo to zafascynowany jest sobą. Człowieka, który jest pyszny, butny i dumny ze swych osiągnięć, a przecież to wszystko nie tak. Chcę zrozumieć dlaczego jest tak, a nie inaczej. Szukam źródła. Pierwotne kultury nie skażone przez cywilizację i religię są właśnie dla mnie takim źródłem poznania.

– Twierdzisz, że Afrykanie nie są skażeni przez religię – wtrąciła się w mój wywód. – A mają przecież swych bożków, obrzędy, gnozy i mnóstwo zabobonów...

– Nie rozumiałaś. W Afryce dawniej nie było religii, prawa, moralności i nauki jako wyodrębnionych autonomicznych dziedzin kultury. Była jedna aglomeracja przeświadczeń będąca wszystkim. Ich wierzenia funkcjonowały w świadomości, tak jak w naszej świadomości funkcjonuje nauka. Były ogólną teorią przyrody, wyjaśniającą zjawiska nie dające się zrozumieć w kategoriach zdrowego rozsądku. Owa teoria przyrody u różnych szczepów stała na różnym poziomie złożoności. Nieraz obejmowała cały kosmos – wszystko, co istnieje. Afrykanin nie czuł lęku, jego świat był zrozumiały, bo był wyjaśniony. Ich wierzenia wyrażały dla nich prawdę absolutną.

– Zgodzę się, że nie są to religie w europejskim sensie tego słowa – przyznała. – Ale ich „ogólna teoria przyrody” w konfrontacji z oficjalną nauką jest po prostu śmieszna. Przykład: rozbudowana astronomia szczepu Diola, wyrafinowana psychologia Aszantów. To przecież bzdury. Tyle czasu włóczysz się po wioskach, zbierasz, spisujesz... Co poznałeś? Czy jesteś pewien, że nie jest to czas stracony?

– Przesadzasz! – zaprotestowałem. – Uważasz, że tak łatwo rozwikłać problemy ich wierzeń? Musisz przyznać, że ostatnie dwa wieki chyba nie natchnęły ich zaufaniem do białych. A co do tego niby straconego czasu, to zapewniam cię, iż nie jest on do końca stracony. Zgadzam się, że dużo w tym wszystkim jest plew, ale bywa i ziarno. Takim ziarnem jest gnoza Dogonów.

Parsknęła śmiechem.

– Zwariowałaś? Gnoza Dogonów! Zafascynowałaś się arką, którą przyleciał z kosmosu jakiś Nommo, lądując w jeziorze Debb?! To znają wszyscy dookoła już na pamięć. Przez kilka lat pracowała nad tym ekipa „zafascynowanych” etnologów, i bez rezultatu.

Spokojnie odstawiłem talerz i nalałem w kieliszki wina, potem zapaliłem papierosa i dopiero gdy wypuściłem kłęb dymu, odparłem:

– Sądzę, że gnoza Dogonów jest przekazem dla tych, którzy będą w stanie go zrozumieć. Dogoni są jedynie nośnikami przekazu. Mnie nur tuje pytanie, kto był jego nadawcą? Z analizy gnozy wynika, iż zawarta jest w niej wiedza, do której Dogoni nie mają prawa. Nigdy nie mieli pod staw technicznych i naukowych, aby tę wiedzę mogli osiągnąć. Biorąc pod uwagę, że tę gnozę mają od niepamiętnych czasów – bo nikt nie jest w stanie ustalić od jak dawna – wyprzedzili oficjalną naukę o kilka wieków. Są tam informacje o budowie materii, o zasadach przemiany materii w energię i odwracalności tej reakcji. Poza tym mnóstwo wiadomości o materii żywej, życiu, astronomii, a w szczególności o Syriuszu. Te dane są na poziomie wiedzy dwudziestego wieku, a często ją wyprzedzają. Oczy wiście, że dla nich nic z tego nie wynika. Są to formułki zredagowane w ten sposób, by mogły być przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie. Gnoza jest przekazywana nielicznym wtajemniczonym czarownikom, którzy nie są w stanie zrozumieć jej treści. Ktoś starał się w mnemotechniczny sposób utrwalić w mózgach ich dalekich przodków teksty, aby były łatwo przekazywalne następcom.

– A ty masz zamiar rozwikłać ten gordyjski węzeł?

– Tak! Mam zamiar go rozwikłać! – przyznałem. – Ale pod warunkiem, że będę miał trochę szczęścia i dotrę do groty, w której są przechowywane „dowody podstawowe”. Na razie, mimo że łączą mnie z wieloma czarownikami więzy przyjaźni, nie udało mi się tam dostać.

– To jeszcze nikomu się nie udało – zauważyła Izabela. – Może innym zabrakło wytrwałości? Może woli walki? A może życia? Muszę cię ostrzec! Usiłowałam zbagatelizować problem, ale tak naprawdę to boję się o ciebie. Mieszkasz tutaj stosunkowo niedawno. Ja tu się wychowałam i lepiej znam miejscowe warunki. Ci Dogoni dobrze strzegą swych tajemnic. Zbyt ciekawi ludzie nie żyją tu długo. Zapadają na nieznanne, błyskawicznie postępujące choroby, często zostają ukąszeni przez jadowitego węża lub skorpiona albo znajdują ich z oszczepem w plecach. Proszę! Zrezygnuj z tego! Nie chcę cię stracić.

Spojrzała na mnie mokrymi od łez oczami, w których był strach i niema prośba. Przez chwilę patrzyłem w te jej zapłakane oczy i było mi naprawdę przykro, iż nie mogę wszystkiego wyznać. Musiałem jednak szybko się otrząsnąć z tej słabości.

– Nie zrezygnuję! Nie mogę – odparłem jej. – Każdy ma swoją ideę, która istnieje tylko wtedy, gdy człowiek do czegoś dąży, o coś walczy. W przeciwnym razie jest żywym kawałem funkcjonalnego mięsa, nadzianego przekonaniem. Nie mogę zrezygnować, bo to by znaczyło na samym progu działania przyznać się do porażki, zdradzić samego siebie. Muszę odrzucić strach, bo on właśnie wywołuje poczucie, że jesteśmy zatraceni, zagubieni w tłumie zdarzeń, w labiryntach przypadków. Mam wolę walki i chcę wytrwać w tej walce...

– Chcesz wytrwać w tej walce – powtórzyła za mną. – W walce o co? Co chcesz udowodnić?

– Chcę udowodnić, że historia ludzkości zaczęła się kilkanaście tysięcy lat wcześniej, niż uczą współczesne podręczniki historii. Aby to wykazać, muszę mieć dowody, które zmienią poglądy na rozwój ludzkości, na całą historię cywilizacji. Nauce nie wystarczy dogońska kosmogonia, konieczne są materialne dowody. Takie, co dadzą się zważyć, zmierzyć, polizać wreszcie. Wszystkie kosmogonie przez całe wieki były częścią teologii. Nigdy żadna religia nie zrezygnowała z twierdzenia, że Ziemia, a na niej człowiek, jest pępkiem kosmosu. Wiele wieków upłynęło nim

kosmosem zajęła się astronomia, ale nie znalazła w nim życia i istot rozumnych. Pogodzone się wprawdzie z faktem, że człowiek oderwał się od Ziemi, ale nigdy nie zgodzono się z tym, że w kosmosie mogą istnieć inne światy. Dlaczego? Bo istoty rozumne lądujące na Ziemi podważają zarówno dogmaty wiary, jak i dogmaty nauki nie mogącej pozbyć się autorytatywnej pewności siebie. Stanowisko religii opiera się na niezmiennym dogmacie... Z nauką sprawa jest z góry przesądzona i przegrana, bo większość jej przedstawicieli uważa, że wyjaśnili w dziejach człowieka wszystko, w sposób jednoznaczny, obiektywny i doskonały.

Zaległa cisza. Izabela zamyśliła się. Potem podniosła głowę i patrząc na dalekie wzgórza i zachodzące za nimi słońce, powiedziała:

– Urodziłam się kobietą i nie ma we mnie odwagi mężczyzny. Walka nie jest ideą kobiet. W kodzie zawartym w naszych genach zapisana jest inna idea. Kobieta, począwszy od praczasów, pragnie jednego: rodzić dzieci. Zmieniły się formy od praczasów, ale nie zmieniła się treść. To wy, mężczyźni, byliście zawsze wojownikami. Wy szliście z kamienną siekierą na jaskiniowego niedźwiedzia. Wy zabijaliście lub byliście zabijani. A my opatrywałyśmy wasze rany, rodziłyśmy wasze dzieci i przygotowywałyśmy wam posiłki. Niewiele się zmieniło od tych dawnych czasów. Dalej celem naszego życia jest rodzić dzieci. Wy, mężczyźni, jesteście tylko środkiem prowadzącym do celu. Nie jest ważnym, że jesteście już inne niż nasze prababki, że jesteście wykształcone, wyemancypowane, równouprawnione. To wszystko jest wielkim kamuflażem, bo kod zawarty w nas pozostaje niezmienny. Dlatego powtarzam, że nie ma we mnie woli walki, ale jest obawa, jest strach przed nieznanym. Boję się o ciebie, bo boję się o nasze wspólne życie, o nasze niepoczęte jeszcze dzieci. Strach o ciebie to strach przed tym, że mogę ich nigdy nie urodzić. Wybrałam cię na męża, bo cię kocham. A teraz boję się... Wiem, że natura zakodowała w was instynkt walki, ale w naszych czasach jest on już absurdem. Niestety wy, gdy nie macie o co walczyć, zawsze sobie coś wymyślicie... A teraz boli mnie już głowa i idę spać. Jestem na ciebie zła – dodała podnosząc się z krzesła.

* * *

Jechałem na północ do wioski Jugu Doru. Zbliżałem się do Sahary. Było tu coraz mniej roślinności, mniej drzew. Jeszcze tylko olbrzymie baobaby nielicznie zalegały horyzont. Wokół ciągnęła się typowa sawanna – żółta i wysuszona, poprządkana kępami kolczastych krzaków. Gdzieś sterczała rozłożysta sizalowa agawa lub kandelabrowy kaktus, ale było ich naprawdę mało.

Gdy skręciłem ku zachodowi, z horyzontu wyrosła przede mną skarpa płaskowyżu. Droga zwężyła się przechodząc w piaszczysty szlak. Koleiny stawały się coraz głębsze i coraz bardziej grząskie. Koła tonęły w sybkim piasku, silnik wył na wysokich obrotach. Widziałem już wieś. Spadające tarasami, pomarańczowo-rude, przyklepione do skał, gliniane dogońskie chaty. Po kilku minutach dotarłem do podnóża. Zostawiłem tu samochód i ruszyłem pod górę wiejską drogą, a raczej ścieżką wijącą się pomiędzy chatami, szopami i murkami oporowymi poszczególnych tarasików. Raz po raz musiałem przeskakiwać przez szczeliny i wielkie głazy.

Wieś sprawiała wrażenie wielkiego zaniedbanego rumowiska w ostatecznej nędzy i abnegacji. Większość domów była w stanie ruiny, tylko niektóre nosiły jakieś ślady pseudokonserwacji. Nie po raz pierwszy zadałem sobie pytanie: z czego ci ludzie żyją? Czy te małe wysuszone poletka mogą ich wykarmić? Wokół nie rosło ani jedno drzewo, ani jeden krzaczek.

Dotarłem do placu, a raczej do niewielkiego skalnego tarasu, otoczonego glinianymi chatami

i szopami krytymi strzechą. Już z dala słyszałem odgłos bębna i ostre tony piszczałek. Nie zdziwiłem się, gdy na placu zastałem gromadę Dogonów. Wśród grupy mężczyzn wyróżniał się czarownik.

Nie był jeszcze stary, ale mocno otyły. Ogony opadały mu na wymalowaną twarz i ramiona. Puszyste futerka powiewały przy każdym podmuchu wiatru. W sztucznie przedłużonym i przedziurawionym lewym uchu tkwiła zwierzęca kość, a ręce rytmicznie potrzęsały drewnianymi grzechotkami. Gdy mnie dostrzegł, zawołał: – Jambo masungu!

Zbliżyłem się wtedy do czarownika i z uśmiechem sugerującym wielką radość podniosłem rękę w geście powitania.

– Witaj. Munteso! – powiedziałem. – Przyjechałem w odwiedziny i mam coś dla ciebie – dodałem mrużąc domyślnie oko.

Czarownik odparł dość poprawnie po francusku:

– Ja się mnóstwo cieszę, ale teraz robię czary. Ty poczekał w ta szopa... – Wskazał ręką jedną z pobliskich chat.

Skinąłem głową i ruszyłem tam. Była to gliniana rudera, kryta sitowiem, bez okien. Zajrzałem do wnętrza. Bałagan był totalny. Porozrzucane po kątach kawały drewna, bębny, rogi krów i kóz, pióra. Przy palenisku cała sterta glinianych garnków. Na ścianach porozwieszane pęki ziół, skóry, maski, grzechotki. Wszystko to przetkane niezliczoną ilością pajęczyn. Nie miałem ochoty tam wchodzić.

Zatrzymałem się przed wejściem. Muntesa właśnie czarował. Na początek dał koncert na grzechotkach. Gdy wyczerpał repertuar, podano mu kurę, której poderżnął gardło, aby jej krwią pomazać sobie twarz i piersi. Zaraz po tym zaczął tańczyć w rytm bębnow. Jego zamglone oczy wodziły błędnie dookoła. Na ciele pomazanym krwią kołysały się w takt tańca naszyjniki z kości. W rękach pobrzękiwały grzechotki. Dogoni patrzyli na niego z szacunkiem i strachem, gdy na wpół pijany, na wpół w szale, zaczął śpiewać głosem urywanym, ale tak dzikim i potężnym, że żadne bóstwo nie mogłoby oprzeć się jego mocy. I nagle Muntesa wyprężył się i mocno odchylił do tyłu. Każde niemal włókno jego mięśni drżało i kurczyło się, twarz wykrzywiła się konwulsyjnie. Spieniona ślina toczyła się mu z ust, a na policzkach, czole i piersi wystąpił pot. Jakieś niezrozumiałe dźwięki, jakby życzenia, prośby, obietnice, nawoływania czy groźby wydzierały się z jego ciężko dyszącej piersi. Wskazywał na coś ręką, jakby znaczył nią linię w powietrzu, jakby kogoś prowadził czy przywoływał. Wreszcie zaczął się chwiać na nogach, rzucać głową, drzeć, jęczeć i padł omdlały na ziemię.

Czary były skończone. Czterech mężczyzn podniosło go z ziemi i wniosło do szopy, gdzie położyli go na legowisko. Pozostałem sam na sam z nieprzytomnym czarownikiem.

Minęło prawie dwadzieścia minut, nim zaczął dawać oznaki życia. Poruszył się i otworzył oczy. Wreszcie usiadł na legowisku, a potem patrząc na mnie spytał: – Co mi przywiozłeś?

– Whisky – odparłem, podając mu butelkę.

Twarz Muntesy rozjaśnił uśmiech zadowolenia. Chwycił butelkę, błyskawicznie poradził sobie z nakrętką i zdrowo pociągnął, nim spytałem:

– Co czarowałeś?

– Ukradli dwie krowy, rzuciłem klątwę na złodzieja – wyjaśnił pomiędzy dwoma łykami. – A ty jaką masz sprawę?

– Chcę z tobą porozmawiać o waszych wierzeniach. Może coś mi znowu opowiesz...

– Opowiem? Jasne, że opowiem, bo dobry z ciebie buana. Whisky przywozisz... Zastanawiał się przez chwilę. – Tego jeszcze nie słyszałeś”. Działo się to mnóstwo lat temu, a było wtedy bardzo, bardzo wielu ludzi na świecie. Śmierci nie znali, więc żyli wiecznie. Byli jednak dumni i kłótniwi, więc rozgniewał się na nich Bóg Amma, który losami ludzkimi kierował, i zrzucił im na głowy całe

sklepienie niebieskie, tak że wszyscy zginęli na miejscu. Ale Amma był mądry, bardzo mądry, a mądrość nie pozwala burzyć złe i na to miejsce nie dać lepszego. Toteż po jakimś czasie zesłał on na Ziemię w ognistej arce dwoje ludzi. Był to mężczyzna Nommo i kobieta Gaaja. Z tej pary urodził się syn i dwie dziewczyny, a ze związku tych trojga pochodzą wszyscy ludzie.

– A skąd się wzięła ta arka? – spytałem.

– Przyleciała z gwiazd – odparł bez namysłu Muntesa.

– Wierzycie w te opowieści, ale czy to jest prawda – udawałem, że nie dowierzam. – Nie macie przecież żadnych dowodów...

Muntesa roześmiał się.

– Oj, buana! – zawołał. – My na to mamy dowody. Wszystko, co ci do tej pory opowiedziałem, jest prawdą. Każde słowo. Każda opowieść.

– I gdzie niby macie te dowody? – rzuciłem mimochodem.

– W Świętej Grocie leżą dowody podstawowe – odparł ostrzejszym tonem czarownik. – Ale nic do nich białym, to nie dla nich...

Po tych słowach zapadła cisza zakłócana tylko bulgotem alkoholu wlewanego do gardła Muntesy. Odczekałem jeszcze chwilę.

– Ile masz kobiet? – zapytałem nagle czarownika.

Na twarzy Muntesy odbiło się zdziwienie. Był zaskoczony pytaniem.

– Trzy – odpowiedział.

– Tak mało? – zdziwiłem się. – Taki mężczyzna i tylko trzy kobiety! Dlaczego nie masz więcej?

Muntesa roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

– Oj, buana, buana. Ty nic nie rozumiesz. Biała kobieta nic nie kosztuje. Czarna kobieta dużo kosztuje. Trzeba zapłacić jej ojcu okup. Duży okup, duże pieniądze.

– A chciałbyś mieć więcej kobiet? – naciskałem go dalej.

– Czy chciałbym? – powtórzył czarownik. – Pewnie, że chciałbym. Kobieta dobra rzecz, ale nie mam pieniędzy. Czasy są ciężkie. Bardzo ciężkie. Mało czarować, mało zarabiać.

– Dam ci pieniądze! – powiedziałem szybko. – Dam tyle, że wystarczy ci na trzy kobiety i stado krów. Za to coś dla mnie zrobisz...

Czarownik odrzucił pustą już butelkę i utkwiał we mnie oczy. Twarz mu stężała, a całe ciało wyrażało napięcie.

– ...zaprowadzisz mnie do Świętej Groty i pokażesz dowody podstawowe – dokończyłem.

Czarownik wstał z legowiska i zbliżył się do mnie. Zbladł. Widziałem na jego twarzy grę uczuć. Chciwość walczyła ze strachem, kroplisty pot wystąpił mu na czole. Ważył wszystkie za i przeciw, ale strach zwyciężył. Ręce zaczęły mu drżeć jak w ataku febry. Wiedziałem już, że przegrałem, nim usłyszałem odpowiedź.

– Nie, buana! Tego nie zrobię! Grota jest tabu. Nie chcę twoich pieniędzy. Chcę żyć. Spadłaby na nas klątwa i zemsta, duchów i ludzi. Duchy można przebłagać, ale nie można przebłagać ludzi. Odejdź stąd i nie wracaj. Radzę ci, buana, zaniechaj swych zamiarów. Ciekawi naprawdę umierają szybko! – orzekł proroczo.

* * *

Kolację jedliśmy w milczeniu, przeżywałem gorycz porażki. Może zrezygnować? Wiedziałem jednak, że nie zrezygnuję. Kochałem to – tę tajemniczość, niepewność, zagrożenie. Jednak nie ślepą miłością. Była to cyniczna, budząca pogardę we mnie samym, miłość mężczyzny do kochanki, której

w głębi duszy nie wierzył, ale bez której nie potrafił już żyć.

Ciszę przerwała Izabela:

– Dzwoniłam do ciebie. Powiedzieli, że wyjechałeś...

– Tak! Byłem w Jugu Doru.

– Umawialiśmy się, że będziemy jeździć razem.

– Oczywiście, ale na dłuższe wyprawy.

– A dowiedziałeś się czegoś ważnego?

– Nie, całkowite fiasko. Ani kroku naprzód! – przyznałem.

– Wiesz – zaczęła po chwili – myślę, że za bardzo się zaangażowałeś. Cała dogońska gnoza z ich Świętą Grotą i „dowodami podstawowymi” może być zwykłym blefem. W najlepszym przypadku, w którejś z grot mają zgromadzone różne rupiecie symbolizujące według nich to i tamto. Wprawdzie nikt z białych Świętej Groty nie widział, ale sądzę tu per analogiam. Badano przecież gnozy innych szczepów i co się okazało. Nie zawierają nawet załączka faktów naukowych, choć utrzymują, że wyjaśniają wszystko. Afrykanie mają dziwną psychikę. Gdy odebrać im wszelkie podstawy ich wierzeń – co ma miejsce w przypadku Afrykanów wykształconych – wcale nie przestają wierzyć w swoją plemienną gnozę. Wszystkie swe przekonania nazywają wówczas „wiarą”, ponieważ są one według nich prawdziwe. A są prawdziwe dlatego, że wierzą w ich prawdziwość. Jest to nienaruszalny krąg fałszywej logiki, którego nie da się rozerwać. Ze Świętą Grotą może być podobnie jak ze wzgórzem Gurac. Byłam tam kiedyś. Miałam nadzieję, że zobaczę coś ciekawego. I zobaczyłam same kamienie. Na szczycie wzgórza był dolmen – rzekomo wyobrażający Arkę Nommo, gdy schodziła na Ziemię. Nieco dalej, pomiędzy menhirami, wyobrażającymi Syriusza i Słońce, leżał kamień, tym razem wyobrażający arkę na Ziemi. Same wyobrażenia...

– Wiem – przerwałem jej wywód – też tam byłem i widziałem je. Ale ty nie rozumiesz, że nie chodzi o ich wierzenia i wyobrażenia. Już ci to tłumaczyłem. Chodzi o przekaz zawarty w ich gnozie. Jest to jakiś ślad... Zaginionej cywilizacji, przybyszów z innej planety. Z bardzo dawnych czasów, zatartych przez czas wydarzeń... Zrozum, że czas, który przeminął, wcale nie przeminął, bo cechą czasu nie jest ulotność, lecz trwałość – pod warunkiem, że został zapisany w pamięci żyjących – i cokolwiek istniało, istnieć będzie tak długo, jak długo ludzie będą o tym pamiętać.

– Wiem, że nie zrezygnujesz z poszukiwań – stwierdziła. – Trudno, muszę się z tym pogodzić. Może takie jest twoje przeznaczenie, twój los...

– Uwierz mi, że usiłowałem, ale jest to ponad moje siły. Mówisz, że może taki jest mój los... Nie wierzę w los, który doświadcza człowieka, cokolwiek by podejmował, ale wierzę w los doświadczający człowieka wtedy, gdy niczego nie podejmuje...

Uśmiechnęła się smutno. Wzięła moją rękę i patrząc mi w oczy powiedziała:

– Moje życie to ty. Ty sam i wszystko, co cię spotyka. Ty jesteś moim początkiem i końcem, w tobie się wszystko zamyka. Uważaj na siebie, Tom... Nim coś zrobisz, pomyśl o mnie...

– Izo, każde z nas ma w życiu swoją prawdę. Ile jest istnień ludzkich, tyle jest prawd. Myślę, że nie powinniśmy oczekiwać, że spędzimy z sobą wiele lat. I lepiej się do tej myśli przyzwyczaić... – odparłem brutalnie.

– Więc to jest tak niebezpieczne? – rzuciła bezradnie.

* * *

W niedzielę przy śniadaniu, gdy odstawiłem pustą filiżankę po herbacie, oznajmiłem: – Jutro wyjeżdżam do Algierii. Jadę w sprawie służbowej, nie będzie mnie przez siedem dni.

Ręka Izabeli zawisła nad koszykiem z pieczywem.

– Dlaczego ty jedziesz? – spytała zaskoczona. – Czy nie może pojechać ktoś inny?

– Nie może – odparłem sucho. – Sprawa jest zbyt ważna.

– Wobec tego pojedziemy razem. Przecież obiecałeś...

– Obiecałem, że będziemy jeździć na wyprawy etnograficzne, ale o wyjazdach służbowych nie było mowy.

– Zawsze się wykręcisz – mruknęła z rezygnacją. – A dokąd konkretnie jedziesz?

– Do Timimoun.

Przez chwilę zastanawiała się.

– To bardzo daleko. Musisz przejechać pół Sahary.

– Dlatego zakładam, że wrócę dopiero za siedem lub osiem dni.

– Oby ci się nic złego nie przydarzyło – westchnęła.

* * *

Z Timbuktu wyjechałem o świcie, żegnany przez zaniepokojoną Izabelę. Wyruszyłem starym transsaharyjskim szlakiem, którym od XI wieku ciągnęły karawany, wioząc złoto, niewolników, kość słoniową, skóry i sól. Właściwie to nie musiałem jechać. Sprawa, którą miałem załatwić, była błaha. Z powodzeniem mógł to zrobić podrzędny urzędnik kopalni. Ale ja chciałem choć na kilka dni odpocząć: od domu, kopalni, Dogonów. Oaza Timimoun leżała na starym skrzyżowaniu karawanowych szlaków. Za trzy dni rozpoczynały się w niej wielkie doroczne targi, na które ściągało zwykle pół Sahary. I na nich właśnie chciałem być.

Pierwszą noc spędziłem w dolinie Nigru, który olbrzymią pętlą przecinał szlak biegnący na północ. Zjadłem kolację i zamknąłem szczelnie samochód. Ułożyłem się do snu na rozłożonych fotelach. Gdzieś w oddali wył szakał. Błotne ptaki zaczęły swój wieczorny koncert na tysiące głosów. Wiedziałem z doświadczenia, że nie potrwa to długo, może jeszcze z pół godziny. Gdy zapadnie noc, razem z nią zjawiają się miliony komarów, które w poszukiwaniu żeru rzucą się na wszystko, co żyje.

Wschód słońca zastał mnie już w drodze. Niger został za mną. Wokół ciągnęła się pustynia. Jak okiem sięgnąć tylko piasek, miejscami trochę kamieni i szum wiatru – jedyny dźwięk pustyni. Najciężej będzie na Tanezrouft – pomyślałem. To gorący, suchy płaskowyż, w samym środku Sahary. Tanezrouft znaczyło: Tam gdzie nie ma nic. Miejsce szczególne – królestwo pustki.

Zatrzymałem samochód. Szczelnie owiązałem głowę i zakryłem usta dużą chustą. Oczy osłoniłem ciemnymi okularami. Robiłem to bez przekonania, wiedząc, że nie ochronię się przed ziarenkami piasku wciskającego się dosłownie wszędzie.

Dochodziło południe, gdy w pobliżu szlaku, gdzie uchowało się kilka kępek suchej pustynnej trawy, zauważyłem koczujących dwóch Tuaregów. Siedzieli przy małym ognisku z wielbłądziego nawozu, a obok nich pasły się dwa wynędzniałe wielbłądy. Zatrzymałem samochód i wolno ruszyłem w ich kierunku. Tuaregowie podnieśli się. Wysocy, szczupli, w błękitnych długich szatach z przysłoniętymi zawojami twarzami, byli pełni godności i powagi.

Powitałem ich w dialekcie tamanek, ale na tym kończyła się moja znajomość ich języka. Na szczęście młodszy z Tuaregów mówił po francusku. Po kilku powitalnych zdaniach starszy nalał z miedzianego kociołka do glinianej czarki gorącej, mocnej herbaty i pełnym godności gestem podał mija, wskazując miejsce przy ognisku. Usiadłem. Herbata była parzona z miętą, bardzo słodka. Jak wymagał pustynny obyczaj, siedzieliśmy w milczeniu. Pierwsze słowo należało tu do gościa.

Ukradkiem ich obserwowałem. Byli uzbrojeni. W fałdach szat kryli wykonane ręcznie noże, oryginalnie zdobione, i miecze. Jasna karnacja ich skóry świadczyła, że należą do Imharów, arystokracji Tuaregów. Kiedyś trudnili się rozbojem lub na czele Imradów – wasali wyruszali na wyprawy nad Niger, z których wracali z czarnymi niewolnikami. Teraz wędrują wzdłuż i w poprzek Sahary, nie zważając na państwowe granice. Najczęściej trudnią się handlem. Żaden przymus nie zdoła ich nakłonić do życia osiadłego. Urodzili się koczownikami i tkwią w swych zwyczajach, podczas gdy świat mknie do przodu.

– Jadę do Timimoun na targi – przerwałem ciszę. A mieszkam w Timbuktu – przedstawiłem cel podróży i miejsce pochodzenia, jak tego wymagał obyczaj.

Młodszy Tuareg przetłumaczył moje słowa w narzeczu tamanek i wtedy między nimi wywiązała się dyskusja. Nie rozumiałem, o co chodziło, ale często padała nazwa Timimoun. Młodszy usiłował przekonać starszego, ale tamten miał wątpliwości. Widocznie chcąc je rozstrzygnąć, młodszy spytał:

– Czy mogę pojechać z tobą do Timimoun?

– Oczywiście! – zgodziłem się. – Zabiorę cię, ale musimy zaraz wyruszać. Przed nocą chcę dojechać do Reggane.

Tuaregowie zamienili z sobą kilka zdań. W końcu młodszy podniósł z piasku dość obszerną torbę ze skóry wielbłąda.

– Możemy jechać – orzekł.

Pokłoniłem się starszemu, wyrażając podziękowanie za poczęstunek, i ruszyliśmy.

W samochodzie Tuareg odłonił twarz. Teraz mogłem przyjrzeć mu się bliżej. Miał około trzydziestu lat, podłużną twarz o semickich rysach, długie czarne włosy i ciemne oczy. Przystojny chłopak – pomyślałem.

– Po co jedziesz do oazy Timimoun? – spytałem.

– Chcę kupić wielbłąda. Mamy tylko dwa, potrzebny nam jeszcze juczny – wyjaśnił.

– Gdzie nauczyłeś się francuskiego? – pytałem dalej.

– Przez kilka lat byłem przewodnikiem we francuskim wojsku. Ciężka służba, ale musiałem zarobić pieniądze. Nie mieliśmy wielbłądów, wszystkie nam padły. Napiły się zatrutej wody. Ostatniego pochowaliśmy z dziadkiem, bo Tuareg umiera ze swym wielbłądem. Nie miałem innych możliwości... Sprzedałem się na trzy lata, bo spotkało nas nieszczęście. Każdy czas ma swój cios nożem, jak mówi mój ojciec, a to mądry człowiek...

Po kilku godzinach jazdy minęliśmy Bordi-Moktar, sztuczną oazę; mieścił się tu algierski posterunek graniczny. Do Reggane dojechaliśmy o zmroku. Była to mała oaza – kilkadziesiąt palm i kilkanaście lepianek. Przespałem się w samochodzie, a Tuareg na piasku owinięty pożyczonym kocem.

O świcie kolejnego dnia byliśmy już w drodze. Tego poranka było pochmurno. Czyżby miał spaść deszcz? – pomyślałem. Niebawem. Mogło się tu zdarzyć wiele rzeczy, ale nie deszcz.

Jechaliśmy jeszcze dwie godziny, gdy w oddali zaczęliśmy rozróżniać domy Timimoun. Nowa część miasta miała szerokie piaszczyste ulice. Stary ksar, otoczony wiekowymi murami o mrocznych poplątanych uliczkach, tworzył labirynt. Z Tuaregem rozstałem się w centrum miasta.

Zatrzymałem się w jedynym w Timimoun hotelu. Po upragnionej kąpieli i zjedzeniu kolacji natychmiast zasnąłem.

Obudziłem się późno. Zasnąłem. Gdy w hotelowej restauracji jadłem śniadanie, widziałem przez okno tłumy ludzi, ciągnących na skraj miasta, gdzie na wielkim placu odbywały się targi.

W mieście panowała radosna atmosfera bazaru. Czuję to wmieszany w tłum podążający w kierunku targowiska. W pobliżu placu targowego tłum przyspieszył pchając się w kierunku

straganów. Zaczął się wielki handel, który miał trwać przez cały tydzień.

Przepychałem się między straganami, wessany wręcz przez tłum w głąb targowiska. Ludzie przy stolikach targowali się, oglądali, obmacywali towary. Przecież to naród handlarzy, pomyślałem. Są w swoim żywiole. Nie zamierzałem czegokolwiek kupować, ale gdy stanąłem przed straganem ze srebrną biżuterią, zdecydowałem się na prezent dla Izabeli. Stragan oblegał tłumek gapiów i z trudem przepchnąłem się do pierwszego rzędu.

Kupiec, gruby Arab, był chwilowo zajęty. Tym razem nie sprzedawał, lecz kupował. Sprzedającym był Tuareg. Przed kupcem leżało kilka sztuk srebrnej biżuterii, a on z miną znawcy i konesera oglądał oferowane przedmioty. Transakcja odbywała się przy drugim końcu straganu. Zauważyłem, że kupiec trzyma w ręku dziwny przedmiot, który z zaciekawieniem ogląda. Była to obręcz ze srebrzystego metalu, z przymocowaną owalną bryłą przypominającą przecięte wzdłuż, na połowę, duże jajo. Ocena przedmiotu wypadła niekorzystnie, bo kupiec oddał go Tuaregowi.

– To nie jest srebro! – orzekł przy tym. – Może jakiś stop – dodał, i zajął się oceną następnej sztuki.

W tym momencie rozpoznałem Tuarega. Był tym, którego wczoraj tu przywiozłem. Przepchnąłem się przez tłumek i stanąłem obok niego.

– Witaj! – powiedziałem. – Widzę, że sprzedajesz biżuterię.

– Salem! – odparł ucieszony. – Mówiłem ci, że mam kupić wielbłąda...

– To pokaż mi ten przedmiot, którego on nie chce kupić.

Tuareg wyjął z torby obręcz. Przypominała diadem. Z jej wymiarów należało sądzić, iż była przeznaczona dla mężczyzny. Wykonano ją z białego stopu o matowej powierzchni. Była zadziwiająco lekka. Nie zauważyłem żadnych rys ani patyny. Wyglądała, jakby przed chwilą opuściła wytwórnię. Przymocowana do obręczy bryła była jajowatą półkulą, o długości około sześciu centymetrów. Na jej szczycie osadzony był kamień, wielkości ziarna grochu, przypominający miniaturową soczewkę. Gdy dokładniej obejrzałem obręcz, zauważyłem, że w półkuli, a ściśle w jej dnie jest zakręcona pokrywka. Zdradzały ją trzy prostokątne wgłębienia przeznaczone do klucza, tak jak w wodoszczelnych zegarkach. Na wewnętrznej ścianie obręczy zauważyłem napis. Był wyryty tak małymi literami, że gołym okiem nie można go było odczytać. Precyzja, z jaką obręcz została wykonana, sugerowała dwudziesty wiek, ale skąd to się znalazło u Tuarega?

Nic z tego nie rozumiem, mruknąłem do siebie, ale muszę tę obręcz kupić. I jeszcze spytać go, skąd ją ma.

Tymczasem transakcja sprzedaży biżuterii dobiegła do finału. Tuareg zainkasował kilka zmiętych banknotów i z miną w miarę zadowoloną szykował się do odejścia. Wyciągnął rękę po obręcz, ale ja nie zamierzałem się z nią rozstać.

– Ile chcesz za ten przedmiot? – spytałem.

Pytanie go zaskoczyło – nie spodziewał się, że znajdzie we mnie nabywcę. Przez chwilę się zastanawiał.

– Dwieście dinarów – odparł, przetykając ślinę.

Roześmiałem się i poklepałem go po plecach.

– Dowcipny jesteś! Cenisz tyle, ile kosztuje pół wielbłąda. To nie srebro.

– No... tak, ale... – jękał się. – Ale to stara rodowa pamiątka. Była w naszej rodzinie już za czasów mojego dziadka, a on ją dostał od pradziadka.

– Nie wygląda na starą rzecz. Opowiedz mi, jak się w waszej rodzinie znalazła.

– To bardzo stara historia. Opowiadał mi ją dziadek, a on słyszał ją od swojego dziadka. Kiedyś, bardzo dawno, gdy jeździliśmy nad Niger po czarnych niewolników, na jednej z wypraw napadli na

murzyńską wieś. Pośrodku wsi stała chata czarownika. Gdy podłożyli pod nią ogień, wyskoczył z niej czarny z tym przedmiotem na głowie. Przy podziale łupów ten przedmiot przypadł mojemu przodkowi i od tamtych czasów był zawsze w naszej rodzinie. Starzy uważali, że jest ze srebra, ale ja w to wątpiłem – dodał.

Obręcz pochodzi z doliny Nigru, a więc od Dogonów – stwierdziłem w myślach. – Jakkolwiek bym zaczął, na Dogonach kończę. Może pochodzi ze Świętej Groty? A może jeszcze wtedy nie było Świętej Groty? Przecież w tych czasach Dogoni mieszkali nad brzegiem Nigru. Pod skarpe płaskowyżu przenieśli się dużo później.

– A powiedz mi – zwróciłem się do Tuarega – czy twój dziadek nie opowiadał, gdzie leżała ta wioska?

– Tak dokładnie to nie mówił. Jak pamiętam, przed napadem oni kryli się w dżungli, a wioska leżała nad rzeką.

No tak. To by się zgadzało – przyznałem w duchu, a głośno zapytałem: – Ile więc za to chcesz? Ale już bez fantazji...

– Daj sto dinarów!

Tyle mogłem dać. Wtedy oczy błysnęły mu zadowoleniem.

– Insz Allah – rzucił na pożegnanie. – Bóg tak chciał. Miałem kupić jednego wielbłąda, kupię dwa!

* * *

Wykonany na zamówienie klucz bezbłędnie pasował do otworów pokrywki. Wstrzymując oddech nacisnąłem w lewo. Pokrywka stawiała jednak opór.

Zaciekawiona Izabela stała za mną, zaglądając mi przez ramię.

– Spróbuj nacisnąć nieco mocniej – poradziła.

Nacisnąłem. Pokrywka wykonała pół obrotu. Dalej poszło już gładko.

Gdy ją zdjąłem, zamarliśmy z wrażenia. Pod nią był jakiś układ elektroniczny. Spodziewaliśmy się wielu rzeczy, ale nie elektroniki, nie układów scalonych.

– Co to jest? – pisnęła z przejęcia Izabela.

– Tak ogólnie, to elektronika. A szczegółowo nie wiem. Nie znam się na tym – przyznałem.

– A czy jesteś pewien, że ten napis na obręczy jest pisany nieznanym alfabetem, bo może coś przeoczyłeś?

Wstałem i bez słowa podałem jej lupę i kartkę papieru, na której poprzednio przepisałem znaki z obręczy.

– Sprawdź sama! Może się pomyliłem.

Przez chwilę wpatrywała się w znaki na kartce.

– No tak, chyba nie pomyliłeś się – orzekła w końcu.

– Możesz jeszcze porównać te znaki ze znanymi alfabetami w encyklopedii – podsunąłem jej grube tomisko.

Trochę czasu zajęło jej to sprawdzanie. Wreszcie zamknęła książkę. – Nie ma alfabetu o takich znakach – stwierdziła.

– No właśnie. Elektronika, nieznaną alfabet, stop, który zadziwia fachowców, bo jest o połowę lżejszy od aluminium i twardszy od utwardzonej stali. A do tego rzecz wygląda, jakby wyszła prosto z wytwórni, co się ma nijak do opowiadania Tuarega o starożytnym pochodzeniu przedmiotu. Niezły pasztet!

– Sądzę, że powinieneś pokazać to specjaliście elektronikowi.

– Obawiam się, że nie znajdę kompetentnego specjalisty. Sądzę, że nie jest to typowy układ elektroniczny. Bez schematu, bez elementarnych informacji, jaką funkcję miał spełniać, niczego się nie dowiemy.

– Czyli sytuacja bez wyjścia – podsumowała zawiedziona.

– Może niezupełnie. Znam kogoś, kto może objaśnić nam przeznaczenie tego urządzenia. Ale tylko w przypadku, jeśli zechce się tym zająć – zastrzegłem natychmiast.

– Kto to taki? – spytała zaciekawiona.

– Geniusz stojący na granicy obłądu. Ta granica jest naprawdę nieuchwytna. On jest niby z tej, ale częściej bywa z tamtej strony. Jest genialnym elektronikiem, cybernetykiem, wynalazł wiele rozwiązań z tych dziedzin. Z pochodzenia jest Grekiem, nazywa się Dymitrios Papadukulos. Mieszka w Atenach.

– A gdzie go poznałeś?

– Na politechnice. Razem studiowaliśmy. On elektronikę, ja górnictwo, ale przyjaźniliśmy się. Jeszcze teraz, od czasu do czasu, korespondujemy.

– To napisz do niego. Może go zainteresujesz.

– Niestety, tu nie wystarczy napisać. Trzeba mu to zawieźć, pokazać i opowiedzieć całą historię.

Wtedy mogę mieć nadzieję, że go zainteresuję.

– Czyli znowu nie będzie cię w domu! – jęknęła.

– To zajmie najwyżej trzy dni – próbowałem ją pocieszyć.

* * *

Kiedy wysiadłem z taksówki na ulicy Kapaneos w Atenach, była dziewiąta rano. Odszukałem numer trzydzieści cztery. Nie był to dom. Raczej dziura pomiędzy dwoma pięciopiętrowymi domami, odgradzona od ulicy czterometrowym murem. W murze stalowa brama i furta. Prawdziwa forteca! – pomyślałem.

Nacisnąłem przycisk dzwonka. Poczekalem chwilę i nacisnąłem po raz drugi. Na wysokości głowy zaskrzeczał w niezrozumiałym języku głośnik. Wtedy oznajmiłem w stronę drzwi.

– Chcę mówić z panem Papadukulosem!

Tym razem głośnik przemówił po angielsku:

– Słucham, Papadukulos!

– Witaj, stary! – zawołałem. – Mówi do ciebie Tom Burns. Jeśli jeszcze pamiętasz starych przyjaciół, to wpuść mnie do środka.

– Tom?! – rzucił radośnie. – Cieszę się jak wszyscy diabli! Wchodź!

Zgrzytnęło i furta otworzyła się. Gdy ją przekroczyłem, natychmiast się zatrzasnęła. W pobliżu nie było nikogo. Przede mną ciągnął się dość długi plac, zamknięty jednopiętrowym budynkiem. Z obu boków ślepe ściany domów, a z tyłu wysoki mur. Całość robiła wrażenie wawozu. Przez zagracony plac do drzwi budynku wiodła ścieżka wyłożona kamiennymi płytami. Kierując się do widocznego z daleka wejścia, dotarłem już do połowy placu, gdy zza stosu skrzyń wyszedł na ścieżkę pies. Znieruchomiałem.

Był wielkości żrebaka. Sytuacja stała się kłopotliwa. Pies usiadł na kamiennych płytach ścieżki, oblizwał się, ziewnął, pokazał przy tym czerwony wielki ózór i garnitur białych zębów. Po chwili z budynku wyszedł człowiek, rozpoznałem w nim Papadukulosa.

– Zabierz to bydle! – krzyknąłem niemal histerycznie.

Papadukulos przez chwilę patrzył na mnie i uśmiechnął się. Przyłożył do ust przedmiot podobny do gwizdka. Dźwięku nie słyszałem, ale pies podniósł się. Powoli, majestatycznie stawiając łapy ustąpił ze ścieżki i skrył się pośród skrzyń.

– Witaj! Sto lat cię nie widziałem! – rzucił wtedy Papadukulos wyciągając do mnie rękę.

– Stojak sto, ale siedem to na pewno minęło – odparłem. Niech ci się przyjrzę... Niewiele się zmieniłeś.

– Ty też nie. Blondyni starzeją się wolniej.

– Słuchaj, Dymitrios, co ty za monstrum trzymasz?

– Pytasz o pieska? To nie jest żywy pies, to twór cybernetyczny. Taka maskotka, zresztą bardzo pożyteczna. Pilnuje mojego gospodarstwa. Może być pieszczochem albo dziką bestią rozrywającą człowieka w ciągu paru sekund. Chcesz to ci zademonstruję...

– Dziękuję, ale może innym razem – uznałem. – Przyjechałem do ciebie w konkretnej sprawie i jej wolałbym poświęcić czas.

– Skoro tak, to zapraszam do środka. – Papadukulos wziął mnie pod rękę i poprowadził do wnętrza budynku.

Z zagraconego korytarza trafiliśmy do pokoju, w którym prawdopodobnie mieszkał. Pokój nie miał okien. Na środku stał duży stół. W całym pomieszczeniu panował niesamowity bałagan.

Papadukulos zrobił nieco miejsca na stole. Wyszukał w stercie laboratoryjnego szkła dwie zlewki i wydobył z szafy pękatą butelkę koniaku. Ustawił to wszystko na „oczyszczonym” miejscu.

– Najpierw oblejmy nasze spotkanie – orzekł i gestem zaprosił mnie do zajęcia miejsca. – Potem porozmawiamy o sprawie, z którą przyjechałeś – dodał nalewając koniak. – No, to po raz pierwszy, twoje zdrowie!

Piliśmy w milczeniu, smakując koniak i patrząc na siebie. Papadukulos nie był zbyt wysoki, krępej budowy, o czarnych włosach, poprzetykanych siwizną. Z pochodzenia był Grekiem, świadczył o tym kształt nosa i ciemny odcień skóry, właściwy południowcom. Niepokojące były jego oczy. Duże, czarne; było w nich coś przerażającego, coś takiego, że gdy się w nie patrzyło, przenikał człowieka nieprzyjemny dreszcz.

– O czternastej odlatuje mój samolot – wyjaśniłem mu. – Ponieważ nie mogę dłużej zostać w Atenach, pozwól, że przystąpię do sprawy. – Wyjąłem z neseseru obręcz i położyłem przed nim. – Obejrzyj to sobie. Z tyłu jest pokrywka. A tu klucz do niej.

Papadukulos wziął do ręki obręcz, przyjrzał się jej uważnie i oczy mu zabłyśły. A kiedy już odkręcił pokrywkę i zobaczył wnętrze, gwizdnął z przejęcia: – No no! Takiej sztuki jeszcze nie widziałem. Skąd to masz? Mów mi wszystko, co o tym wiesz, ale dokładnie...

Opowiedziałem mu historię nabycia obręczy i przekaz rodzinny Tuaregów. Nie zapomniałem również wspomnieć o napisie i że moim zdaniem obręcz pochodzi od Dogonów.

Papadukulos zamyślił się. Cisza się przedłużała. Zdażyłem wypić już drugą zlewkę koniaku. Czekałem. Wreszcie ocknął się.

– Bardzo ciekawe – orzekł. – Lubię takie zagadki, wyzwalamą moją inicjatywę. Zajmę się tym. Nie wiem, jak długo będzie to trwało i nie wiem, czy potrafię to rozgryźć. Ale zrobię wszystko, na co mnie stać. Gdy będę coś wiedział, zawiadomię cię. Opowiedz mi tylko jeszcze o tych Dogonach. Nic o nich nie słyszałem...

– Dogoni to niewielki szczep, około 20 tysięcy głów, żyjący na bardzo niskim poziomie. Całą swą gnozę przekazują z pokolenia na pokolenie, słowami i rysunkami. O budowie materii mówi ona: „Początkiem wszechrzeczy jest Amma” – ktoś w rodzaju boga energii. Najmniejszą cząstką materii jest „po”. Zacytuję ci dosłownie: „Wszystko, co stworzył Amma, ma swój początek w „po”. „Po”

jest obrazem początku. Ze względu na swą wielkość jest ono początkiem wszechrzeczy. Amma buduje wszystkie rzeczy tworząc je tak małymi jak „po”, następnie dodaje do już stworzonych te właśnie „po”. W miarę jak Amma łączy je, rzecz staje się większa. Jest to największa tajemnica Amma, bo „po” zostało stworzone na podobieństwo swojego stwórcy. Ten swoje miejsce zamienił w „po” na wiatr. Ziarno „po” można przekształcić jak wiatr, ale nie wolno o tym mówić...”

A teraz astronomia. Naczelne miejsce w ich gnozie zajmuje Syriusz. Twierdzą, że istnieje taki układ planet-gwiazd. Syriusz jest fragmentem takiego układu, który obejmuje towarzyszące mu gwiazdy „Po-Tolo” i „Eme Ya-Tolo” oraz satelitę tej ostatniej gwiazdy „Nyan-Tolo”. Gwiazda „Po-Tolo” obraca się wokół Syriusza. Czas obrotu trwa 50 lat. Reguluje ona obroty Syriusza, które są jedynymi nie przebiegającymi regularną krzywą. „Po-Tolo” jest najcięższym z obiektów niebieskich. Gnoza wspomina o momencie, gdy „Po-Tolo” eksplodowała. Jej zawartość była wyrzucana w przestrzeń pod postacią ziarna „po”. Potem nastąpiło skurczenie się i zmniejszenie objętości.

Gnoza Dogonów nie ogranicza się do astronomii i materii. Przekazuje opowieści o tym, jak z grupy gwiazd wokół Syriusza przybyli na Ziemię ludzie. Jedną z opowieści relacjonuje o kosmitach z planety, której słońcem była „Po-Tolo” przed wybuchem. Ludzie przebyli przestrzeń w statku zwanym w gnozie arką. A dowódcą tej arki był Nommo.

To wszystko. Oczywiście w telegraficznym skrócie. Dodam jeszcze, że Dogoni twierdzą, iż całą swą gnozę mają udokumentowaną „dowodami podstawowymi”, złożonymi w Świętej Grocie, ale jak dotąd nikt tego nie widział.

– Sądzisz, że ta obręcz pochodzi z ich Świętej Groty? – zapytał Papadukulos.

– Nie, ale to nic nie zmienia, bo ślady prowadzą do Dogonów.

– Ciekawe. Bardzo ciekawe – powtórzył Papadukulos. Zamyślił się na chwilę, a potem spytał nieoczekiwanie: – No dobrze, a co poza tym słysząc u ciebie, Tom?

– Właściwie nic się nie zmieniło. O tym, że się ożeniłem, już ci pisałem. A ty nie masz zamiaru zmienić stanu cywilnego?

Papadukulosa rozśmieszyło moje pytanie.

– Ożenek byłby dla mnie kataklizmem. Przy moim trybie życia byłoby to samobójstwo. Zresztą jest tyle ciekawszych zajęć od powielania gatunku – dodał poważnym tonem.

* * *

Od tego spotkania minęły cztery długie miesiące. Papadukulos milczał. Z nadzieją przeglądałem każdą pocztę, ale listu z Aten nie było. Zacząłem już tracić nadzieję. Zwątpiłem w to, że Papadukulos „rozgryzie” elektronikę obręczy. Stałem się nerwowy. Coraz częściej między mną a Izabelą wybuchały sprzeczki, których przedtem nie było.

Tym razem pokłóciliśmy się przy kolacji. Chodziło o jakiś drobiazg, który urósł do rangi problemu. Zdenerwowana Izabela podniosła głos:

– Jesteś egoistą! Nawet czymś gorszym! Jesteś po prostu zły!

– Tak, jestem zły – przyznałem jej rację – ale nie tylko ja. My wszyscy. Jest to naukowo udowodnione. Dart twierdzi, że jesteśmy dziedzicznie obciążeni, mamy zakodowaną „asymetrię” w dążeniu do dobra i zła.

– Niby dlaczego? – spytała zaskoczona tym wywodem.

– Dlatego, że nasi przodkowie przez kilkaset tysięcy lat byli kanibalami i nie zmuszał ich do tego głód. Uprawiali ludożerstwo jako zasadę.

– Przesadzasz! Nigdy o tym nie słyszałam – odparła, ale widać było, że wciąga ją ta dyskusja.

– Mylisz się! Wiedzano o tym od dawna, ale był to temat wstydlawy. Obecnie uważa się ludożerstwo za czynnik twórczej antropogenezy.

– Nie rozumiem...

– Po prostu: trawy, liści, owoców było w bród i nic nie zmuszało zwierząt roślinożernych do myślenia, a tym samym do rozwoju ich inteligencji. Nadmiar pożywienia sprawił, że roślinożercy zatrzymali się w rozwoju. Zwierzęta drapieżne były zmuszane do rozwijania strategii walki, pościgu, oceny sytuacji, zaplanowania zaskoczenia. Wśród zwierząt drapieżnych najszybciej rozwijał się praczłowiek. Bo te zwierzęta polowały często na równych sobie „inteligencją”. Ograniczony roślinożerca czasem głoduje. Ograniczony łowca głoduje zawsze i w końcu zostaje zjedzony. Dlatego kanibalizm uznano za akceleratora postępu umysłowego. Selekcję wewnątrz gatunku przeżyli najbardziej inteligentni.

– Nie zgadzam się z Dartem! – zastrzegła Izabela. – Nie wierzę w dziedziczenie instynktów, poza popędami. Człowiek nie dziedziczy żadnej gotowej wiedzy, stymulującej określone działania.

– A ja sądzę jednak, że człowieka ukształtowała nieustanna walka. Nie zgadzasz się z teorią „asymetrii”, ale spójrz na historię ludzkości. Ile pięknych idei i dobrych zamierzeń obracało się dość regularnie w zło, a metamorfozy odwrotnej nigdy nie było. Weź pod uwagę, że przez setki tysięcy lat nasze mózgi kształtowały określone sytuacje. „Asymetria” jest tylko skutkiem tego czasu i tych sytuacji.

– Może... – odparła niezbyt przekonana. – Ale to wcale nie tłumaczy, dlaczego ty jesteś zły. Nie tyle zły, co złośliwy – poprawiła się.

* * *

Następnego dnia, gdy powróciłem z kopalni, Izabela wybiegła przed dom wymachując kartką ścisną w dłoni.

– Jest telegram od Papadukulosa! – wołała zarumieniona z emocji.

W jednej chwili byłem przy niej.

– Daj! – rzuciłem z napięciem.

W telegramie były cztery słowa: „Rozgryzłem – fantastyczne – przyjeżdżaj – Dymitrios”.

Podaliśmy telegram Izabeli. Musiałem usiąść, bo poczułem się bardzo słaby. Moje nerwy nie wytrzymały tego napięcia. Dopiero po chwili zrobiło mi się lepiej.

– Typowe dla Papadukulosa – orzekłem. – Ten telegram nic nie wyjaśnia. On sam wie, do czego służyła obręcz. A inni nie muszą. Jeśli chcą, niech się pofatygują do „źródła wszelkiej wiedzy”. Drobiazg, z Timbuktu do Aten! – dodałem z ironią.

– Pojedziesz? – spytała Izabela, wiedząc z góry, że pojedę.

– Polecę, jutro jest samolot do Bamako, dalej przez Algier, Rzym do Aten.

– To weź urlop i polecimy razem, nigdy nie byłam w Grecji. Chcę poznać ten kraj – zdecydowała.

* * *

Papadukulos wpuścił nas już po pierwszym dzwonku. Był zaskoczony przyjazdem Izabeli. Po powitaniu w bramie, gdy szliśmy do laboratorium, odciągnął mnie nieco do tyłu i spytał:

– Musiała przyjechać? – wskazał głową na Izabelę.

– Widocznie musiała – odparłem z ironią. Żona to nie pies cybernetyczny, odgwizdać się nie daje – dodałem złośliwie.

– Trudno. – Wzruszył lekceważąco ramionami.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, posadził nas przy stole i wyjął z szafy butelkę wina. Gorzej było z kieliszkami. Wreszcie znalazł szklanę i dwie laboratoryjne zlewki. Szklanę wspaniałomyślnie postawił przed Izabelą. Gdy nalał wina, wstał i wygłosił toast:

– Wypijmy za ludzki geniusz!

– Wypijmy za geniusz Dymitriososa! – poprawiłem.

I wypiliśmy.

– To może teraz opowiesz już, o co chodzi z tą obręczą, bo jeszcze chwila i rozplącę się z ciekawości.

– Bądź cierpliwy, bo wymaga to wszystko określonej kolejności – zaznaczył Papadukulos. – Po pierwsze, obręcz nie jest wykonana z metalu. To metalopodobne tworzywo sztuczne o tak skomplikowanej strukturze, iż może dopiero wnuki naszych chemików będą próbowały otrzymać podobne tworzywo. Po drugie, rzekomy kamień osadzony na półkuli nie służył ku ozdobie, ale jest soczewką skupiającą promienie świetlne, rzucane na światłoczuły element. Element ten przetwarza światło na prąd elektryczny i z kolei ładuje akumulatory zasilający. Można powiedzieć, że to nic nowego: takie układy znamy. Z zastrzeżeniem, że nie o takiej wydajności. Bo tu przez godzinę naświetlania zostaje zgromadzona energia wystarczająca na działanie układu przez trzy miesiące! Po trzecie, obręcz jest bardzo czułą anteną, która w sposób doskonały wychwytuje wszystkie bioprądy z mózgu przesyłając je do centrali, czyli do pamięci układu głównego...

– Człowieku, miej litość i powiedz już lepiej, do czego to służyło? – zniecierpliwiłem się.

– Jest to urządzenie do zapisu osobowości – podjął Papadukulos. – Nie wiem, czy mnie rozumiecie? Każdy z nas odbiera sygnały z otaczającego go świata za pośrednictwem doznań zmysłowych. Wszystko, co dociera do mózgu, przetworzone zostaje na bioprądy i „zapisane” w szarych komórkach. Ten zapis doznań gromadzony systematycznie przez całe życie tworzy naszą osobowość. Obręcz służyła do zdublowania zapisu. Wszystkie sygnały docierające i wychodzące z mózgu były jednocześnie „notowane” w pamięci umieszczonej w obręczy...

– Dymitrios – znowu wszedłem mu w zdanie – sędzę, że poniosła cię fantazja. W półkuli obręczy nie ma przecież miejsca na pamięć dorównującą pojemności mózgu. Zapis osobowości przy tak ograniczonej pamięci byłby bardzo fragmentaryczny. Nie byłaby to osobowość, a raczej jakieś luźne wspomnienia.

Papadukulos spojrzał na mnie i uśmiechnął się z wyższością.

– Niewierny Tomaszu, o którym już w Biblii pisano – rzucił kaznodziejskim tonem. – Do ciebie wciąż nie dociera fakt, że mówimy o rzeczach wielkich. Mówimy o technologii nie z tej Ziemi, a na pewno nie z tej cywilizacji. Czy przynajmniej wiesz, jaką pojemność ma przeciętny ludzki mózg? Nie wiesz? Ja ci powiem. Ma około 10 do potęgi 13 synaps, czyli porównywalną liczbę bitów. Jak myślisz, ile bitów mieści się w tym pudełku? – wskazał ręką na obręcz. – Odpowiem ci: sześciokrotnie więcej. Jedno pudełko równa się sześciu ludzkim mózgom. I tu właśnie nasuwa się pytanie... Do czego im było to potrzebne? Nie wyjaśniłem tej zagadki. Nie wyjaśniłem również, do czego był im potrzebny zapis osobowości.

– A czy istnieje jakiś sposób na odtworzenie zapisu? – spytałem z wahaniem, bojąc się, że znowu palnąłem głupstwo.

– Tak – odparł. – Znalazłem taki sposób, ale nie jest on doskonały, bo nie jest doskonałą nasza techniczna wiedza. Jeszcze nie ten poziom. Mój sposób daje możliwość pełnego odtworzenia zapisu. Zastrzegam jednak, że nie bez pewnego ryzyka...

– To jak zamierzasz tego dokonać?

– Przez wprowadzenie bodźców dokorowych wprost do mózgu. Ładunki zawarte w pamięci obręczy zostaną przetransportowane na wiązkę ultrakrótkich fal wytworzonych przez maser. Średnica fal nie może przekraczać jednego neuronu. Musi być dostatecznie zogniskowana i słaba, aby nie uszkodzić mózgu, a pobudzić korę mózgową. Jest tu pewne ryzyko, ale innej drogi nie znam.

– Technikę zrozumiałem, ale jakie będą efekty?

– Efekty... – powtórzył. – No cóż, mogę powiedzieć o tym, czego się spodziewam. Przez czas trwania emisji człowiek, który jej się podda, będzie podlegał osobowości zapisanej w obręczy. Będzie przeżywał to samo, co przeżył tamten człowiek. Jego osobowość zostanie na czas emisji „wyłączona”, ale nie jestem pewien czy zupełnie. Brak analogii.

Uznając swój wykład za zakończony, nalał wina i napił się. Potem postawił zlewkę i pytająco zerknął na mnie.

– Przeprowadzisz na mnie ten eksperyment? – spytałem.

– Tak! – padła odpowiedź.

Izabela patrzyła na mnie oczami, w których czaiła się rozpacz, ale nic nie powiedziała. Przy stole zaległa cisza. Myśli kłębiły mi się w głowie. Bałem się, ale nie byłem w stanie zrezygnować.

– To kiedy zaczynamy? – pytałem dalej.

Papadukulos zastanowił się.

– Myślę, że w ciągu tygodnia. Trzeba sprawdzić aparaturę, połączenia, wyregulować je. Zajmie mi to kilka dni. Poza tym muszę cię zabezpieczyć, tak bym miał przynajmniej osiemdziesiąt procent pewności, że ci się nic nie stanie. Będiesz miał stałą kontrolę pracy mózgu i serca. Sprowadzę elektroencefalograf i elektrokardiograf. Potrzebny będzie mi ktoś do pomocy... – spojrzał pytająco na Izabelę.

– Będę panu pomagać – zgodziła się. – Chcę przez cały czas być przy nim.

– A jak niby zamierzasz kontrolować mój mózg? – zapytałem.

– To proste. W korze mózgu pulsują bioprądy. Gdy człowiek pracuje umysłowo lub jest w stanie natężonej uwagi, występuje w mózgu fala beta o wartości 8 – 30 herców. I tę falę będziemy kontrolować. Jej częstotliwość nie powinna przekroczyć 30 herców. Chwilami można dopuścić do 50 herców, dalej nastąpiłoby przeciążenie mózgu. Wykonam sprzężenie zwrotne pomiędzy maserem a encefalografem. I tyle dziś tu można powiedzieć – zakończył Papadukulos.

A gdy pożegnaliśmy go i wracaliśmy do hotelu, już świtało. Izabela siedziała w taksówce napięta i cały czas milczała. Wiedziałem, o czym myśli i jakie są jej odczucia. Wiedziałem też, że nic mi nie powie.

Aleja też się bałem.

Siedziałem unieruchomiony na dentystycznym fotelu. Ściślej, zajmowałem pozycję półleżącą na byłym dentystycznym fotelu adaptowanym przez Papadukulosa na fotel operacyjny. Byłem unieruchomiony. Z mojej głowy, piersi, rąk i nóg zwieszały się przewody, łączące umocowane do nich elektrody z aparaturą kontrolną. Nad głową na specjalnym, gwarantującym stabilność statywie umocowany był maser. Aparatura przetwarzająca zapis osobowości z obręczy umieszczona była dwa metry dalej. Całość zmontowano w dużej sali na piętrze.

Obok mnie stała kredowo blada Izabela.

Papadukulos ustawił maser, sprawdził połączenia i uruchomił aparaturę kontrolną. Podeszedł do stołu z aparaturą przetwarzającą.

Przed sobą miałem ścianę z wiszącym na niej zegarem, który pokazywał godzinę ósmą pięćdziesiąt dziewięć. Jego sekundowa wskazówka minęła właśnie godzinę dwunastą.

– Trzymaj się! – rzucił wtedy Papadukulos. – Włączam: zero, zero, dziewięta!

Patrzyłem w napięciu na sunącą w jednostajnym rytmie mechanizmu wskazówkę. Doszła do jedenastki. Nabrałem w płuca powietrza i sprężyłem się w sobie. Zadygotałem. Było to jak uderzenie młotem. Jasność tysiąca błyskawic i po chwili ciemność. Gdzieś spadałem.

Z ciemności dotarł do mnie krzyk Izabeli: – Wyłącz!

I wrzask Papadukulosa: – Zostaw!

Ogarnął mnie niebyt, ze świadomością istnienia. Myślałem – więc byłem. Była przestrzeń i mrok. Byłem przestrzenią i mrokiem. Coś się przedarło przez mrok. Otworzyłem oczy. Była to ręka. Ręka Ogga.

Stał obok mnie i lekko potrząsał moje ramię. Był jeszcze głos:

– Nommo! Zbudź się! Już czas!

– Czas? – powtórzyłem za nim. – Czas jest przestrzenią i mrokiem i ja jestem przestrzenią i mrokiem..

– Co ty mówisz? – zdziwił się Oggo. – Jesteś przecież ragonem Dogonu. Obudź się!

Podniosłem się. W gabinecie panował półmrok rozjaśniony blaskiem ekranu monitora. Obok mnie stał dowódca straży. Miał na sobie pancerz, a za pas wetknięty laserowy miotacz. Hełm trzymał w ręku.

Spojrzałem na ekran. Sala zebrań była już pełna. Przybyli już wszyscy członkowie Wielkiej Rady. Brakowało tylko mnie. Wstałem i podeszedłem do okna. Pode mną, w dole, błyszczało setkami tysięcy światel miasto Ubb, wielomilionowa metropolia tej planety. Być może ostatni raz patrzę na to miasto, pomyślałem. Nie rozklejaj się! – skarciłem się szybko w myślach. Wiesz, że życie należy do silnych!

Przeczuwałem klęskę, ale byłem wodzem. Musiałem stanąć do bitwy.

– Wykonałeś moje rozkazy? – spytałem Ogga.

– Tak, Nommo! Wszystko jest przygotowane. Wszędzie rozstawiłem swoich ludzi. Wozy stoją pod tajnym wyjściem.

– Czy moi przyjaciele są uprzedzeni?

– Tak jak poleciłeś. Nie znają szczegółów, ale wiedzą, jak się mają zachować.

– Dziękuję, Oggo! Chodźmy! Nawet na swój pogrzeb nie należy się spóźniać – rzuciłem z ironią.

Wziąłem leżący na biurku miotacz i ukryłem go w fałdach togi. Wyszliśmy na korytarz, gdzie otoczył nas oddział straży.

Kiedy wszedłem do sali Wielkiej Rady, powitał mnie szmer niechętnych głosów. Usiadłem naprzeciw ustawionych w półkole miejsc członków rady. Po prawej były miejsca kapłanów. Na

wprost mnie gonów prowincji. Po lewej delegatów narodu. Poniżej mego miejsca zasiedli er-ragoni, Yaami i mój wróg Odiress.

Zgodnie z procedurą otworzyłem posiedzenie. Ogłosiłem punkt pierwszy: zgłoszenie tematów i mówców. Na centralnym ekranie i dwu bocznych ukazało się pierwsze zgłoszenie: Nuuza, kapłan. Oskarżenie ragona o ograniczenie przyrostu naturalnego. Drugie zgłoszenie: Geebo, gon dwudziestej prowincji. Oskarżenie ragona o spowodowanie hegemonii technokratów. Trzecie zgłoszenie: Odiress, pierwszy er-ragon. Oskarżenie ragona o fałszowanie prognoz astronomicznych.

Zaczęli. Wywiad nie mylił się. Spojrzałem na Odiressa. Patrzył na mnie z ironicznym uśmiechem. Już tryumfował.

Jest pewny, że zajmie moje miejsce – pomyślałem. Ale za wcześnie tryumfuje, jeszcze nie przegrałem.

Udzieliłem głosu pierwszemu mówcy.

Wstał Nuuza, arcykapłan świątyni Ammy. Jego nadnaturalnie powiększona postać widniała na wszystkich ekranach.

– Wysoka Rado! – zaczął. – Oskarżam ragona Dogonu o zbrodnie przeciwko prawom boskim i ludzkim! – podniósł głos. – O zbrodnię przeciwko narodowi! Ragon podjął bowiem samowolną decyzję dodawania pewnego środka chemicznego do wody we wszystkich systemach wodnych Dogonu. Środek ten, rzekomo nieszkodliwy dla zdrowia, powoduje zanik owulacji u kobiet. Pod jego wpływem kobiety są zdolne do poczęcia zaledwie kilka dni w roku. Te zbrodnicze praktyki spowodowały spadek przyrostu naturalnego o osiemdziesiąt trzy procent. Tym samym narodowi Dogonu grozi zagłada! Niech go za to ukarze wielki Amma!

Skończył. Na sali rozległy się oklaski i okrzyki:

– Precz z ragonem! Zbrodniarz! Dzieciobójca!

Czekałem, aż umilkną. Wreszcie udzieliłem głosu drugiemu mówcy.

Wstał Geebo – gon dwudziestej prowincji. Od dawna czuliśmy do siebie niechęć. Geebo był demagogiem. Zaczął od efektownego podniesienia rąk. Wpatrywał się przez chwilę w sufit sali, jakby spodziewał się spłynięcia nań łaski niebios. Długo milczał. I nagle ryknął, aż wpadły w rezonans membrany magnetofonów:

– Niech mnie ukarze Wielki Amma, jeśli skłamię choć jednym słowem! Oskarżam ragona o spowodowanie i popieranie hegemonii technokratów! Oskarżam go o zamach na swobody i prawa ludu Dogonu. Ragon, którego ideą jest technika, stworzył system technokratyczny, oparty na dogmacie wiedzy technicznej. Jego idea sprowadza się do wykluczenia ze wspólnoty ludzkiej tych, którzy nie wiedzą. Panowanie nad wiedzą techniczną decyduje o uczestniczeniu we władzy. Ci, którzy nie władają wiedzą, ci, którzy nie zostali wprowadzeni w jej sekrety, zostali od władzy odsunięci, przez zasady i przez hierarchię. Tylko posiadanie wiedzy technicznej daje dostęp do władzy. Jedyne wiedza techniczna jest legitymacją dla autorytetu. Technokratyzm jest zamachem na nasze prawa i wolność. Żądam pociągnięcia ragona do odpowiedzialności za popełnioną zbrodnię stanu.

Sala skwitowała jego przemówienie oklaskami. Padło kilka wrogich okrzyków.

Udzieliłem głosu trzeciemu mówcy.

Wstał Odiress. Skłonił się. Zależało mu na popularności. Słodkim, modulowanym głosem oświadczył: – Jest mi bardzo niezręcznie jako pierwszemu er-ragonowi wnosić skargę. Niestety, inaczej postąpić nie mogę. Praktycznie zostałem od władzy odsunięty, a sumienie nie pozwala mi milczeć. Oskarżam ragona o świadome fałszowanie prognoz astronomicznych. Ragon wykorzystał fałszywą prognozę dotyczącą katastrofy, której ma rzekomo ulec nasze Słońce. Prawdziwą ideą ragona jest ucieczka w bezmiar kosmosu. Usiłuje nam wmówić, że katastrofa zagrażająca słońcu,

zagroza również Dogonowi. Chce nas z Dogonu wywieźć w kosmos. Mamy zostać wepchnięci do statków i wywiezieni w nieznane, aby skolonizować planetę, której położenia i warunków na niej panujących nikt nie zna. Wszystkie poprzednio omówione zbrodnie ragona wynikają z tego właśnie. Dlaczego zbrodniczo ograniczył przyrost naturalny? Bo nie ma możliwości wybudować tyle statków, by pomieścić w nich sześć miliardów dogończyków. Nie może rozmnożyć statków, ale może zmniejszyć liczbę ludzi. Oto źródło pierwszej zbrodni. Ale nawet wtedy, gdy do przewiezienia pozostanie miliard ludzi, trzeba mieć do dyspozycji sto tysięcy statków. Te statki ktoś musi zbudować i wyposażać. Mogą to zrobić tylko ludzie władający wiedzą techniczną. Należy więc ich wyróżniać, hołubić. Mamy tu źródło drugiej zbrodni. Spowodowanie i popieranie hegemonii technokratów... – Na chwilę zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów. – Oskarżam ragona o zamiar wyniszczenia ludu Dogonu! – krzyknął. – O zamach na jego wolność i życie!

Skończył. Sala wiwatowała, większość z obecnych wstała, aby uczcić mówcę. Było gorzej niż przypuszczałem. Bitwa była przegrana. Pozostało mi tylko walczyć do końca. Teraz była moja kolej. Miałem się bronić. Wstałem, aby przemówić:

– Szanowni kapłani! Czcigodni gonowie! Światli delegaci ludu! Wy wszyscy prezacni zgromadzeni tu członkowie Wielkiej Rady! Wysłuchajcie mnie uważnie, chcę się przed wami wytłumaczyć z postawionych mi zarzutów. Nie zaprzeczam, że to, co powiedzieli moi oskarżyciele, jest prawdą, ale jest to prawda subiektywna, prawda zniekształcona, prawda częściowa. Chcę przedstawić wam prawdę obiektywną. Całą prawdę! Od kilku lat nasi astronomowie ostrzegają przed kataklizmem, który grozi naszej planecie. Nasze Słońce zbliża się do punktu krytycznego w życiu gwiazdy. Na skutek pewnych praw fizycznych powiększy swą objętość trzydziestokrotnie, a jasność kilka tysięcy razy. Temperatura na powierzchni Dogonu wzrośnie o tysiąc stopni, co spowoduje, że życie biologiczne czeka zagłada. Jediną możliwością ocalenia jest ucieczka z planety. Musimy zbudować tysiące statków i uciec w kosmos. Innej możliwości nie ma. Prawdą jest, że nie możemy zbudować tylu statków, aby pomieściło się w nich sześć miliardów ludzi. Dlatego ograniczyłem przyrost naturalny, aby powstrzymać naszą rozrodczość. Za dwadzieścia lat możemy opuścić Dogoń, unosząc stąd: życie, kulturę i technikę. Głównym i pilnym zadaniem jest teraz budowa statków. Od tego zależy nasze życie! Dlatego oparłem się na technokratach. Od ich technicznej wiedzy zależy nasze ocalenie. Jest oczywistym, że ci, którzy mniej wiedzą, są w tym przypadku mniej warci. Zadaniem tych, co posiadli wiedzę techniczną, jest kierować tymi, którzy tej wiedzy nie mają. Obowiązkiem tych, którzy nie dysponują wiedzą, jest być posłusznym. To więcej niż obowiązek, to prawo i przymus wynikający z interesu narodu. A dla tych, co wiedzą, to więcej niż zadanie – to prawo. Bo celem nadrzędnym jest ocalenie naszego życia. Mam nadzieję, że Wielka Rada właściwie oceni moje czyny i moje intencje. Wierzę, że pomożecie mi w realizacji tego wielkiego celu...

Na sali panowała cisza, nawet przyjaciele nie nagrodzili mnie oklaskami. Głos mi zadrżał, gdy powiedziałem:

– Na mocy przysługującego mi prawa zarządzam głosowanie.

Na centralnym ekranie zapaliły się napisy „Za” i „Przeciw”. Pod nimi w dziesięciu kolumnach zapalały się punkty głosujących. Patrzyłem na ekran z zapartym oddechem.

Chwilę później klęska była faktem. Na trzystu zgromadzonych dwudziestu głosowało „Za”, dwustu czterdziestu sześciu „Przeciw”, a trzydziestu czterech wstrzymało się od głosu. Był to koniec ragona – mój koniec. Zgodnie z prawem miałem pod nadzorem zostać odprowadzony do swego gabinetu i czekać tam na następcę, który przyniesie mi puchar wina zaprawiony trucizną.

Wstałem i rzuciłem przez ramię do straży: – Chodźmy!

Straż otoczyła mnie ciasnym kordonem.

Gdy wszedłem do gabinetu, spojrzałem na ekran monitora. Na sali wybierano nowego ragona. Było trzech kandydatów: Odires, Nuuza i Geebo. Wierni synowie narodu – pomyślałem i ironiczny uśmiech wykrzywił mi wargi.

Odires zebrał największą ilość głosów. Rada wiwatowała na cześć nowo wybranego władcy Dogonu. Natychmiast dokonano też zaprzysiężenia. Teraz miał nastąpić ostatni akt objęcia władzy. Odires wziął podany mu puchar i z eskortą złożoną z sześciu ludzi wyszedł z sali.

Stałem jeszcze przez chwilę wpatrzony w ekran monitora. Nagle ogarnął mnie niepokój, odwróciłem się do stojącego w gabinecie Ogga.

– Oggo! Jeśli wątpisz we mnie, to jeszcze możesz...

– Nie zwątpiłem, ufam ci! – padła odpowiedź.

– Wobec tego zaczynamy! – powiedziałem twardo.

Oggo odpiął od pasa fonom i rzucił w niego słowa rozkazów:

– Uwaga! Uwaga! Wszystkie posterunki! Zamknąć wejścia do sali obrad!

Widzieliśmy na ekranie, jak wejście do sali zamknęły stalowe płyty.

– Burza jeden! Zniszczyć centralę zdalnych sterowań! Burza dwa! Zniszczyć centralę łączności!

Burza trzy! Zablokować wejścia do budynku! Meldować o wykonaniu!

Po chwili napłynęły meldunki: – Pierwszy, wykonano! Drugi, wykonano! Trzeci, wykonano!

– Dobrze, chłopcy! – pochwalił Oggo. – Opuścić posterunki, przejść do punktu „W”.

– Uważaj! – powiedziałem. – Za chwilę będzie tutaj Odires z obstawą, mogą nas zaskoczyć!

– Bądź spokojny – uśmiechnął się Oggo. – Czekamy na nich. Nie mają żadnej szansy – dodał.

Kiedy pojawi się Odires, chcę z nim zostać sam!

– Będzie tak, jak sobie życzysz.

Wyłączyłem monitor i usiadłem za biurkiem. Nie czekałem długo.

Odires szybkim krokiem wszedł do gabinetu. Był już ubrany w togę ragona. W oczach błyszczała mu radość i tryumf. Podeszedł do biurka i postawił na nim puchar.

– Wypij! – nakazał z nutą nie ukrywanej ironii. – To twoja nagroda za dwanaście lat panowania.

– Zaraz wypiję – odparłem. – Ale pozwól, że cię jeszcze o coś zapytam. W końcu skazaniec ma prawo do ostatniego pytania...

– Dobrze, pytaj, ale nie marudź zbyt długo.

– Czy ty naprawdę nie wierzysz w to, że Dogoń czeka zagłada?

– Uważasz mnie za idiotę? Oczywiście, że wierzę!

– Więc dlaczego mnie zniszczyłeś?

Zawahał się. Chwilę milczał. Twarz mu stężała w grymasie nienawiści. Zwężone źrenice utkwił w mojej twarzy.

– Chcesz wiedzieć? Powiem ci! Nienawidziłem cię od zawsze. Całe wieki. Byłeś taki mądry, szlachetny, dumny, a ja byłem tylko twoim cieniem. To, co ty osiągałeś bez wysiłku, mnie przychodziło z wielkim trudem albo wcale. Miałeś wszystko: kobiety, zaszczyty, władzę, pieniądze. Ja nie miałem nic albo bardzo mało. Byłem skazany na okruchy z twojego stołu. Czy miałem cię za to kochać?

– Rozumiem cię, ale to są sprawy pomiędzy nami. Nie pojmuję, dlaczego chcesz dopuścić do zagłady?

– Mylisz się. Nie mam takiego zamiaru, a wyrażając się ściśle, niezupełnie. Ja nie widzę potrzeby ratowania tego bydła zwanego ludem Dogonu. Mam zamiar wybudować w tajemnicy tyle statków, aby wywieźć stąd milion wybranych ludzi. Uważam, że jest to względne, czy jest się władcą miliona

czy sześciu miliardów. Ważnym jest, aby być pierwszym. Zresztą i tak się wkrótce rozmnożą.

– Cieszę się, że mi to powiedziałaś. Nie będę miał wyrzutów, że cię skrzywdziłem.

– Nie rozumiem! Wyrażaj się jaśniej! – podniósł głos.

– Po prostu popełniłeś błąd, ale któż ich nie popełnia. Zlekceważyłeś przeciwnika. Zresztą nigdy nie można wszystkiego przewidzieć. Nie wiesz o tym, że Wielka Rada jest już zamknięta w sali obrad, że obydwie centrale są zniszczone, a twoja eskorta zlikwidowana. I nie wiesz o tym, że za chwilę umrzesz. A ja z moimi przyjaciółmi odleczę w kosmos. Widzisz, jak bardzo są poplątane drogi przeznaczenia. Niech cię Amma przyjmie do swej chwały...

Wyciągnąłem miotacz i strzeliłem mu w serce, nim zrozumiał, że umiera. Stał jeszcze przez chwilę. W jego oczach było jakieś niewypowiedziane pytanie, na które zabrakło czasu. W końcu zachwiał się i upadł na podłogę. Wtedy wszedł Oggo i spojrzał na zwłoki. Wykrzywił twarz w uśmiechu satysfakcji.

– Wszystko załatwione – zameldował. – Wychodzimy!

* * *

Z wyciem syren pancerne wozy eskorty pędziły ulicami miasta. Siedziałem w pierwszym wozie, obok Ogga, i patrzyłem przez pancerną szybę, jak liczne o tej porze pojazdy robią na jezdni miejsce eskortie ragona.

– Gdzie reszta? – spytałem Ogga.

– Są już na kosmodromie, wysłałem ich przed nami. Nasze wozy jadą ostatnie. Ostatnia dziesiątka.

– Zdążymy?

– Musimy! Wierzę w ciebie! Masz szczęście!

– Ilu ludzi zabieramy?

– Nie miałem czasu ich dokładnie policzyć, ale szacunkowo, razem z dziećmi około trzystu osób.

Pomyślałem, że zabieram z Dogonu niewielu ludzi. Z sześciu miliardów trzysta osób. Dlaczego tak niewielu miałem przyjaciół? Teraz nie jest to już ważne, na refleksje będzie czas później. Oby zdążyć dojechać na kosmodrom. Czekają tam na nas dwie kontynentalne rakiety, a nad Dogonem na stacjonarnej orbicie krąży fotonowiec. Pierwszy i jedyne, ze stutysięcznej serii. Wyposażony i przygotowany do lotu. Jego ładownie są wypełnione wszystkim, co może być nam potrzebne. Zapasów wystarczy na długie lata. A potem? Będziemy przecież lecieć. I szukać w bezkresie kosmosu planety obiecanej...

Ocknąłem się z rozmyślań, gdy wjechaliśmy na kosmodrom. Po kilku minutach byliśmy już w rakietach. A kiedy startowaliśmy, w pobliżu rozerwał się pierwszy pocisk. Było już za późno, by nas dosięgnąć – znowu miałem szczęście.

* * *

Lecieliśmy. Mocą fotonowego silnika pędziliśmy w otchłań kosmosu. Dokąd? W nieznanne? Nie! Lecieliśmy śladem mitu. Mitu sprzed dwudziestu trzech tysięcy lat. Według wskazań tego mitu w odległości dziewięciu lat świetlnych od Dogonu jest planeta, na której będziemy mogli żyć.

Oby była to prawda...

Było to prawie jedenaście lat temu, wkrótce po objęciu urzędu ragona. Lecieliśmy małym stratoplanem nad Zachodnią Pustynią. Ja, czterej ludzie z eskorty i Oggo. Pilotował Oggo. Nagle obniżył lot zataczając szerokie koło. Szukał miejsca do lądowania. Pod nami piętrzyły się ostre

grzbiety skał i głębokie strome wąwozy.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Silnik traci obroty! Musimy lądować albo będziemy skakać. Załóżcie spadochrony!

Silnik zakrzusił się. Miałem już otworzyć właz i skoczyć, gdy Oggo krzyknął: – Jest miejsce!

Pomiędzy skałami była mała dolinka. Na jej skraju stał budynek.

Oggo skierował stratoplan nad dolinę. Wylądował w ostatniej chwili, gdy silnik już nie pracował.

Wyskoczył z aparatu, splunął na szczęście, a potem się roześmiał i rzucił: – To się nazywa mieć fart!

Było już późno, zaczął zapadać zmrok. Naprawę stratoplanu musieliśmy odłożyć do jutra.

Podeszliśmy do budynku. Był to erem. Wybudowano go w czworobok z szarego górskiego kamienia.

Na zewnątrz nie miał żadnego otworu. W jednej ze ścian znaleźliśmy masywnie okutą furkę. Erem był

bardzo stary. Jego ściany zapadły się bodaj do połowy w grunt, na którym je postawiono. Popękany,

porośnięty mchem mur świadczył, że opierał się już wielu wiekom. Nigdy nie słyszałem o eremie na

Zachodniej Pustyni. Wpatrzony w jego mury myślałem o wiecznie płynącej rzece czasu.

Oggo zastukał w furkę. Długo czekaliśmy, nim otworzyło się w niej małe okienko. W okienku

pokazała się część twarzy. Głos spoza furty spytał: – Czego chcecie?

– Ragon Dogonu z eskortą chce tu przenocować – odparł Oggo.

– Ilu was jest? – pytał dalej głos.

– Sześciu.

– Poczekajcie! Zapytam arcykapłana.

Okienko zamknęło się. Długo nie wracał. Wreszcie usłyszeliśmy zgrzyt otwieranych zamków.

W furcie stał bosy eremita w długiej, brązowej szacie.

– Wejdźcie! – powiedział, odsuwając się z przejścia.

Pierwszy wszedł Oggo, z miotaczem w ręku. Za nim ludzie z eskorty. Ja byłem ostatni.

Znalazłem się na małym, prostokątnym placu, otoczonym ze wszystkich stron jednopiętrowym

budynkiem, podziurawionym otworami cel. Wokół piętra biegł kamienny krużganek. Pośrodku placu,

nad niskim cokołem cztery grube kamienne słupy wspierały kamienny dach. Na cokole płonął ogień.

Podszedłem bliżej. Nie miałem wątpliwości, że stoję przed ołtarzem Wiecznego Ognia. Wtedy

skojarzyłem: byłem w eremie braci Ammanitów, czcicieli ognia. Pamiętałem z historii, że Ammanici

byli najstarszym zakonem Dogonu. Historia powstania ich zakonu ginęła w mrokach wieków, nie

przypuszczałem, że jeszcze gdzieś żyją.

– Ragonie! – usłyszałem za sobą głos. – Arcykapłan chce z tobą mówić!

Odwróciłem się. Stał za mną eremita. Nie widziałem jego oczu, zasłaniał je kaptur. Widoczna była

tylko dolna część twarzy.

– Więc prowadź mnie do niego – odparłem.

Dotarliśmy do jednej z cel. Panujący w niej półmrok rozjaśniał blask ognia z paleniska. Przy

palenisku siedział wiekowy starzec. Wyglądał jak martwy. Siedział wyprostowany, a wszystko było

w nim nieruchome. Twarz, powieki, kościste ręce. Nieruchome oczy utkwili w blasku ognia. Usta

miał wykrzywione w zastygłym uśmiechu. On już nie żył, on trwał. Pomyślałem wtedy, że nie można

już się bardziej zestarzeć, że czas się tu zatrzymał, a ten człowiek jest zapewne ponadczasowym

wcieleniem rozkładu. Niedoścignionym władcą czasu, przed którym godzi się bić pokłony. Nigdy nie

widziałem tak starego człowieka.

Przeraźliwe oczy arcykapłana zwróciły się ku mnie. Czulem, jak mnie te oczy przenikają, jak

widzą we mnie wszystko, na wylot, na wskroś.

– Bądź pozdrowiony, kapłanie! – odezwałem się, przerywając przygniatającą ciszę. – Jestem

Nommo, ragon Dogonu. Proszę o gościnę, dla mnie i moich ludzi. Tylko na tę noc.

Moje oczy przyzwyczyły się już do półmroku celi. Patrzyłem na arcykapłana, ale nie dostrzegalem w nim żadnych oznak życia. Tylko te oczy, w których była głębia nieskończoności. Już pomyślałem, że się nie odezwie, gdy do uszu moich dobiegł szept:

– Zostańcie! Podzielimy się z wami jadłem i legowiskiem.

– Dziękuję, ojcze – powiedziałem.

– Nie dziękuj – odparł. – Usiądź! Chcę z tobą mówić!

Usiadłem na ławie stojącej pod ścianą. Wokół była cisza, tylko języki ognia pełgały w palenisku. I znowu z ust starca spłynął na mnie szept. Był jak szmer wiosennego deszczu.

– Jesteś Nommo, ragon Dogonu. Sprowadziły cię tu drogi przeznaczenia. Czekałem na ciebie. Długo czekałem. Jeszcze nie narodzili się twoi rodzice, a ja już czekałem. Wreszcie przybyłeś. Nikt nie ominie swego przeznaczenia. Wysłuchaj mnie uważnie, ragonie Dogonu, mam ci przekazać Wielką Tajemnicę... Spójrz na tamtą ścianę, co tam widzisz?

– Tarczę, a na niej symbol Słońca. Godło Dogonu.

– Tak, synu, ale mylisz się, Ten znak nie jest symbolem naszego Słońca i nie pochodzi z Dogonu. Ten znak pochodzi z bardzo daleka. Z kosmosu. Gdzieś w jego otchłani jest Słońce i jest planeta, z której ten znak pochodzi. Wysłuchaj Wielkiej Tajemnicy i zapamiętaj każde słowo... – ciągnął starzec. – Było to dwadzieścia trzy tysiące lat temu, gdy z kosmosu przyleciał na tę planetę statek. Przybył nim Amma z towarzyszami, kobietami i dziećmi. Przywieźli wiele zwierząt, nasion i wszelkiego dobytku. Rozpleniło się na Dogonię – tak nazwali tę planetę – pokolenie Ammy i jego braci. Liczne były ich stada, pola i winnice. A gdy Amma poczuł, że zbliża się śmierć, wezwał syna swego Ajnno i rzekł mu: „Synu mój, zbudujesz erem na Zachodniej Pustyni i będziesz strzegł w nim Świętego Ognia i Wielkiej Tajemnicy. Będziesz zwał się Ajnno Pierwszy. A gdy upłyną twoje lata, niech zasiądzie w eremie Ajnno Drugi. Jeden po drugim, Ajnowie niech strzegą Świętego Ognia i Wielkiej Tajemnicy. Aż do dnia, kiedy do eremu przybędzie Władca Dogonu. Wtedy to kolejny Ajnno przekaze władcy Wielką Tajemnicę, zgasi Święty Ogień i umrze...”

Ajnno, syn Ammy, wysłuchał słów ojca i spytał: „Ojcze, Dogon jest dużą planetą, a ludzie się mnożą. Władców będzie kilku, może kilkunastu, któremu mam przekazać Wielką Tajemnicę?”

„Przyjdzie czas, gdy nad Dogonem będzie jeden władca” – usłyszał odpowiedź Ammy. I stało się według woli Ammy. Wśród gór Zachodniej Pustyni Ajnno zbudował erem i strzegł w nim Świętego Ognia i Wielkiej Tajemnicy. Po nim przyszli inni Ajnowie. Nad Dogonem przepływały wieki. Powstawały i przemijały księstwa, królestwa, państwa. Wybuchaly wojny, epidemie, kataklizmy. Rodziły się i umierały cywilizacje. Powstawały i upadały potęgi. Tylko erem pośród gór Zachodniej Pustyni trwał niezmiennie. Przemijali tylko Ajnowie...

Starzec zamilkł. Długo czekałem na nową falę szeptu. W końcu znowu usłyszałem głos starca, ale był on silniejszy.

– Jestem Ajnno czterysta sześćdziesiąty trzeci, a ty jesteś jedynym władcą Dogonu. Zdejm ze ściany Wielką Tajemnicę, zabierz ją i odejdz! Niech się dokona przeznaczenie!

Posłusznie podszedłem do ściany i zdjąłem tarczę. Byłem już przy wyjściu, gdy odwróciłem się jeszcze i zapytałem:

– Powiedz mi, ojcze, czy my, niewtajemniczeni, nędzni, bo zagubieni na ścieżkach życia, odsunięci od ksiąg świętych i mądrych bibliotek, niegodni poznania prawdy życia i jego tajemnic – nigdy i znikąd nie dowiemy się, kim był Amma? Czy nigdy i znikąd nie dowiemy się, co kryje się za wspaniałymi fasadami jego świątyń? Jaka jest prawda? Jak daleko odbiega nasze wyobrażenie bóstwa od rzeczywistości? Co ukrywają jego kapłani przed oczyma wiernych?

Po tych słowach cierpliwie czekałem.

– Synu – usłyszałem szept. – Bogów stworzyli ludzie. Bóg jest wynalazkiem koniecznym, a wiara, by sprawnie działać, musi ukryć swe prawdy w dogmacie. Wszchemoc boga poty jest skuteczna, póki dogmat nie jest przez wiernych rozpoznany. Jego rozpoznanie jest końcem boga. Bóg wywodzi się z fundamentów władzy, bo władza musiała nadać sobie boską godność, aby być nietykalną i wymusić uległość poddanych. Władcy i kapłani nigdy nie przyznali się, że bóg jest ich tworem. Mieli objawienia, widzieli znaki na niebie, słyszeli głosy z zaświatów, tłumaczyli działanie żywiołów, przypisywali istnienie boga wszystkiemu, byle tylko nie sobie. Fałsz wiary i władzy polega na tym, że rozumną organizację życia poddanych uzasadniła ona nielogicznie, bo swe twórcze poczynania w tworzeniu cywilizacji – budując, zarządzając – przedstawiła poddanym jako nie pochodzące od niej, ale z tajemnych źródeł... Synu! Życie trwa od wielu tysięcy lat. Zmieniają się ludzie, ale nie zmienia się człowiek. On stworzył wszystko – nawet sam siebie. Zegnaj i idź już!

Wyszedłem z celi. Zapadała noc. Moi ludzie siedzieli na stopniach ołtarza. Wstali, gdy do nich podszedłem. Oddałem tarczę Oggo.

– Strzeż jej, tak jak mnie strzeżesz – powiedziałem.

Eremita zaprowadził nas do celi, gdzie były przygotowane posłania. Przyniósł wody i skromnego jadła.

Szybko zapadliśmy w sen.

Rankiem obudził mnie Oggo.

– Ragonie! Tej nocy zgasł Święty Ogień i zmarł arcykapłan!

– A więc dokonało się – mruknąłem do siebie.

– Co się dokonało? – dopytywał się Oggo.

– Jego przeznaczenie. Może i nasze... – dodałem po namyśle.

Gdy wychodziłem z celi, natknąłem się na eremitę.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – spytałem mnicha.

– Nic!

– Ilu was zostało?

– Zostałem sam – odparł, szybko odchodząc.

Jak się okazało, stratoplan miał drobne uszkodzenie. Naprawiono go dość szybko.

Oggo zatoczył nad doliną pożegnalne koło.

Nigdy tam nie powróciłem.

* * *

Gdy odkrecono tylną ścianę tarczy, znaleziono w jej wnętrzu mapy. Różne. Naszego i obcego nieba. Były też obliczenia i wytyczone szlaki. Specjaliści pracowali nad nimi przez kilka lat. Mieli duże trudności, bo mapy były bardzo stare, częściowo już nieczytelne. W końcu sporządzili raport: „W odległości dziewięciu lat świetlnych od Dogonu istnieje gwiazda z układem planetarnym. Gwiazdę na różnych orbitach obiega dziesięć planet. Na znalezionych mapach wytyczona jest droga z trzeciej planety tego układu do Dogonu...” Tyle mówił raport.

Jeżeli przekaz Wielkiej Tajemnicy jest prawdziwy. Jeżeli Amma – człowiek, przybył na Dogoń w statku kosmicznym z trzeciej planety, to żyją na niej ludzie i istnieje cywilizacja.

O zagładzie, która spadnie na Dogoń, wiedziałem już wcześniej. Wielka Tajemnica dawała szansę ocalenia – dawała życie. Powstał plan ewakuacji. Plan ocalenia miliarda ludzi. Była to nasza ostatnia szansa. Jedyna szansa!

I tak lecimy już szesnaście dni. Mocą fotonowego silnika pędzimy w kierunku obcego Słońca,

którego symbol wisi na ścianie w mojej kabinie.

O Ammo! Boski człowieku! Jak bardzo są poplątane drogi przeznaczenia.

* * *

Jednego z tych dni zebrałem się z kilkoma przyjaciółmi. Panował nastrój ożywienia. Zanosilo się na dyskusję.

– Jak sobie wyobrażasz cywilizację trzeciej planety? – spytał mnie Hiddo.

– Trudne pytanie – przyznałem – ale podejmę dyskusję. Punktem wyjścia jest przybycie na Dogoń statku kosmicznego. Z tego faktu można wysnuć wniosek, że przybysze reprezentowali już wówczas wysoki poziom techniczny. Wprawdzie nie wiemy, jaki typ napędu miał ten statek – fotonowy czy odrzutowo-atomowy. Nie ma to jednak w naszych rozważaniach istotnego znaczenia. Faktem jest, że cywilizacja, którą reprezentowali przybysze, była na poziomie naszej współczesnej. Uwzględniając czynnik czasu, możemy spodziewać się wielkiego postępu. Może supercywilizacji. Niestety, nie potrafię wyobrazić sobie supercywilizacji, brak mi wyobraźni. Mechanizm wyobraźni jest ograniczony, wyobrażamy sobie na podstawie pewnych punktów odniesienia. W tym przypadku punktem odniesienia jest poziom naszej cywilizacji. Mogę wyobrazić sobie siłownie atomowe o mocy tysiąc razy większej niż nasze. Olbrzymie statki kosmiczne lub automaty spełniające już nie tylko polecenia człowieka, ale nawet jego myśli. I być może popełniam tu błąd w rozumowaniu. Może supercywilizacja wcale nie oznacza najdoskonalszej techniki, ale rozwija się w całkiem innym kierunku. Może oznacza rezygnację z liczebności przez doskonalszą regulację i asymilację z naturą...

– Twoje rozumowanie jest logiczne – orzekł Mimmo. – W erze technologicznej mogli zużyć złoża surowców. Wtedy z konieczności byli by zmuszeni przestawić się. Człowiek nie musi być zawsze ekspansywny, nie musi dążyć do opanowania środowiska. Jego siłą jest inteligencja, jego możliwości przystosowawcze. Być może stworzyli technologię biologiczną, aby przekształcić siebie. Wtedy mogliby istnieć w środowisku bez potrzeby ciągłego ataku na materię...

– Ten problem rozstrzygniecie, gdy dolecimy do trzeciej – usłyszałem za sobą kobiecy głos.

Odwróciłem się. Stała za mną Gaaja. Promieniowała radością i urodą.

Ubrana była w krótką zieloną tunikę – ostatni szlagier dogońskiej mody. Na długich, smukłych i bardzo opalonych nogach miała sandały sznurowane do połowy łydki. Tunika była przewiązana plecionym ze skóry paskiem, za który zatknięty miała błyszczący sztylecik. Była to kreacja z serii antycznej. Jej doświadczenie i mądrość dorównywały urodzie. Była absolwentką trzech dogońskich uczelni i pomimo młodego wieku piastowała urząd gona jednej z zachodnich prowincji.

– Szukałam cię – zwróciła się do mnie. – Chcę z tobą porozmawiać...

– Już wychodzimy – szybko zdecydował Hiddo.

– Zostańcie! – wstrzymałem go. – To my was opuścimy.

Gestem wskazałem jej wyjście. Ruszyła pierwsza. Szedłem za nią i myślałem, że znam ją już od kilku lat, ale nasze wzajemne stosunki ograniczały się jedynie do bardzo luźnej sympatii. Należała do moich stronników, choć w ostatnim okresie odniosłem wrażenie, jakby mnie unikała. Szedłem za nią nieco zaintrygowany. Ciekawe, o czym chce ze mną mówić?

– Gdzie chcesz iść? – spytałem.

– Myślę, że najlepiej będzie w twojej kabinie. Tam nikt nam nie przeszkodzi – dodała, jakby chcąc usprawiedliwić zamiar wtargnięcia do mojego prywatnego apartamentu.

– Więc chodźmy – zgodziłem się, a w duchu uznałem, że sprawa, z którą przychodzi, musi być naprawdę ważna.

Przed kabiną stał wartownik z miotaczem. Podejrzliwie spojrzął na sztylecik Gaaji. Uspokoilem go machnięciem ręki. Wciąż byłem ragonem. Wprawdzie już nie Dogonu, ale statku. Poleciałem wartownikowi, aby nikogo nie wpuszczał, i weszliśmy.

Moja kabina była trzypokojowym apartamentem. Sypialnia, gabinet i pokój wielofunkcyjny. Właśnie do niego zaprosiłem Gaaję. Usiadła w rogu, przy małym stoliku. W pokoju był półmrok, lampa o przyćmionym świetle stwarzała intymny nastrój.

Nalałem dwa puchary wina hereckiego. Miało cierpko-słodki smak owocu tabez. Nazywałem go smakiem Słońca. Słońca, którego już nigdy nie zobaczę.

– Słucham cię! – zwróciłem się do Gaaji, przerywając wspomnienia i ciszę.

Widziałem, że było jej trudno zacząć, widziałem, jak się męczy, ale nie mogłem jej pomóc. Opanowała się w końcu i z widoczną determinacją rzuciła: – Kocham cię, Nommo!

Musiałem mieć bardzo zdziwioną minę, bo zaraz dodała:

– Proszę, nie przerywaj! Odpowiesz mi, jak skończę!

Odetchnęła głęboko i już cichym, spokojnym głosem mówiła:

– Tak, kocham cię. Kocham cię od pierwszego dnia, w którym cię poznałam. Od tego dnia minęły trzy lata, nie mam sposobu na to uczucie. Jest silniejsze niż moja wola. A ty nigdy nie dawałeś powodu, abym mogła mieć nadzieję. Nigdy nie zwróciłeś na mnie uwagi. Kilka miłych słów to było wszystko, co przez te lata usłyszałam od ciebie. Może spytasz, dlaczego nie przyszłam wcześniej? Nie pozwalała mi na to duma. Ty byłeś władcą Dogonu, a ja... Teraz już nim nie jesteś, teraz mogłam przyjść. Nommo! Nie mogę bez ciebie żyć! Przyjmij mnie!

Zapadła cisza. Zaskoczyła mnie tym wyznaniem. Nie kochałem jej. Nie kochałem nigdy żadnej kobiety. Nie stroniłem od nich, byłem normalnym mężczyzną. Ale to teraz dotyczyło sfery uczuć.

– Gaaju – zacząłem bardzo niepewnie. – Ja zawsze starałem się być uczciwy. Będę i teraz, Gaaju – powtórzyłem – ja cię nie kocham. Nigdy nie kochałem żadnej kobiety. Po prostu nie jestem zdolny do tego typu uczucia. Będę szczery. Lubię cię, podobasz mi się, pociągasz mnie. Jesteś piękną kobietą. Ale to wszystko. Nie jestem pewien, czy można na tym zbudować współżycie z...

– Mnie to wystarczy! Chcę być z tobą! – przerwała mi impulsive. – Jeśli nie możesz mnie kochać, wystarczy mi, że pozwolisz kochać ciebie. Chcę leżeć z tobą w jednym łóżu, tulić się do ciebie. Tak będę szczęśliwa. Nie jest dla mnie ważne, czy będę twoją żoną czy kochanką. Pragnę być z tobą!

Płynął od niej taki ogrom miłości i oddania, że wzbudziła we mnie współczucie. Czy mam ją odepchnąć? – myślałem. Czy znajdę równie piękną, mądrą i oddaną kobietę?

– Dobrze, Gaaju – powiedziałem. – Zostańmy razem. Widocznie los tak chce.

Uśmiech szczęścia zakwitł na jej ustach, a z oczu spłynęły dwie wielkie łzy. Rzuciła się w moje wyciągnięte do niej ramiona, tuląc się całą siłą swego młodego ciała. Pocałowałem ją. Oddała pocałunek. To nie był pocałunek, to był cyklon pocałunków. Krew zatętniła mi w żyłach, przycisnąłem ją silniej. Wyrwała się z mych objęć i pociągnęła do sypialni...

Nigdy w życiu nie miałem takiej kochanki. Jej oddanie było dla mnie wstrząsem i budziło nieznane uczucia. Jej ciało pograżało mnie w szaleństwie zmysłów i dawało cudowne uspokojenie. Nigdy w zbliżeniu z kobietą, nigdy w dotychczasowym życiu nie odczuwałem takiej nawałnicy uczuć i doznań, i takiej ulgi po spełnieniu.

Zasnąłem, a gdy obudziłem się z krótkiego snu, zapaliłem lampę, aby znów upajać się i cieszyć jej urodą. To, co teraz w niej odkryłem, było tak samo wstrząsające, jak akt zupełnego oddania i burzliwej rozkoszy. Jej twarz, otoczona złotą aureolą włosów rozsypanych na białej poduszce, tchnęła czułym spokojem. Duże błękitne oczy patrzyły na mnie z miłością i oddaniem. Dawniej te

oczy były piękne, chłodnym pięknem doskonałości. Teraz, gdy poznałem ogień w niej płonący i odpowiedziałem ogniem, zostało w nich ciche ukojenie. Pieściła moją nagość i przestrzeń między nami spojrzeniem pełnym wdzięczności, ciepła i rozkosznego znużenia...

* * *

Było to coś białego. Na białym tle dwa zielone punkty. Był jeszcze trzeci, karminowy i ruchomy – usta Izabeli. Wpatrzono we mnie czujne, zatroskane oczy. Odróżniałem już przedmioty. Wracalem. Przede mną na ścianie wisiał zegar. Wskazywał godzinę dwudziestą pierwszą.

– Jak się czujesz? – pytała mnie już po chwili Izabela.

– Dobrze! Całkiem dobrze! – zdobyłem się na odpowiedź. – Napiłbym się kawy.

– Zaraz ci podam. Mam już przygotowaną. Panie Papadukulos, niech go pan odepnie! – zwróciła się do Dymitriososa.

Wstałem i zachwiałem się. Byłem niesamowicie ścierpnięty, w głowie warczał mi traktor. Dopiero po kawie poczułem się lepiej.

– Dlaczego przerwaliście emisję? – spytałem.

– Ze względów humanitarnych, stary. Nie mam ochoty uczestniczyć w pogrzebie przyjaciela i w dodatku być jego mordercą. Wszystko ma swoje granice wytrzymałości, człowiek również. Przyjdiesz tu za dwa dni, wtedy nastąpi ciąg dalszy... Pytanie: czy pamiętasz coś z tego, co przeżywasz?

– Wszystko!

– Ciekawe, miałem pewne wątpliwości... Cóż więc tam odgrywają?

– Interesujące rzeczy, ale opowiem ci innym razem. Jestem teraz bardzo zmęczony.

Wracaliśmy do hotelu jak zwykle taksówką. Izabela siedziała milcząca, o nic nie pytała. Gdy wszedłem do pokoju, położyłem się na tapczanie i zamknąłem oczy. Muszę przeżyć to wszystko jeszcze raz – pomyślałem.

Tym razem przejście było łagodne. Papadukulos dokładniej ustawił maser. Znów była przestrzeń i mrok. Byłem przestrzenią i mrokiem, zagubionym w wirze czasu. Przestrzeń wypełniała się. Mrok trwał.

Leżałem w ciemnej kabinie obok Gaaji. Nie spałem. Od pewnego czasu cierpiałem na bezsenność.

– O czym myślisz? – spytała.

– Myślę o nas – odparłem zaskoczony tym, że ona też nie śpi.

– Co myślisz o nas?

– Wspominam, że dzisiaj minęły cztery lata, jak jesteśmy razem.

– Sądziłam, że zapomniałeś o rocznicy. Cieszę się, że pamiętasz...

Długo się nie odzywała. Pomyślałem już, że zasnęła, kiedy nagle spytała: – Co sądzisz o metodzie Ayooba?

– Sądzę, że podarował nam „Nieśmiertelność”.

– W tym określeniu jest przesada. Przecież tak całkiem nieśmiertelni nie będziemy – powiedziała, odwracając się do mnie.

– Oczywiście, że nie. Możemy umrzeć w wypadku lub na skutek nagłej choroby, na którą nie ma lekarstwa. Poza tym słabym punktem tej metody jest pojemność ludzkiego mózgu.

– Dlaczego?

– Przecież Ayoob to objaśnił – odparłem jej zdziwiony.

– Niby tak, ale on mówi językiem specjalisty, a ty zrobisz to bardziej zrozumiale.

– No dobrze. Ayoob od wielu lat prowadził badania biologiczne. Konkretnie chodziło mu o potomka człowieka, genetycznie wierną kopię dawcy komórki, czyli klon...

– To wiem – przerwała mi. – Tylko nie rozumiem, jaka z tego korzyść?

– Wysłuchaj do końca, a na pewno zrozumiesz. Ten osobnik, klon, jest identyczny z dawcą, ale jego rozwój trwa zgodnie z prawami natury, czyli lata. Ayoob sięgnął głębiej. Do informacji genetycznej. Każdy gen można wyizolować, rozmnożyć i zbadać jego strukturę i właściwości. Udało mu się wyizolować geny mające wpływ na szybkość rozwoju organizmu. Zmienił ich informację genetyczną doprowadzając do dziesięciokrotnego przyspieszenia rozwoju organizmu.

– I cały ten proces odbywa się w organizmie kobiety?

– Nie. Od kobiety pobiera się tylko jajo. Zapłodnione umieszcza się w sztucznej macicy, aby po dwu miesiącach embrion przenieść do zbiornika wypełnionego specjalnym płynem fizjologicznym, gdzie przez cały okres pobytu, wraz z krwią bezpośrednio do żył otrzymuje pokarm i tlen. Zastosowana metoda powoduje bardzo szybki wzrost ciała osobnika. Po dwóch latach jest to ciało dwudziestoletniego człowieka. Jest identyczny pod każdym względem z dawcą komórki.

– Tyle że to nie jest człowiek. On nie ma osobowości, świadomości istnienia! – zastrzegła szybko.

– Fizycznie jest człowiekiem, a świadomość wkrótce otrzyma. Zostanie przeprowadzona transformacja osobowości. Następny eksperyment. Tym razem Tuuna. Ayoob i Tuun od pewnego czasu współpracują...

– I kto pierwszy podda się „odmłodzeniu”?

– Naat. On był dawcą komórki. Jest z nas najstarszy, ma już pięćdziesiąt lat. A sens metody jest taki, że nie będziemy umierać ze starości. Nasze życie nie będzie ograniczone czasem, przeciętną życia. Wkrótce Naat będzie miał dwadzieścia lat i zacznie się od nowa starzeć. Czyli teoretyczny młodzieniec.

– Dlaczego teoretyczny?

– Bo słabym punktem metody Ayooba jest pojemność ludzkiego mózgu.

– Jak mam to rozumieć?

– Mózg ma ograniczoną pojemność pamięci i przyswajania informacji. Pod koniec życia jest już niezbyt odległy od osiągnięcia wartości granicznej. Po przeprowadzeniu transformacji do nowego mózgu, ten nowy zaledwie zdoła pomieścić pamięciową całość osobowości, a z otoczenia napływają wciąż nowe informacje. I można się spodziewać, że wkrótce u Naata pojawią się objawy osiągnięcia przyswajania granicznego.

– Czyli fiasko metody?

– Nie sędzę. Sęd dwie moźliwosci. Wymazywanie z pamieci mniej waznych okresow zycia i tym samym stworzenie miejsca na nowe informacje. Druga moźliwosc dotyczy mozgu. Wykorzystujemy zaledwie jedna piata jego pojemnosci. Cztery piate mamy jakby na wyrost. Nikt jak dotad nie zbadal, czy jest to zapas dany nam przez obiektywna nature czy stopien ewolucji. Ayoob ma nadzieje, ze otworzy dostep do tych czterech piatych mozgu i wtedy jego pojemnosć zwiększy sie pięciokrotnie.

– I będziemy żyć po pięćset lat?!

– Moze jeszcze dluzej. Ale w tej chwili jest wiele pytan, a bardzo malo odpowiedzi. Wierze, ze na to pytanie odpowie przyszlosc.

– Na przyklad co?

– Na przyklad weźmy sama osobowosc. To, co sie na nia sklada: indywidualnosć cielesna, materialna tozsamosć organizmu oraz jego indywidualnosć psychiczna, bazujaca na pamieci i charakterze. Co z tego zostanie po kolejnych odmłodzeniach i transformacjach?

– Na pewno będą protesty natury etycznej.

– Juz są. Ale etyka jest w koncu pewna umowa obowiazujaca w danym srodowisku, zycie jest konkretem. Sędze, ze majac do wyboru nieobowiazujaca umowe i smierc, wybiora zycie i mlodosc.

– Ja tez tak mysle!

Po tym wykladzie Gaaja miala dosc. Zasnęła.

Wsluchiwalem sie w jej miarowy oddech. Byla jak dziecko, nie potrafila zasnac sama. Musiala przytulic sie do mnie, wtedy natychmiast zasypiala. Bylismy ze soba juz cztery lata. Nie zalowalem tej decyzji. Byla dla mnie wszystkim: przyjaciela, kochanka, opiekunka i sekretarka. Byla piekna i madra. Dawala z siebie wszystko – wiernosc psa i milosc matki. Dwa irracjonalne uczucia. Co dostawala w zamian? Chyba wszystko, na co bylo mnie stac...

Ja nie moglem zasnac. Powrociłem do problemu „Nieśmiertelności”. Zagadnienia etyczne go nie wyczerpywaly. Zasadniczy problem tkwil w tym, ze osobowosc konkretnej jednostki, a wiec zycie, moglo trwac teoretycznie w nieskonczonosc. Czy osobowosc czlowieka starzeje sie wraz z nim? Na pewno tak, ale w normalnych warunkach. Inna jest osobowosc dziecka, mlodziencza, czlowieka dojrzałego i starca. Inaczej bedzie to przebiegac, gdy osobowosc starca zostanie przetransformowana w dwudziestoletnie ciało. Czy po przeżyciu kilku kolejnych wcieleń dana osobowosc bedzie na tyle zmeczona zyciem, by z niego zrezygnowac? A jezeli nie po pieciu, to po ilu? I czy w ogole? Czy prawo w tym przypadku moze ograniczyc dlugosc zycia jednostki? A jak bedzie funkcjonowac spolecznosc, w ktorej nie beda umierac, ale beda sie rodzic nowi?

Wiele bylo pytan, na ktore nie znallem odpowiedzi. Na razie nie bylo problemu. Nieśmiertelnosć dotyczyla tylko trzystu ludzi.

* * *

Lot trwal. Od dwuch lat statek zwalnial swój bieg. Z kazdym dniem zmniejszal szybkość. Do konca

podróży pozostał jeszcze rok. Sam pojazd działał sprawnie – wytrzymał. Zawiedli ludzie. W trakcie lotu pojawił się problem ogólnego zakłócenia równowagi psychicznej. Objawy były różne, przyczyna zawsze ta sama...

Zebraliśmy się w ścisłym gronie, aby znaleźć środki zaradcze. Biolog Ayoob rzeczowo wprowadził nas w zagadnienie: w ostatnich latach w naszej społeczności wystąpiło zakłócenie równowagi psychicznej. Sygnałem było zwiększone zużycie leków uspakajających i nasennych. Potem wystąpiła „epidemia” bezsenności. Obecnie występują ogólne zaburzenia, od melancholii do furii, panuje atmosfera przygniatającej apatii, niepewności i zwątpienia. Nazwał te objawy obsesją „czarnej pustki”. Dla wielu z nas czas się zatrzymał i zaczął ciążyć, wielu ma poczucie, że stoimy w miejscu. Reakcje ludzi są uzależnione od osobistego temperamentu. Jedni ulegają apatii, inni szukają kontaktów z odmienną płcią, ale zdarzają się też ataki furii.

Pomyślałem, że Ayoob ma rację, ale samo stwierdzenie faktów nie rozwiązuje problemu. Musimy znaleźć rozwiązanie, w końcu do celu podróży pozostał tylko rok.

– Przyczyny zakłóceń znamy – zwróciłem się do obecnych. – Stan psychiczny naszej zbiorowości ustaliliśmy, ale zastanówmy się, jak temu przeciwdziałać. Co proponujecie?

– Sądzę, że nie orientujecie się, jakie podłoże mają przypadki apatii, melancholii i w ogóle depresji – odezwał się Hiddo. – To brak uczuć pozytywnych, brak radości. Niezdolność do przeżywania przyjemności. Brzmi to niegroźnie, ale im dalej w stronę melancholii i depresji, tym gorzej. Badania, które od pewnego czasu prowadzę, wykazały, że smutek i radość są czymś realnym, uchwytnym. Odczucia te są związane z produkowanymi przez mózg substancjami chemicznymi, zwanymi endorfinami. Bez tych substancji nie można odczuwać radości. Endorfiny otrzymałem na drodze syntezy. Wprowadzenie tych syntetyków do organizmu oszukuje nas tak dokładnie, że zaczynamy odczuwać radość, nie zauważając żadnej różnicy. Nasze odczucia są uzależnione od biochemicznego podłoża.

– Mówisz o środkach syntetycznych, które działają pozytywnie na stany depresyjne. Czy możemy je zastosować w naszym przypadku? – spytałem Hidda.

– Oczywiście, że możemy, ale endorfiny syntetyczne są tak łudząco podobne do naturalnych, że mózg nie odróżnia substancji wytworzonych przez siebie od dostarczonych z zewnątrz i zaprzestaje produkcji endorfin.

– Weź pod uwagę, że będziemy stosować je tylko przez rok. Gdy wylądujemy, zmienią się radykalnie warunki i nie będzie potrzeby ich stosowania. Wszystko powróci do normy. Zadziałają naturalne bodźce pobudzające. Nastąpi wyzwolenie inicjatywy i energii. Nie będzie już problemu „czarnej pustki”. Chodzi tylko o to, abyśmy przetrwali ten rok.

– W tym przypadku sądzą, że możemy podjąć ryzyko – zgodził się Hiddo. – Możemy endorfiny dodawać do pożywienia, ale stopniowo, bez przesady.

* * *

Niezależnie od stosowania syntetyków, zebrałem wszystkich dorosłych i wygłosiłem przemówienie mobilizujące. Według zasady: jeśli nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi.

– Przyjaciele – zwróciłem się do nich – za rok lądujemy na trzeciej planecie. Czeka nas bardzo dużo ciężkiej pracy. Liczę na was. Starajcie się zdobyć kwalifikacje techniczne i naukowe. A ci z was, którzy je mają, powinni je doskonalić. Każdy z was, kto reprezentuje jakąś wiedzę lub umiejętność, będzie nam bardzo potrzebny. Mam nadzieję, że się na was nie zawiodę. Tak jak wy nie zawiedziecie się na mnie...

Po zastosowaniu endorfin stan psychiczny naszej zbiorowości z każdym dniem był lepszy. Powoli następowało ożywienie i wzrost aktywności. Już nie spotykało się osobników z melancholią w oczach, snujących się bez celu po pomieszczeniach statku. Społeczność zaczął ogarniać rytm pracy. Zorganizowano kursy kwalifikacyjne, wykłady, odczyty, dyskusje. Urządzano zabawy, przedstawienia, konkursy. Ludzie zapomnieli o „czarnej pustce”.

* * *

Wracaliśmy w trójkę z przedstawienia. Rozmawiając szliśmy korytarzami statku. Gaaja zatrzymała się przed wejściem do Galerii Gwiazdnej. Nigdy tu nie przychodziliśmy. W perspektywie galerii ledwie widoczny w słabej poświacie monitorów stał samotny człowiek. Zbliżyliśmy się do niego. Był to Wottan.

– Czy i was przyciągnęła tu „czarna pustka”? – spytał.

– Nie! – odparł Oggo. – Przechodziliśmy tędy po prostu, ale co ciebie tutaj przyciąga?

– Tajemnice kosmosu, o których wciąż myślę i których nigdy nie pojmem. Chciałbym zrozumieć, co to jest? Gdzie się zaczyna i gdzie się kończy? Względnie, dlaczego się nie zaczyna i dlaczego się nie kończy?

– Nie pojmuję, o co ci chodzi – przyznał Oggo.

– Wszystko, co nas otacza, jest w czymś. My jesteśmy w statku, statek jest w kosmosie. A w czym jest kosmos?

– To ty jesteś astronomem. Kosmos jest twoją specjalnością – zauważył Oggo.

– To wszystko prawda. Tylko że jak dotąd, poznaliśmy pewne mechanizmy kosmosu, a nie jego istotę. Zawsze powraca to samo pytanie, na które nie ma odpowiedzi: Co to jest?

Gaaja, jakby mu odpowiadając, zacytowała werset ze świętej księgi Keba:

– „Na początku wszystkiego był Amma, który na niczym nie spoczywał. Jajo-Kula Amma było zamknięte. Kiedy Amma rozbił jajo Wszechświata i wyszedł z niego, powstał wirujący wicher. Ten fakt spowodował wyjście yala ze spirali, która wirując w łonie jaja, spowodowała rozszerzenie się Wszechświata...”

– I masz już wyjaśnienie! Wystarczy? – roześmiał się Oggo.

– Niestety, nie!

– A co sądzisz o istnieniu w kosmosie życia? – spytała go Gaaja.

– Patrząc na ciebie wierzę, że istnieje. I to całkiem udane – zauważył rozbijając Wottan.

– Nie żartuj! Pytam poważnie.

– Wiem na pewno, że istnieje na tym statku, na Dogonię, i prawdopodobnie na trzeciej planecie, celu naszej podróży. Poza tymi przypadkami istnieją hipotezy.

– Wątpisz w nie?

– Czy wątpię... Z hipotezami jest ten problem, że większość z nich jest niesprawdzalna. Zagadnienie życia w kosmosie należy właśnie do tej kategorii. Mogę tylko powiedzieć: nie wiem.

* * *

Zbliżyliśmy się do celu. Często przebywałem teraz w nawigacyjnej. Na środkowym ekranie widniało małe, dalekie, obce Słońce. Lubiłem tu przychodzić. Wsłuchiwałem się w szum automatów sterujących, buczenie programatorów, szcęk przekaźników. Mruganie sygnałów na pulpitych sterowniczych działało uspakajająco. W odpowiedzi na płynące stąd rozkazy statek wypełniał się

szmerami i ruchem. Dawało to poczucie pewności i siły. Spadała szybkość, przeciążenie rosło. Wchodziliśmy w układ planetarny. Nasze radary zaczęły działać. Komputer przetworzył dostarczone dane i rzucił na ekran wykres układu. Centralna gwiazda i obiegające ją na różnych orbitach dziewięć planet. Siedem z nich miało satelity. Nie zgadzało się. To nie był ten układ. Nie był to układ z mapy Ammy. Tamten miał dziesięć planet, z których sześć miało satelity. Zebrała się esencja inteligencji – jak to ktoś złośliwie określił. Nawigatorzy, astronomowie, cały sztab operacyjny.

– Przylecieliśmy, przyjaciele, ale nie tam, gdzie zamierzaliśmy! Jak to się stało? – zadałem im pytanie. – Czy sprawdziliście trajektorię lotu? Może były odchyłki?

– Sprawdziliśmy trajektorię, jest zgodna z założoną – odezwał się nawigator Oyaa. – Żadnych odchyłek nie stwierdzono!

– Wobec tego jak wyjaśnić, że przylecieliśmy do innego układu?

– Nie sędzę, że jest to inny układ – zaprzeczył Wottan. – Dokładnie sprawdziłem mapy Ammy. Oprócz dwóch szczegółów, które są różne, reszta się zgadza. Zniknęła jedna planeta, ale przybył jeden satelita. Wniosek nasuwa się sam. Jedna z planet została satelitą drugiej. Minęło przecież tysiące lat, a takie przypadki w kosmosie się zdarzają...

– Kontynuować lot na trzecią planetę! – wydałem rozkaz.

* * *

Radio bez przerwy nadawało sygnał wywoławczy. Równoległe z emisją sygnału trwał nasłuch. Bez rezultatu. Trzecia milczała.

Gdy nad nią dotarliśmy, ogarnął nas zachwyty. Była piękna. Zielonobłękitna. Chwilami przysłaniały ją kłębiące się chmury. Gdy weszliśmy na orbitę stacjonarną, błyszcząca szafirem swych mórz i oceanów.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziałem do nawigatora. – Mieliśmy zastać na trzeciej rozwiniętą cywilizację techniczną. Jak dotąd nie mamy żadnego kontaktu. Wokół planety trwa całkowita cisza radiowa. Na nasze wezwanie nikt nie odpowiada. Czyżby się nas obawiano?

– Nie widzę powodu do obawy. W końcu to tylko jeden statek, a nie flotylla. Podejrzewam, że na planecie nie ma cywilizacji, a może nie ma i życia – odparł Oyaa.

– Życie jest, i to bardzo bogate – zaprzeczył Ayoob. – Wysłałem próbnik biologiczny. Skład powietrza jest nawet lepszy niż na Dogonię.

– Nic nie wymyślimy – odezwał się Oszuun, pilot. – Proponuję wysłać dwie planetarne i sprawdzić! Zgłaszam się pierwszy!

– To ja lecę drugą raketą – zdecydował szybko Oggo.

– I ja! – zawołał Oyaa.

Wyzaczyłem dwie załogi. Startowali w odstępie dziesięciu minut. Mieliśmy stałą łączność. Schodzili na planetę spiralą. Widzieliśmy na ekranach, gdy weszli w atmosferę. Hamowali błyskami dysz. Byli już nad planetą, lecieli na niewielkiej wysokości. Włączyli rejestratory. Na ekranach migły puszcze, łańcuchy gór, stepy i pustynie. Dłużej morza i oceany. Rozdzielili się na równiku – jedna na północ, druga na południe. Już można się było zorientować, że oceany mają przewagę nad lądami. Kiedy dotarli do biegunów, zawrócili ku równikowi.

– Proszę o pozwolenie na lądowanie – odezwał się Oggo.

– Zgadzam się! – powiedziałem. – Możecie lądować, ale razem w odległości optycznej.

Wylądowali prawie jednocześnie na skraju dżungli. Gdy opadł pył, wyskoczyli z raket. Oszło imoło ich błękitne, prawie już zapomniane niebo. Na ich twarzach szalała radość. Znowu jest

przestrzeń, zielen, wiatr i słońce. Jest życie. Zapomnieli się, gdzie są. Musiałem przywołać ich do porządku.

– Uwaga zwiad! – krzyknąłem do mikrofonu. – Zachować ostrożność! Przygotować broń! To nie jest wycieczka!

Poskutkowało.

– Czy pozwolisz na penetrację okolicy? – spytał Oszuun.

– Tak! Ale dwaj pozostaną przy raketach. I penetrujcie nie dalej niż w promieniu dwóch begadzerów, wzajemnie się ubezpieczając. Włączcie osobiste kamery! My też chcemy coś widzieć!

Ruszyli w dżunglę. Natrafili na ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, w jej wilgotnym gruncie odcisnęło się mnóstwo zwierzęcych śladów. Szli wolno, przystając i nasłuchując, wokół było cicho. Huk lądujących rakiet wypłoszył mieszkańców dżungli.

Minęło już pół godziny, a w otoczeniu nic się nie zmieniło. Z obu stron ścieżki stała ściana splątanych roślin o kilkuwarstwowej strukturze. Pod najwyższymi drzewami rosły niższe, w najniższej warstwie krzewy, a wśród nich leżały powalone pnie i zeschnięte opadłe gałęzie. Już miałem zarządzić powrót, gdy w perspektywie ścieżki zauważyłem prześwit. Po kilku minutach wyszli nad strumień. Ścieżka prowadziła do wodopoju. Szli wzdłuż brzegu wypatrując w przezroczystej wodzie ryb. I nagle kamera Oszuuna znieruchomiała. W nadbrzeżnym ile odcisnięty był ślad bosych stóp człowieka. Zbiegli się w to miejsce. Ślad był świeży, sprzed kilku godzin. Wchodził w wodę i ginął w strumieniu.

– Uwaga zwiad! – zawołałem. – Zróbcie zdjęcia i pomiar tych śladów. I wracajcie do rakiet! Koniec zwiadu!

– Rozkaz! – odpowiedział Oggo pełniący funkcję dowódcy.

Po dwu godzinach weszli do nawigacyjnej.

– I co tam widzieliście? – zapytałem.

– Praktycznie to samo co i wy – odparł Oggo. – Puszcze, góry, morza, oceany. Żadnych miast, osiedli, konstrukcji technicznych. Mamy wszystko w wideozapisie. Damy to komputerowi, może coś przeoczyliśmy... Ślady na pewno były śladami człowieka. Jego stopy były szersze niż nasze. Charakterystyczny był ślad odcisniętych paznokci. Sądząc po ich długości, nigdy nie były obcinane. Z tego wniosek, że osobnik nigdy nie używał obuwia...

Komputer nie znalazł żadnych śladów cywilizacji. To nie była planeta, z której przybył na Dogoń Amma.

– W końcu jest to nasza hipoteza, że Amma przybył z trzeciej – powiedziałem wtedy do towarzyszy. – Okazuje się, że założenia były błędem. Amma i towarzysze znali prawa kosmosu. Widocznie przewidzieli, że Dogoń czeka zagłada. W swym przekazie wskazali nam drogę ucieczki i ocalenia. Ale to wcale nie oznacza, że oni sami pochodzili z trzeciej. Po prostu znali jej warunki i położenie w kosmosie. Prawdopodobnie zamieszkiwali inną planetę w innym układzie. I może ta ich rodzima planeta już nie istnieje. W końcu nie ma o czym dyskutować, nie mamy wyboru! Cieszymy się, że można tu żyć. Teraz głównym i nie cierpiącym zwłoki zadaniem jest przeniesienie się na planetę. Cała nasza społeczność ma już dość statku i podróży. Należy jak najszybciej ją zbadać, aby poznać warunki na niej panujące.

Zarządziłem podział zadań i wyznaczyłem ludzi.

– Rozeznaniem tubylców zajmę się osobiście, z Gaają i Oggiem – orzekłem. – A wy dobierzcie sobie pomocników i nie zwlekajcie, wszystko jest pilne.

Kiedy już odeszli, zwróciłem się do Ogga:

– Co proponujesz? Jak się zabierzemy do zadania?

– Sądzę, że najpraktyczniej będzie lecieć stratoplanem. Oni gdzieś muszą mieszkać. Muszą gdzieś mieć domy, wioski, może osiedla. Gdy je odkryjemy, będziemy mogli nawiązać kontakt.

– Dobrze! Lecimy stratoplanem. Przygotuj na jutro sprzęt, broń i żywność. Wyruszymy wczesnym rankiem.

* * *

Była jeszcze noc, ale już zaczynał się świt. Słońce wschodziło czerwono. Nie, to nie słońce. To jutrzienka barwi czerwienią niebo. Ale to nie jest niebo... To światło jutrzienki przebija przez moje zamknięte powieki.

Otworzyłem oczy i westchnąłem. Przy mnie stała Izabela. Papadukulos odpiął mnie od „fotela” i doprowadził do stołu. Napiłem się kawy i zapaliłem papierosa. Wtedy Papadukulos usiadł po przeciwnej stronie stołu i spytał:

– Powiedz mi, co przeżywasz? Co jest w tym zapisie?

– Co przeżywam? Dziwną historię. Bardzo dziwną. Jestem wodzem garstki wygnańców, którzy przybyli z Dogonu na Ziemię i chcą się tu osiedlić. Chcę stworzyć na Ziemi nową cywilizację, ale jeszcze nie wiem, jak to zrobić. Czuję w sobie siłę i strach, strach przed jutrem. Jestem tylko człowiekiem, a domeną człowieka jest nadzieja i strach...

Stratoplan leciał nisko. Pilotował go Oggo. Ja z Gaają obserwowaliśmy teren.

Pod nami na sawannach pasły się stada zwierząt, nad nadbrzeżnymi szuwarami rzek i jezior latało tysiące ptaków. Jak dotąd, wsi i osiedli tubylców nie zauważyliśmy.

Minęło już południe, gdy Oggo zaproponował:

– Szukajmy nad rzekami. Zwykle człowiek osiedla się blisko wody. Przelatywaliśmy tu nad dość dużą rzeką...

Stratoplan zatoczył koło, po kilku minutach wróciliśmy nad rzekę. Rzeka w tym miejscu płynęła przez równinę. Na horyzoncie dostrzegłem pasmo stromych wzgórz, tam rzeka płynęła w wąwozie. Leciliśmy tuż nad powierzchnią wody. Penetrowałem przez lornetę prawy brzeg. W oddali zauważyłem w ścianie wąwozu otwór pieczary.

– Zatrzymaj się! – rzuciłem do Ogga.

Stratoplan zawisł nad wodą.

– Tam są ludzie! Musimy wylądować i podejść bliżej!

Droga nie była łatwa, przedzieraliśmy się przez zarośla i wertepy. W końcu zajęliśmy stanowisko na krawędzi wąwozu, po drugiej stronie rzeki. W lornetach mieliśmy jaskinię jak na dłoni.

Była tam duża grupa. Przed jaskinią bawiły się dzieci. Dorośli krzatali się, zajęci swoimi sprawami. Przed otworem prowadzącym do jaskini był obszerny występ skalny, jakby półka wznosząca się nad rzeką. Paliło się tam ognisko, zawieszono na żerdzi piekło się nad nim zwierzę. Obok dwie starsze kobiety oskrobywały kawałkami kamienia skórę jakiegoś zwierzęcia. Inne kobiety, ubrane w zwierzęce skóry, zajęte były czynnościami gospodarczymi. Nie widzieliśmy nigdzie mężczyzn. Na prawo od pieczary zauważyliśmy idące trzy kobiety. Była tam skalna ściana. Kobiety niosły na plecach wielkie wiązki chrustu, które rzuciły obok ogniska. Musiała je spotkać jakaś przygoda, bo pozostałe kobiety otoczyły przybyłe, a one coś im opowiadały gwałtownie gestykulując.

Tuż przed zachodem słońca na krawędzi wąwozu rozległ się mocny, wielogłosowy okrzyk. Powracali mężczyźni. Było ich sześciu. Czterech niosło dwa upolowane zwierzęta. Podobnie jak kobiety, byli ubrani w skóry zwierząt, a uzbrojeni w oszczepy z kamiennymi grotami i maczugami. Upolowaną zwierzynę rzucili przed jaskinią. Zajęła się nią część kobiet, zaczęły ściągać skóry i wyrywać wnętrzności.

W tym czasie dwie z kobiet zdjęły znad ogniska piekące się tam zwierzę i położyły je na dużym, płaskim kamieniu. Najwyższy wzrostem, silnej budowy, porośnięty czarnymi splątanymi kudłami, odkroił udziec zwierzęcia. Po nim kolejno odcinali swoje porcje pozostali. Kobiety i dzieci stały z boku, nie zakłócając posiłku mężczyzn. A oni rwali zębami kawały mięsa, czasem tylko pomagali sobie nożami. Wreszcie nasycili się, kudłaty machnął ręką w stronę kobiet i dzieci. Podeszły do resztek pieczeni i znów podział był hierarchiczny. Pierwsze jadły kobiety silne i młode, po nich stare, na końcu dzieci.

Kiedy kudłaty podszedł do krawędzi półki, stanął tam i oddał mocz, mogliśmy mu się lepiej przyjrzeć. Mocnej budowy, o krótkich nogach i długich rękach. Na umięśnionym karku duża głowa o bardzo rozwiniętej dolnej szczęce, na kości czołowej łukowate zgrubienia nad oczodołami. Stał przez chwilę obserwując przeciwny brzeg rzeki. Potem wrócił do jaskini i usiadł na głazie, przy wejściu. Obserwował kończące posiłek kobiety i dzieci. Nagle ostro krzyknął. Natychmiast podbiegła do niego jedna z kobiet. Wstał, jedną ręką chwycił ją za włosy i szarpnięciem zerwał z niej okrywającą ją skórę. Chwilę jej się przyglądał, a potem pociągnął ją w głąb jaskini.

Pozostali mężczyźni wiernie go naśladowali. Ceremonia „zalotów” odbywała się identycznie. Przed jaskinią pozostały dzieci i stare kobiety.

– Są na bardzo niskim szczeblu rozwoju – odezwała się Gaaja. – Wiele wieków upłynie, nim będzie można nazwać ich ludźmi.

– Niestety – westchnąłem – tak długo nie możemy czekać. We własnym interesie musimy ich rozwój przyspieszyć. Muszę ten problem przemyśleć. Wracajmy na statek!

* * *

Minęło kilka dni. Wszystkie zespoły prowadzące rozeznanie planety pracowały na pełnych obrotach. Każdego dnia leciała na planetę jedna lub dwie grupy. Szóstego dnia zespoły zameldowały, że mają opracowane wyznaczone im zagadnienia.

Z raportów wynikało, że na naszą siedzibę najbardziej odpowiednia będzie wyspa leżąca na oceanie pomiędzy dwoma kontynentami. Opływał ją ciepły prąd morski. Sądziłem, że oddzielenie wodą naszej siedziby od pozostałych kontynentów będzie korzystne. Klimat wyspa miała łagodny, morski, jej powierzchnię pokrywały lasy. Wzdłuż wyspy ciągnął się łańcuch gór. Pozostały obszar był równinny. W górach był początek jednej większej i kilku mniejszych rzek. Zespół od surowców zlokalizował na wyspie bogate złoża. Była tam miedź, platyna, cynk, uran i wiele innych kopalin. W górach odkryto bogate złoża marmuru, granitu, bazaltu i tufu. W lasach i na sawannach wyspy żyło wiele zwierząt, ale nie było tam ludzi.

Nastąpiła pierwsza faza osiedlenia. Rakiety przewoziły na wyspę sprzęt, żywność, narzędzia i ludzi. Na osiedle wybrałem malownicze miejsce. Nadmorską równinę otoczoną górami, przeciętą korytem rzeki. Należało wyciąć rosnące tam drzewa, oczyścić i wyrównać teren, wybudować – na razie – drewniane domy. W następnym etapie robót przewidziano: budowę dróg, kanalizacji, wodociągu i zainstalowanie reaktora dostarczającego energię elektryczną. Pracy było wiele, ludzie nie oszczędzali się, dwoili i troili swe wysiłki. Po długoletnim pobycie w „puszcze”, jak nazywali statek, przystąpili do pracy z entuzjazmem. Widziałem na ich twarzach zadowolenie. Ci, którzy pozostali na statku, nie mogli się doczekać dnia, kiedy go opuszczą. Budowniczości osiedla byli ustawicznie przynaglani przez dzieci i kobiety.

Jednego dnia wybraliśmy się z Gaają, aby obejrzeć postęp robót. Budowa zbliżała się do końca. Ludzie i automaty dali z siebie wszystko, na co było ich stać. Wybudowano obszerne wille, szerokie drogi, budynki komunalne i gospodarcze. Osiedle wkomponowano w naturalne środowisko, aby zaspokoić głód kontaktu z przyrodą. Dla bezpieczeństwa całe osiedle otoczono elektrycznym płotem.

Szliśmy wzdłuż rzeki, aby ocenić wygląd osiedla z perspektywy. Było bardzo malownicze, już z daleka robiło wrażenie cywilizowanego.

– Spójrz, Gaaju, na to wzgórze! – wskazałem ręką na drugi brzeg rzeki. – Za kilkadziesiąt lat, a może wcześniej, na tym wzgórzu będzie stał pałac i świątynia. Wzgórze będzie otaczać woda, a za nią zbudujemy miasto. Zbudujemy je z marmuru i granitu. Pałace będą miały złoczone bramy, a świątynie przezroczyste ściany. W pałacu na wzgórzu będziemy mieszkać, miasto będzie naszą stolicą. Nazwę je Miastem Złotych Wrót.

– A jak nazwiesz ten kraj?

– Nie mam jeszcze nazwy. Nie myślałem o tym.

– Nazwij go Atlant. To jest ze starodogońskiego, „atl” to woda, „ant” znaczy kraj, czyli kraj pośród wody.

– Ładna nazwa, trafna!

I przyjęła się. Wszyscy nazywali tak wyspę, a później jej mieszkańców i państwo.

Nastąpiła długo oczekiwana generalna przeprowadzka. Najmłodsza część naszej społeczności piszczala z zachwytu. Dorośli zachowywali się niewiele lepiej. Człowiek jest dzieckiem przyrody, jej częścią, i nie może bez niej egzystować. Na orbicie pozostał samotny, opuszczony statek.

* * *

Słońce zachodziło za góry. Przez okna wpływała cisza wieczoru. Gdzieś daleko krzyczały dzieci i szczełały psy. Zapadał zmrok. Nie chciało mi się zapalać światła. Myślałem: jaka jest historia tej planety? Zamieszkują ją ludzie. Czy oni są już ludźmi?

W jakim momencie, na jakim szczeblu wiedzy, inteligencji, rozumu można powiedzieć: to jest człowiek? Co to jest właściwie człowiek? Człowiek to zwierzę, które potrafi myśleć. Zwierzęta też potrafią myśleć. Tak, ale wyłącznie w kategoriach konkretności. Człowiek potrafi myśleć abstrakcyjnie. O człowieczeństwie decyduje zdolność do abstrakcyjnego myślenia. Zwierzę w miarę rozwijania zdolności formułowania uogólnień i odróżniania cech wspólnych w otaczających go zjawiskach stało się człowiekiem. Pojęcie człowieka wiąże się nierozzerwalnie z abstrakcyjnym sposobem myślenia. Rozmyślałem o tym nie bez powodu. Właśnie poleciłem opracowanie planu populacyjnego, którego jednym ze składników mieli być tubylcy.

Pierwszym jego aktem miały być „polowania” na tubylcze kobiety. Choć ten zamiar budził we mnie i w innych duże opory. Nie byłem przekonany, czy postępujemy słusznie. Mieliśmy bardzo mało informacji o tubylcach, brakowało nam wciąż czasu, a już należało ich poznać. Nie można było tego dalej odkładać. Wezwałem Ogga.

Oggo wchodząc zatrzymał się przy drzwiach i położył prawą dłoń na sercu oddając pozdrowienie.

– Wezwałeś mnie, ragonie! – powiedział.

– Daj temu spokój, już od dawna nie jestem ragonem!

Oggo uśmiechnął się.

– Któż więc jest władcą tej planety? – spytał.

– Dajmy temu spokój – powtórzyłem. – Siadaj i słuchaj! Chodzi o tubylców. Mamy wątpliwości, czy porwanie ich kobiet będzie słusznym rozwiązaniem... Mało o nich wiemy, właściwie nic. Chyba najpierw trzeba znaleźć większą grupę tubylców, aby przeprowadzić niezbędne badania. Weź do pomocy dwóch ludzi i szukaj, ale spiesz się, bo czas nagli...

* * *

Oggo zameldował się po kilku dniach. Był bardzo zadowolony z siebie.

– Witaj, ragonie! – zawołał, wchodząc do mojego gabinetu.

– Witaj, Oggo! – odparłem, uśmiechając się do niego.

Lubiłem tego nieustraszonego draba. Los połączył nas przed laty, gdy zostałem wybrany ragonem Dogonu. Od tej pory był dla mnie przyjacielem, powiernikiem i opiekunem. Mogłem na niego liczyć zawsze i wszędzie.

– Z czym przychodzisz? – spytałem.

– Zlokalizowałem trzy skupiska tubylców. Sądzę, że im więcej, tym lepiej.

– I słusznie! Przy większej liczbie osobników zachodzi więcej interesujących nas zjawisk. Gdzie zlokalizowałeś te skupiska?

– Najbliższe jest na północnym wschodzie. Jest tam kilka jaskiń, gdzie mieszkają. Są tej samej

rasy, którą już podglądaliśmy.

– A istnieją inne rasy?

– Nie jestem pewien, czy określenie rasa jest słuszne. Różnią się od siebie wzrostem, budową, stopniem owłosienia, a nawet kolorem skóry.

– Świetnie! Mamy więc pierwsze spostrzeżenia. Mów dalej!

– Drugie skupisko zlokalizowaliśmy na południowym zachodzie. Ci nie żyją w jaskiniach, mieszkają na sawannie. Budują prymitywne szałas i żyją z myślistwa. Trzecią grupę znaleźliśmy na wschodnim kontynencie. Mieszkają w dżungli nad rzeką.

– Świetnie się spisałeś! Wyślę trzy grupy obserwatorów, spróbujemy nawiązać z tubylcami kontakt. Potem porównamy obserwacje i wyciągniemy wnioski.

Do pokoju weszła Gaaja. Musiała słyszeć część naszej rozmowy, bo od razu się zainteresowała: – Gdzie się wybieracie? Ja też chcę do was dołączyć!

Zawahałem się, nie chciałem jej narażać. Zauważyła to.

– Chcę koniecznie! – nalegała.

– Zgoda! Jeśli tak bardzo sobie tego życzysz.

Wyznaczyłem trzy grupy i termin.

* * *

Mieliśmy szczęście. Obóz tubylców znaleźliśmy w dolinie otoczonej wzgórzami. Kilkanaście szałasów sporządzonych z gałęzi i kory. Doskonale widocznych w teleskopowych lornetach.

Zajęliśmy stanowisko na stoku wzgórza, w niewielkiej odległości od ich obozu. Gdyby tubylcy rozbili obóz na leśnej polanie, obserwacja byłaby utrudniona lub wręcz niemożliwa, a tak już po dwóch dniach obserwacji wiedzieliśmy sporo.

Horda liczyła dwudziestu trzech mężczyzn, trzydzieści cztery kobiety i około czterdziestu dzieci w różnym wieku. Wszyscy byli dość wysocy, smukłej budowy ciała. Nie występowały u nich wały nadczołowe. Mężczyźni byli umiarkowanie porośnięci włosami, kobiety prawie wcale. Ich skóra miała barwę jasną. Ubierali się w skóry zwierzęce – oprócz dzieci, które biegały nagie. Pośrodku obozu paliło się wielkie ognisko podsycane przez pełniącą stały dyżur kobietę. Wokół ogniska postawiono szałas. Nocą ognia i obozu pilnował uzbrojony mężczyzna. Rankiem, zaraz po wschodzie słońca, mężczyźni wyruszyli na polowanie. Uzbrojeni w maczugi, oszczepy, kamienne siekiery i proce. Towarzyszyły im psy. Po nich sześć kobiet i starszych dzieci wyruszyło do puszczy po drewno na opał i leśne owoce. Pozostałe w obozie kobiety opiekowały się młodszymi dziećmi i wykonywały różne prace. Należało do nich czyszczenie zwierzęcych skór, dostarczanie wody w skórzanych workach, pieczenie potraw w popiele i ogniu. Szyły również ubrania, łącząc zwierzęce skóry za pomocą kościanych igieł i zwierzęcych ścięgien. Jak dotąd w ich wierzeniach nie mogliśmy się zorientować. Niektórzy nosili na szyjach amulety sporządzone ze zwierzęcych kości, włosów lub kawałków drewna. W sferze stosunków seksualnych istniało wyraźne zróżnicowanie w uprawnieniach. Wódz, dobrze zbudowany mężczyzna, w średnim wieku, miał prawo do wszystkich kobiet. Każdego wieczoru „zapraszał” inną do swego szałas. Pozostali nie korzystali z tak szerokich uprawnień. Na ogół mieli do wyboru trzy kobiety. W jednym przypadku cztery. Byliśmy też świadkami nieporozumienia, jakie wynikło między wodzem a jednym z jego poddanych.

Tego wieczoru wódz wybrał już kobietę. Jego poddany, w hierarchii hordy stojący dość wysoko, wybierał jako trzeci. Gdy wskazana kobieta szła z nim do szałas, wódz zmienił zdanie i wydając ostre okrzyki zażądał, aby przyszła do niego. Było to widocznie jaskrawym naruszeniem

miejscowych praw i zwyczajów, bo poddany zareagował szybkimi gniewnymi okrzykami pod adresem wodza. Reakcja wodza na niesubordynację była natychmiastowa. W kilku skokach podbiegł do buntownika i uderzył go pięścią w twarz. Buntownik nie pozostał mu dłużny. Zatonął się wprawdzie po ciosie, ale gdy odzyskał równowagę, rąbnął wodza na odlew pięścią w szczękę. Wódz nie był przygotowany na cios, zatonął się i upadł. I to był jego koniec.

Z otaczającej walczących grupy wyleciała maczuga, celnie rzucona pod nogi buntownika. Schwycił ją i z rozmachem uderzył w głowę wodza. Uderzenie było śmiertelne, rozbryzg roztrzaskanego mózgu ochlapał najbliższych stojących. Ciało wodza zadrżało w ostatnich skurczach agonii i znieruchomiało. Zabójca i horda stali przez chwilę w całkowitym osłupieniu. Pierwszy ochłonął zabójca. Potrząsając nad głową maczugą, wydał szybkie gardłowe okrzyki. Z gestów i okrzyków wynikało, że wzywa do walki każdego, kto ma na nią ochotę, ale chętnych nie było. Zabójca uspokoił się, opuścił maczugę i opierając się na niej, wygłosił przemowę proklamując nową władzę. Odbyło się coś w rodzaju zaprzysiężenia poddanych. Nowy wódz wymieniał imię, a wezwany wydawał okrzyk aprobaty. W kolejności wywołał wszystkich mężczyzn, na kobiety nie zwracał uwagi.

Dalszy ciąg wydarzeń był szokujący. Ciało byłego wodza zaciągnięto do ogniska, gdzie uzbrojeni w oszczepy mężczyźni otoczyli je kołem. Dwaj z nich zaczęli rytmicznie uderzać w spróchniały pień drzewa. Takt wybijany maczugami był tłem i wezwaniem do tańca. Kobiety i dzieci schowały się w szałasach. Krąg mężczyzn powoli, rytmicznie, wysoko podnosząc nogi posuwał się wokół zwłok. Tempo uderzeń stopniowo wzrastało. Mężczyźni wirowali coraz szybciej. Czerwony blask podsyczonego ogniska potęgował makabryczność sceny. Tempo uderzeń wzrosło do maksimum. Już nie wirowali, podskakiwali stojąc w miejscu, wijąc się i skręcając. Nagle uderzenia zamilkły i wtedy wszyscy rzucili się na zwłoki, rozszarpując je na kawały, które sobie nawzajem wydzielali. Była to uczta ludożerców. Ze wstrętem odsunąłem się od lornety, nie mogłem na to patrzeć.

Obok mnie patrzyli na to Oggo i Gaaja.

– Niewiele różnią się od zwierząt – stwierdził Oggo. – To są jeszcze bestie.

– Niedobrze mi – skarżyła się Gaaja. – Oni są okropni.

– Nie wyciągajcie zbyt pochopnych wniosków – odezwałem się w obronie tubylców. – Jest to zapewne związane z ich wierzeniami.

Jeszcze długo w nocy słyszeliśmy wrzask uczującej hordy. Wreszcie miałem tego dosyć i kazałem wyłączyć nasłuch.

Rankiem obóz wyglądał całkiem normalnie. Mężczyźni, z nowym wodzem, wyruszyli na polowanie. Kilka kobiet ze starszymi dziećmi udało się do puszczy po owoce i drewno na opał. Po obozie kręciły się kobiety i małe dzieci. Wokół spokój, prawie sielanka.

– Czy zauważyłeś, że nie ma wśród nich starców? – spytała mnie Gaaja.

– Trudno u nich dożyć starości – zakpił Oggo. – Mają doskonałe apetyty!

Rozmowę przerwały nam okrzyki dobiegające z puszczy. Na razie nic nie widzieliśmy, ale krzyki i zawodzenia były coraz bliższe. Wkrótce z puszczy wyszła cała grupa. Kobiety niosły na skórze ciało chłopca. Część z nich wydawała groźne okrzyki w stronę puszczy, inne płacząco zawodziły. Gdy zbliżyły się do obozu, przyłączyły się do nich pozostałe kobiety. Chłopiec nie żył, był okrwawiony i poszarpany. Musiał napaść na niego jakiś duży drapieżnik. Kobiety położyły zwłoki przy ognisku i otoczyły je kołem, płacząco zawodząc.

– Mamy coś na kolację – żartował znowu Oggo.

– Uważam, że się mylisz – wtrąciła się Gaaja. – Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że go nie zjedzą.

– Nie wierzę – upierał się Oggo. Przy ich apetytach... Na pewno nie zrezygnują z kolacji.

Późnym popołudniem wrócili do obozu mężczyźni. Obstąpili zwłoki chłopca i długo coś radzili. Potem podnieśli ciało wraz ze skórą, na której leżało, i ruszyli tak w kierunku kamienistego stoku jednego ze wzgórz. Po przybyciu na miejsce położyli zwłoki na małej płaszczyźnie, obstawili je przyniesionymi porożami zwierząt i ustawili wokół kamienny mur. Mur przybrał kształt kopuły, zakrywając ciało. Wtedy nad kopułą usypali kamienny kopiec. Otoczyli kopiec kołem i w całkowitym milczeniu – odwróceniem do niego plecami – wykonywali oszczepami groźne ruchy, tak jakby chcieli kogoś uderzyć. Trwało to dość długo. Wódz pierwszy wyszedł z koła i skierował się do obozu. Następny mężczyzna kroczył za nim, po jego śladach, za nim następny, aż do ostatniego. Ten gałęzią zacierał za sobą ślady.

– A jednak go nie zjedli – tryumfowała Gaaja.

– Widocznie był zbyt chudy! – nie zrażał się Oggo.

Dalsze podglądanie nie miało sensu. Należało przejść do próby nawiązania kontaktu. Postanowiliśmy ją przeprowadzić nazajutrz rankiem, nim mężczyźni wyjdą z obozu. Do tej misji zgłosili się: Oggo, Yooni i Akk. Oggo miał kontaktować się bezpośrednio, pozostali mieli go ubezpieczać z ukrycia. Reszta naszej ekipy miała rejestrować spotkanie i na wszelki wypadek tworzyć rezerwę.

Rankiem ochotnicy podeszli pod obóz. Obserwacje miały być prowadzone z dwóch stron. Oggo z obstawą podczołgał się pod obóz, wykorzystując osłonę krzaków i zarośli. Był świt, w obozie zaczynał się normalny ruch. Yooni i Akk leżeli za najbliższymi krzakami. Oggo, uzbrojony w miotacz, wyszedł z zarośli i powoli zbliżał się do ogniska.

Pierwsza zauważyła go kobieta. Znieruchomiała, jakby doznała paraliżu. Potem z przerażenia kucnęła. Oggo, patrząc na nią, szedł w jej kierunku. Wtedy wydała z siebie przeraźliwy okrzyk.

Mężczyźni wybiegli z szałasów, z maczugami i oszczepami w rękach. Jednak to, co zobaczyli, było dla nich czymś tak niesamowitym, że nieruchomieli od razu przed szałasami. Oggo zachował się, jakby ich wcale nie widział. Powoli podeszedł do ogniska i usiadł na leżącym tam pniu. Mężczyźni zbici w gromadę naradzali się, nerwowo gestykulując. W końcu wypchnęli wodza w kierunku siedzącego przy ognisku intruza. Wódz nie miał chęci zbliżać się do Ogga, ale pod presją gromady zrobił kilka kroków w stronę ogniska. Potem stanął i wydał kilka groźnych okrzyków, które na pewno nie były zaproszeniem na śniadanie. Następnie miała miejsce demonstracja siły. Wódz potrząsał i wywijał maczugą przy akompaniamencie okrzyków własnych i stojącej za nim gromady. Widać było, że podnieca się coraz bardziej. W przyptywie narastającej wściekłości zaczął tuc maczugą o pień drzewa. Sytuacja zaczęła się komplikować. Dalszy ciąg „wizyty” nie zapowiadał się pokojowo.

Oggo podniósł się z pnia. Wyciągnął miotacz i skierował go na stare drzewo, w którego pień wódz tłukł maczugą. Oślepiająca błyskawica przecięła powietrze i odcięty konar spadł obok wodza. Wódz znieruchomiał. Druga błyskawica i drugi konar spadł obok pierwszego. Wtedy Oggo schował miotacz i usiadł. Horda zamarła. Długo nikt się nie ruszył. Pierwszy oprzytomniał wódz. Wycofał się tyłem do gromady.

I znowu długo trwała narada, ale już przyciszonymi głosami. Dwaj mężczyźni z wodzem weszli do jednego z szałasów, po chwili wyszli dźwigając upolowanego wczoraj zwierzaka. Potem wpatrując się w siedzącego Ogga, podeszli do ogniska i w odległości trzech kroków położyli przed nim zwierzę. Mężczyźni wycofali się. Wódz pozostał. Oggo siedział nieruchomo, patrząc na wodza, ten wskazał na leżące zwierzę i gestami dał do zrozumienia, że oddaje je intruzowi.

W tym momencie nad obozem przeleciało stado dużych ptaków. Oggo był dobrym strzelcem. Nim

zdążyliśmy się zorientować, już strzelał. Trzy błyski i trzy ptaki spadły w pobliżu ogniska. Wrażenie było wstrząsające. Wódz leżał przed Oggiem na brzuchu i nie śmiał się ruszyć. Oggo wstał i podniósł go z ziemi. Wskazał zwierzaka i gestem dał do zrozumienia, że go nie chce. Następnie wskazał na kobiety stojące w zbitej grupie obok mężczyzn i zrobił gest przywołujący. Wódz zrozumiał. Krzyknął coś do mężczyzn, a ci bardzo gorliwie popchnęli kobiety w kierunku Ogga.

- Co zamierzasz? – spytałem go przez fonon.
- Wybiorę trzy lub cztery, ale chcę im za nie coś w zamian dać.
- Mamy noże i siekiery do cięcia zarośli – podsunąłem mu pomysł.
- Dam im dwie siekiery i dwa noże. Jeśli się zgodzisz na transakcję.
- Zgadza się! Zaraz Yooni ci je dostarczy.

Oggo przeprowadził selekcję wśród kobiet, wybrał cztery młode. Wtedy Yooni wyszedł z zarośli, niosąc siekiery i noże. Bez słowa położył je przed Oggiem i odszedł w kierunku zarośli. Oggo wziął siekiere i uderzył nią w pień drzewa, demonstrując jej zalety. Podał ją wodzowi zachęcając gestami, aby ten ją wypróbował. Wódz uderzył kilkakrotnie w pień, obejrzał siekiere, pomacał ostrze.

Z kolei Oggo wziął nóż i jednym ruchem uciął leżącemu ptakowi głowę. Potem wskazał na siekiery, noże i kobiety. Gestami objaśnił całą istotę wymiany. Wódz kiwnął wyrażając zgodę. Transakcja była zawarta. Oggo skinął na kobiety, aby poszły za nim. Ruszyły bez oporu. Wprawdzie pozostałe zaczęły zawodzić, ale uciszył je okrzyk wodza. A Oggo z kobietami wszedł w zarośla, gdzie dołączyli do nich Yooni i Akk.

Stanowisko zostało zlikwidowane. Zebrany materiał powinien nam wystarczyć. Należało przeprowadzić porównania z wynikami pozostałych grup.

Mieliśmy też trochę kłopotu z dzikimi kobietami. Były mocno przerażone lotem i trzeba je było pilnować, aby nie wyskoczyły ze stratoplanu.

* * *

Nie wszystkim udało się podglądanie. Ayoob leżał ze złamanym obojczykiem. Próba bezpośredniego kontaktu nie wypaliła. Musieli użyć broni. „Czarnowłosi”, jak nazywano mieszkańców jaskiń, byli złośliwym i bardzo agresywnym plemieniem. Grupa Ayooba przywiozła jednak dwie kobiety. A i grupa Hidda, obserwując tubylców na sawannie, wyniki miała niezłe. Przywieźli trzy kobiety. Były średniego wzrostu, o ciemnobrązowej, prawie czarnej skórze. Charakterystyczne były ich podłużne twarze.

Hiddo przeprowadził badania genetyczne i anatomiczne wszystkich przywiezionych kobiet. Nie różniły się niczym od naszych. Ewentualne krzyżówki nie stwarzały problemu. Biologicznie były ludźmi.

Z orzeczenia Hidda wynikało, że plemię „Czarnowłosych” jest na najniższym poziomie rozwoju spośród badanych grup. Proponował, by zrezygnować z kobiet tego plemienia.

– Są bardzo pierwotni, agresywni, i nic nie wskazuje na to, aby plemię to mogło się rozwinąć – motywował swój wniosek.

Zabierająca głos po nim Obba referowała wyniki badań biologicznych: – Badania wykazały, że w obserwowanych i przebadanych grupach żyją istoty stojące na najwyższym stopniu rozwoju spośród gatunków występujących na tej planecie. Istoty te rozwinęły się ze świata zwierzęcego. Szacunkowo około dwustu tysięcy lat temu.

- Czy można już ich nazwać ludźmi? – spytałem.
- Z biologicznego punktu widzenia z całą pewnością. Anatomicznie i genetycznie nie ma między

nimi a nami różnic! – odpowiedziała.

– Pozostanie nigdy nie wyjaśnioną tajemnicą, jak na dwu odległych planetach powstały takie same istoty?! – orzekłem zdumiony identyecznością tubylców.

– Mnie to też zdumiewa – przyznał Hiddo. – Nie pojmuję, w jaki sposób przyroda na dwóch odległych planetach, w trakcie ewolucji, stworzyła istoty identyczne. Ewolucja nie jest zdolna do powtarzania się. Nawet gdyby życie na tej planecie miało rozpocząć się drugi raz, nowo powstające zwierzęta i rośliny nie przypominały obecnie istniejących. Obecna postać świata roślin i zwierząt jest wynikiem wielu czynników. Nie jestem w stanie tego pojąć.

– Mówiąc o dwóch planetach myślałeś o Dogonię? – spytałem.

– Nie. Wiemy przecież, że życie zostało tam przywiezione przez Ammę. Myślałem o planecie, z której pochodził Amma.

– Właśnie. To samo i ja pomyślałem. Wiele jest w tym wszystkim zagadek... Wróćmy jednak do tematu. Musimy się na coś zdecydować, bo niestety, nie możemy traktować tubylców jako równorzędnych partnerów. Przyczyny znacie. Pozostaje realizacja pierwszego wariantu planu, ale z poprawką. Rezygnujemy z porywania kobiet, możemy nabyć je drogą wymiany.

* * *

Następnego dnia odbyło się zebranie całej naszej społeczności. O swej przyszłości mieliśmy zdecydować wspólnie.

– Przyjaciele! – zacząłem swoją przemowę. – Wiecie już, że nasza interpretacja i wnioski, które wyciągnęliśmy z mitu Wielkiej Tajemnicy, były błędne. Spodziewaliśmy się zastać na tej planecie wysoko rozwiniętą cywilizację techniczną. Niestety, nie ma tu jej. Trudno! Ale dostaliśmy w darze bogatą we wszystko, co ludziom potrzebne do życia, planetę. Bierzymy ją w posiadanie. Mamy do tego prawo i obowiązek. Przyjdzie czas, że przepłyniemy jej morza, zdobędziemy jej góry, oswoimy jej zwierzęta, poznamy ją i zrozumiemy.

Musimy jednak zdecydować, do czego dążymy. Czy będziemy żyć na tej planecie jako obca, wyizolowana grupa, czy też stworzymy na niej cywilizację. Pierwszy wariant pozornie nie wymaga od nas żadnych ofiar. Zbudowaliśmy wygodne osiedle, możemy w nim żyć spokojnie i w dostatku. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że ten spokój i dobrobyt, ta monotonia istnienia nas zniszczy. Człowiek nie żyje wyłącznie miłością i źródlaną wodą. Piękno tej planety i leniwa beczynność nie wypełnią nam życia. Jeśli zaniechamy pracy i wysiłku, zniknie nasza osobowość. Wszyscy wiemy, że przeznaczeniem człowieka jest praca i ciągłe dążenie do nowych celów przez pokonywanie trudności. Taka jest od prapoczątków psychika człowieka i dlatego stał się człowiekiem, w szerokim rozumieniu tego słowa. Gdy zabraknie mu bodźców, gdy jutro będzie takie jak wczoraj, a przyszły rok taki jak ten, który minął, zdegenerujemy się. Człowiek nie może żyć i rozwijać się bez perspektyw i pracy.

Drugi wariant wymaga od nas wielu wyrzeczeń. Przede wszystkim wy maga pracy. Jest nas zbyt mało, by stworzyć tu cywilizację. Będziemy żądać od naszych kobiet, aby rodziły dzieci, i to w maksymalnej ilości. Ale to nie wystarczy. Nasi biolodzy opracowali plan przyśpieszonego zaludnienia planety. Plan przewiduje skrzyżowanie nas z tubylcami. Egzystują oni na bardzo niskim szczeblu rozwoju, bliżsi są zwierzęt niż ludzi. Może za kilka tysięcy lat osiągną poziom predysponujący ich do partnerstwa. Nie możemy tak długo czekać. Nasz plan przewiduje zakupienie drogą wymiany tysiąca młodych kobiet. Będziemy je zapładniać nasieniem naszych mężczyzn. Każda z nich, w kontrolowanym porodzie, urodzi dziesięcioro dzieci. Tylko dziewczynki. A te, gdy

dojrzeją, będą rodzić dalsze pokolenia.

Realizacja tego projektu wymaga dużego nakładu pracy. Kobiety i ich potomstwo musimy wyżywić, ubrać, zapewnić im opiekę lekarską i siedzi by. Nauczyć elementarnych zasad higieny i opieki nad dziećmi. Wszystko to nie będzie proste i łatwe, spotkamy się z wieloma problemami, które musimy rozwiązać. Ale w moim przekonaniu jest to jedyna droga prowadząca do słusznego celu.

Wtedy wstał Olookun.

– Mam zastrzeżenia – powiedział. – Twoja idea sprowadza się do jak najszybszego zaludnienia planety i stworzenia za wszelką cenę cywilizacji. Nie chcesz czekać, zdać się na naturalne prawa rozwoju i ewolucji. Twoje argumenty o ciągłym szukaniu nowych celów i pokonywaniu trudności, leżące jakoby w ludzkiej naturze, nie są przekonywujące.

Człowiek nie szuka trudności, one same wynikają z naturalnych praw ewolucyjnego rozwoju. Były, są i zawsze będą. Muszę sięgnąć do analogii. Gdy na Dogoń przyleciał Amma z towarzyszami, było ich również niewielu. Może nieco więcej niż nas. Trwało to długo, ale Dogoń został zaludniony, a co do cywilizacji, nie muszę ci przypominać. Na Dogonię nie było ludzi i nie można było przyspieszyć zaludnienia. Skąd wiesz, że łamiąc naturalne prawa rozwoju, osiągniesz w przyszłości to, co dziś zakładasz?

– Twoja wypowiedź jest pełna rozumnych wątpliwości – przyznałem. – Niestety, zapomniałeś o kilku historycznych faktach. Zapomniałeś, że przed przybyciem Ammy na Dogonię nie było życia. W przeciwieństwie do nas, Amma i jego towarzysze nie mieli innych możliwości. Aby żyć, musieli „posiać” tam życie i czekać. Musieli rozmnażać wszystko: ludzi, zwierzęta, rośliny. Taka była konieczność i innej drogi nie było. Tu jest inaczej. Mamy wszystko niezbędne do życia. Zapomniałeś i o tym, że grupa Ammy, liczebnie większa, nie zdołała przekazać swym potomkom zdobyci cywilizacji. Wiemy z historii, że nastąpił całkowity upadek cywilizacji technicznej – do poziomu zerowego, do rękodziela i konnych zaprzęgów. A w sferze struktur do poziomu grup plemiennych. Oczywiście, że zgadzam się z tobą, iż dróg rozwoju jest wiele. Ta, którą proponuję, jest jedną w wielu możliwych. Pytasz, czy osiągniemy w przyszłości to, co dziś zakładam? Nie wiem! Żądasz ode mnie odpowiedzi, których nie znam. Tak już jest i tak zawsze było, że gdy pojawią się niewiadome, najpierw są pytania, a dopiero po wielu latach napływają odpowiedzi... Teraz dokonajcie wyboru. Zarządzam głosowanie. Każdy z was może oddać jeden głos. Jeśli napiszecie na kartce „cywilizacja”, będzie to znaczyło, że mamy realizować projekt. Czysta kartka oznacza „osiedlenie”. Wybierajcie!

W ciągu godziny zakończyliśmy głosowanie. „Cywilizacja” przeszła zdecydowaną większością głosów.

I taki był pierwszy dzień nowej cywilizacji.

– Pospiesz się! – poganiałem Papadukulosa, grzebiącego się przy aparaturze. – Dochodzi już dziewiąta, nie rozpoczniemy punktualnie transmisji!

Muszę wszystko dokładnie sprawdzić – odparł. – Pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł. Wystarczy, że coś przegapię, i będziemy mieli tu pogrzeb albo znajomego wariata. Siedź cicho i nie poganiaj. Zdązysz to wszystko przeżyć!

– Jak się czujesz? – spytała Izabela.

– Nieźle. Dużo lepiej niż pierwszym razem. Papadukulos nabrał wprawy. Teraz wchodzę w transmisję całkiem łagodnie.

– W porządku! Zaczynamy! – krzyknął Papadukulos, niewidoczny zza stołu z aparaturą. – Uwaga! Włączam!

Ostatnią rzeczą, którą zanotowała moja świadomość, była tarcza zegara wskazującego dziewiątą pięć. Dziewiąta pięć, dziewiąta pięć – powtarzałem, gdy spłynęła na mnie noc. Płynąłem tunelem w kierunku światła. Światło biło od olbrzymiej tarczy zegara wskazującego godzinę dziewiątą pięć. Spoza tarczy dobiegał mnie głos Gaaji i szczekanie psów...

Śpiochu! Wstawaj! Zobacz, jakie one są rozkoszne! Patrz! Ten czarny tłusciuch chce mnie ugryźć!

Otworzyłem oczy.

Pod oknem sypialni Gaaja siedziała na dywanie, otoczona kilkoma czarnymi, grubymi szczeniakami. Zabawa była w punkcie kulminacyjnym, sądząc z radosnych pisków wydawanych przez obydwie uczestniczące w niej strony. Szczeniaki z furją atakowały Gaaję, szarpiąc jej koszulkę z przezroczystej tkaniny, którą się po to ubiera, aby nic nie zakrywała. Gaaja przewracała szczeniaki na grzbiety i szczypała je po brzuskach, co doprowadzało je do potwornej złości. Były jeszcze bardzo niezdarne i miały pewne trudności z wstawaniem na cztery łapy, musiała więc im pomagać w odzyskaniu prawidłowej postawy.

W refleksach promieni słonecznych Gaaja i szczenięta tworzyli harmonię piękna i młodości.

Gaaja ma znowu dwadzieścia lat. Przed kilkoma tygodniami zmieniła ciało, roboczo nazwane „nośnikiem osobowości”. Ja zmieniłem nośnik przed dziesięciu laty. Mam teraz trzydzieści lat biologicznych, a moja osobowość sto czterdzieści lat. Ayoob już dawno uporał się z mózgiem i powiększył jego objętość o owe niewykorzystane obszary. Może teraz nam służyć przez pięćset, a nawet sześćset lat, bez obawy przeciążenia. Ustaliliśmy okres wymiany nośników: dla mężczyzn co sześćdziesiąt lat, dla kobiet co pięćdziesiąt. Nośnik w chwili transformacji osobowości ma dwadzieścia lat biologicznych.

Patrzyłem z zachwytem na Gaaję z grupą szczeniaków pod oknem. Rozbawiona Gaaja była kwintesencją młodości i piękna. Jak to dobrze, że możemy znów być młodzi.

– Która godzina? – spytałem ją.

– O! Śpioch się obudził! – krzyknęła. W kilku susach dopadła do łóżka i ściągnęła ze mnie przykrycie. – Wstawaj! Już po dziewiątej! Dziś jest wielkie święto i będzie bal, sztuczne ognie i uczta, a ja się tak wystroję, że wszystkie kobiety zzielenieją z zazdrości. Mężczyźni też będą zazdrościć, ale tobie śpiochu, że masz tak piękną żonę!

Szczeniaki zorientowały się w końcu, gdzie jest Gaaja i ruszyły całym stadem w kierunku łóżka. Gaaja skorzystała z okazji i po chwili byłem atakowany ze wszystkich stron. Ukąszenia w łydki i palce nóg mogłem jeszcze wytrzymać, ale gdy szczeniaki zabrały się do gryzienia mojego ucha, zerwałem się z łóżka i uciekłem na taras.

Zawsze sądziłem, że człowiek jest młody przez świeżość uczuć, ale nie była to prawda. Jest

również młody przez świeżość ciała, przez zakumulowaną energię w nim zawartą. Dwa czynniki idą w parze: powaga wieku i brak sił.

Osobowość Gaaji ma już sto trzydzieści lat. I co z tego, skoro jej ciało ma dwadzieścia. Zresztą ze mną też nie jest „lepiej”.

* * *

Stałem na jednym z tarasów pałacu. Od morza wiał ciepły wiatr. Na niebie ani jednej chmury. Poda mną rozciągała się panorama miasta. Mojego miasta. Stolicy przyszłego imperium. Całe to miasto, wzór piękna i potęgi, przez wieki będą naśladować ludy imperium Atlantu... Tak, Gaaja mówiła prawdę. Dzisiaj było święto, wielkie święto. Przed stu laty wylądowaliśmy na tej planecie.

Wszedłem do olbrzymiej sali wypełnionej ludźmi, ubrany w uroczysty strój ragona. Zagrzmiały fanfary. Dwuszereg gwardzistów w złożonych zbrojach trzykrotnie uderzył oszczepami w tarcze. Zgromadzeni oddali mi cześć. Skierowałem się do tronu. Za mną szli ludzie ochrony i członkowie orszaku. Tron był arcydziełem. Cztery złote cielska węzów tworzyły jego nogi i siedzenie. Nieco poniżej stały dwa mniejsze, również złote, trony. Były to miejsca Gaaji i Ogga. Gaaja była moją żoną i zastępcą, Oggo dowódcą oddziałów bezpieczeństwa i przybocznej gwardii.

Zasiadłem na tronie. Dostojnicy ustawili się po obu jego stronach. Oggo stanął obok swego miejsca. Czekaliśmy na Gaaję.

Znów zagrały fanfary, gwardziści załomotali oszczepami w tarcze, aż zadrżały okna. A środkiem szpaleru gwardii, w orszaku paziów-dziewcząt ubranych w krótkie białe tuniki, szło złotowłose zjawisko – Gaaja. Ubrana w strój prawie identyczny z tamtym, sprzed stu lat. Ten był jednak bogatszy. Diadem lśnił błyskami brylantów. Pasek nie był ze skóry, lecz misternie utkaną ze złota plecionką, wysadzaną szmaragdami. Rękojeść i pochwa sztyletu mieniła się od szlachetnych kamieni.

W gwarnej przed chwilą sali zaległa cisza. Wszystkie oczy skierowały się na Gaaję. Mężczyźni wstrzymali oddech, aby nie spłoszyć tego zjawiska. Kiedy Gaaja zajęła swoje miejsce, Oggo też usiadł. Uroczystość mogła się rozpocząć.

Dałem znak, znów zagrzmiały fanfary. Na podium, ustawionym z prawej strony tronu, wszedł Oyaa. Skłonił się nam, zgromadzonym, i zaczął w te słowa: – Siostry i bracia Alianci, bo nie mogę już powiedzieć Dogończycy. Z Dogonu przed stu laty przyleciało na tę planetę trzysta osób, dziś jest nas kilka milionów. Przez ubiegłe sto lat zbudowaliśmy potężne państwo. Wtedy, gdy tu przybyliśmy, mieliśmy do wyboru: stać się wyizolowanym społeczeństwem, zasklepionym i żyjącym bez jutra, lub stworzyć nową cywilizację. Wybraliśmy pracę, bo takie jest jedyne i słuszne przeznaczenie człowieka. Nie zmarnowaliśmy tych lat. Stworzyliśmy bazę, z której wyruszamy na kontynenty tej planety, aby nieść ludziom tam żyjącym światło cywilizacji. Nie istnieje wśród nas opozycja. Nie ma przeciwników myśli cywilizacyjnej, ale jest grupa osób zarzucająca nam, że cywilizacja, jaką obdarzamy ludy tej planety, to kamuflaż. Nie mogą pogodzić się z tym, że reprezentując wysoką cywilizację techniczną – opartą na energii jądrowej, elektryczności, cybernetyce, elektronice i skomplikowanej technologii – obdarowujemy tę planetę cywilizacją z dogońskiego średniowiecza. Twierdzą, że miasta, świątynie, statki, transport, wszystkie dziedziny życia i techniki, wszystko, co ludom tej planety chcemy przekazać, jest oszustwem.

Apeluję do tych osób, aby się zastanowiły i przeanalizowały swoje poglądy. My rozumiemy, że to, co dajemy, nie jest tym, co możemy dać. Postępujemy tak z pełną odpowiedzialnością. Należy zdać sobie sprawę z tego, że ludzie, którym niesiemy cywilizację, żyją na bardzo niskim poziomie. Nie znają oni pisma ani metalu, rolnictwa, hodowli... Są to przeważnie dzikie hordy koczujących

myśliwych i zbieraczy, dla których podstawowym surowcem do wytwarzania narzędzi jest kamień. W jaki sposób pośród tych ludzi zaszczerpić cywilizację techniczną? Jak ich przenieść z ery kamienia łupanego do ery atomowej? Może nasi oponenti odpowiedzą nam, jak tych ludzi mamy nauczyć techniki jądrowej, chemii, elektroniki i całej skomplikowanej technologii. Chętnie z porad skorzystamy. Uważany jednak, że proces cywilizowania musi przebiegać etapami. Dlatego zeszedliśmy do poziomu średniowiecza. I w dalszym ciągu utrzymamy dwa poziomy cywilizacji, dla nich i dla nas. Poziom średniowiecza będzie dla nich i tak bardzo wysokim progiem, na który wielu nie będzie się w stanie wspiąć, nawet przy naszej pomocy. Możliwości przyswajania i asymilacji ludzkiej są ograniczone. Pośpiech może tylko zaszkodzić. Cywilizację należy dawkować. Już dzisiaj zwracam się do tych, którzy wkrótce poprowadzą misje cywilizacyjne do krajów: Affri, Kel-Ttu, Hinndusz, Aamu, Puunti Tartessos. Pamiętajcie, że wasze słowa muszą zawsze wyrażać prawdę. Bo słowa są trwalsze od granitu, żyją dłużej niż państwa, narody, stulecia. Pamiętajcie, że waszą podstawową bronią, jako nauczycieli cywilizacji, nie jest siła zbrojna. Broni możecie użyć tylko i wyłącznie we własnej obronie. Waszą bronią jest siła przekonywania, handel i osiągnięcia cywilizacji, które tym ludom przekażecie. Wszystko przemija, bo czas jest po nad wszystkim. My też przeminiemy. Niech wśród tych ludów pozostanie wspomnienie o nas, że wtedy gdy byliśmy, nie było strachu i zawiści. Nikt nie współzawodniczył o władzę i bogactwo. Nie napadał na sąsiada i nie przelewał jego krwi. Nie brakowało żywności i odzieży, a jej zdobycie nie wymagało ciężkiego trudu. Chciałbym, aby ci, którzy przyjdą po nas i od grzebią ruiny naszych miast, pomyśleli o nas, o przemijającym czasie. Za dumali się nad nietrwałością dzieł człowieka i aby pomyśleli: za ich czasów nie było strachu i przemocy, słowo „człowiek” brzmiało godnie...

Oyaa skończył. Była to piękna i mądra przemowa.

Przeszedliśmy na taras. W dole błyszczało kolorowo iluminowane miasto. Ulicami przeciągały korowody z pochodniami, na placach grały orkiestry. Obywatele Atlantu celebrowali swoje święto, bawiąc się i uczując. Dałem znak, aby rozpoczęto pokaz. Huknęło ze wszystkich stron. Nad miastem pękały rakiety, iskrząc wszystkimi kolorami tęczy. Jedne spadały kaskadami, inne zmieniały się w wirujące ogniste koła. Niektóre zawisły na spadochronach, tworząc iskrzące brylantowe stopy. Rakiet wciąż przybywało. Niebo nad miastem zrobiło się nierealnie kolorowe. Patrzyliśmy urzeczeni, gdy nagle huknęła jakaś większa bateria, a po chwili na niebie za płonął purpurą napis: 100 LAT ATLANTU.

Gaaja przytuliła się do mnie. Uplętnęła chwila, nim pośród huku pękających rakiet zrozumiałem, co mówi.

– Pomyśl, ile razy tam w kosmosie ogarniało nas zwątpienie, jak blisko byliśmy rozpacz i załamania... Ja zawsze wierzyłam w ciebie. Ty byłeś naszą podporą i nadzieją. Dziękuję za wszystko, co mnie otacza. Dziękuję ci za ten świat, za moją młodość, za szczęście!

Kochana Gaaja. Przytuliłem ją mocniej. Ja też byłem szczęśliwy.

– Przeceniasz moje zasługi – odparłem. – To, co nas otacza, miasto, państwo, nasza młodość, dobrobyt, w którym żyjemy, nie są wy łącznie moją zasługą. Jest to suma pracy i inicjatywy nas wszystkich. Każdy z nas dał z siebie wszystko, na co było go stać. Ja byłem tylko koordynatorem.

– Nie! Nie zgadzam się! Ty byłeś mózgiem, inicjatorem. Bez ciebie zginęlibyśmy już na Dogonię. Odires kazałby nas wystrzelać jak kaczkę. To, że żyjemy, to wszystko, co nas otacza, jest wyłącznie twoją zasługą. I nie usiłuj mnie przekonywać, że było inaczej! Jestem twoją niewolnicą, panie mój i władco, i pozostanę nią aż do końca dni moich, a największym moim marzeniem jest przeżyć życie przy tobie – oświadczyła patrząc mi w oczy.

Pokaz się skończył. Oggo podszedł do nas i dwornie się skłonił.

– Prosimy na ucztę – oznajmił. – Poddani Waszych Wysokości już się niecierpliwią. Słysząc aż tutaj, jak niektórym w brzuchach burczy z głodu. Chodźcie, bo będzie kłopot, jeśli któryś z nich zasłabnie.

– Przyznaj się, że twój brzuch najgłośniej jęczy – żartowała Gaaja. – Znam twój apetyt, a i od innych słyszałam co nieco.

– Co słyszałaś? – zainteresował się Oggo. – Na pewno jakieś niewybredne plotki.

– Przeciwnie, same ciekawostki... – Na samo ich wspomnienie zaśmiała się perlistym śmiechem.

Żartując z Ogga weszliśmy do sali, gdzie zastawiono stoły do uczy. Sala była największa w pałacu. Stoły ustawiono w podkowę. Zasiadło przy nich trzysta osób. Czekano na ragona. Podeszliśmy do naszych miejsc. Usiadłem, mając Gaaję po prawej, a Ogga po lewej stronie. Biesiadnicy zajęli swoje miejsca. Z góry dobiegały przytłumione dźwięki muzyki. Kucharze stanęły na wysokości zadania, stoły ugiwały się pod ciężarem przeróżnych potraw. Były to szczyty kulinarnego kunsztu, smakowite i wizualne. Miałem wnieść toast. Wstałem trzymając w rękę kryształowy puchar. Gwar ucichł.

– Drodzy przyjaciele! – zacząłem. – Czego mogę wam i sobie życzyć po upływie stu lat od dnia wylądowania? Myślę, że najstosowniejszym życzeniem będzie, abyśmy w tym gronie spotkali się za następne sto lat. Wypijmy za cztery filary życia: za młodość, miłość, rozum i pracę! Bez nich życie byłoby szare i smutne. Wypijmy za dobry dzień dzisiejszy i jeszcze lepsze jutro. Wypijmy za Atlant!

Spełnili toast, zabrzączały sztućce. Biesiadnicy zaatakowali półmiski. Byli już głodni, toteż w skupieniu zajęli się jedzeniem. W miarę zaspakajanie głodu zaczęto nawiązywać rozmowy.

Ja zagadnąłem Ogga, byłem ciekaw jego myśliwskich opowieści. W ostatnim czasie dużo polował, i to na różnych kontynentach.

– Słyszałem, że wkrótce wybierasz się na nowe polowanie?

– Tak. Wybieram się z przyjaciółmi do kraju Aamu.

– I na co będziecie tam polować?

– Tym razem na tygrysa.

– Dlaczego akurat na tygrysa?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze obiecałem pewnej miłej blondynce tygrysie szable do naszyjnika. Po drugie, tygrys jest godnym przeciwnikiem. Polujesz na niego, a on na ciebie. Ja nie lubię bawić się w rzeźnika. Jaka to przyjemność strzelać do zwierzyny, która przed tobą ucieka? Lubię hazard, emocje, zasadę równych szans. Tygrys jest urodzonym mordercą. Ma wyostrzone zmysły, instynkt agresji, cudowną sprawność mięśni, szybkość działania. Ja mu przeciwstawiam rozum i broń człowieka. On jest w swoim środowisku, o którym wie wszystko. Ja jestem tam intruzem. Szansę są równe, może nawet z lekką przewagą dla niego.

– A jak wygląda taki tygrys?

– Wielki pręgowany kot, z zakrzywionymi szablasto górnymi kłami, wystającymi z paszczy, i całkowitym zanikiem kłów dolnych. Stąd nazwa „szablastozębny”. Poluje na mastodonty, konie, jelenie. Mniejsze sztuki łowi w ostateczności. Nie lubi zajmować się drobiazgiem.

– Uważaj na siebie! Nie ryzykuj! Byłoby mi ciebie brak. Każdy może spotkać swojego tygrysa, który będzie od niego lepszy... – upomniałem go-

Oggo zamyślił się, twarz mu stężała, oczy patrzyły w daleki nie istniejący punkt, ale trwało to tylko chwilę.

– Teoretycznie rzecz biorąc, masz rację – odparł. – Ale cóż jest warte życie bez ryzyka? Ryzykowaliśmy obydwaj nie jeden raz. Ryzyko jest potrzebne w życiu jak sól do potrawy, aby życie miało smak i sens. Nieraz należy sprawdzić siebie. Może to atawizm, ale bywało, że gdy wyszedłem

cało ze śmiertelnej gry, gdy czułem wędrujący mi jeszcze po grzbiecie dreszcz emocji, chciało mi się zabębnić pięściami w pierś i wydać zwycięski okrzyk samca. W końcu i tak umrzemy, pomimo „Nieśmiertelności”, to tylko kwestia czasu. Zmęczy się nasza osobowość i sami powiemy: wystarczy. Dzięki tobie osiągnąłem i przeżyłem w życiu dużo. Starczyłoby na kilka życiorysów. Nie miałem nigdy predyspozycji przewodzenia i nigdy ci tego nie zazdrościłem. Ale jest coś, czego ci zazdroścę...

– Naprawdę? Jeśli nie zazdrościsz mi władzy, to wybaczone, ale nie rozumiem.

Spojrzał na mnie z kpiarskim uśmiechem. Podniósł puchar i wzniósł toast: – Wypijmy za wierność i miłość! Za wierność graniczącą z absurdem i miłość, która jest samozatraceniem!

Wypiliśmy. Na jego twarzy nie było uśmiechu.

– Chodzi o Gaaję? – rzuciłem.

– Tak. Ale nie zrozum mnie dosłownie. Nie jej osoba. Ona jako wzór, przypadek.

– Czy to cię ominęło? – zdziwiłem się. Nigdy nie sądziłem, że ta sfera uczuć jest dla niego tak ważna. Miał opinię kobieciarza.

– To nie tak. Nie ominęła mnie miłość kobiety. Kobiet miałem dużo, może za dużo. To tęsknota do ideału, do miłości jedynej. To kwestia wiary, że się jest kochanym dla samego siebie, takim jakim się jest, a nie za to, czym się jest... To pewność, że jest to uczucie na całe życie, całkowite oddanie, bez reszty i bez rachunku.

– Oggo, nie poznaję cię!

Rozmowę przerwała Gaaja, ciągnąc mnie za rękaw.

– Zatańcz ze mną! Posłuchaj, jak pięknie grają.

Ruszyłem za nią do sali balowej, gdzie tańczyło kilkadziesiąt par. Nigdy nie byłem dobrym tancerzem, ale potrafiłem pozorować taniec.

Najważniejsze jest, abyś nie deptał mi po palcach – pouczała mnie zawsze Gaaja. – Jestem ragonem, a nie tancerką. Gdy wokół mnie wirujesz, jest to już dowodem łaski dla twojej dziewczyny. Inne mogą tylko podziwiać i zazdrościć...

Po takiej proklamacji budziła się moja ambicja i robiłem, co mogłem, aby wypaść jak najlepiej. Lubiłem utwory rytmiczne i niezbyt szybkie. Dyrygent orkiestry znał moje upodobania i starał się mi dogodzić. Tańczyliśmy, jeden po drugim, kilka tańców. Gaaja była zachwycona, ja pełen poświęcenia i samozaparacia.

Oggo tańczył z ładną blondynką. Pewnie ta od tygryskich kłów – pomyślałem, gdy koło nas wirowali. Puściłem do niego oko. Oggo mnie dzisiaj zadziwił. Byłem przekonany, że go znam. Pomyślałem, że jest to sygnał ostrzegawczy. Czy nie za bardzo wierzę w swój autorytet? Muszę o tym pomyśleć, aby nie skończyło się jak na Dogonię. Teraz, gdy już „obrośliśmy w piórka”, mogą się zacząć tarcia. Może nawet walka o władzę. Są już tacy, którym nie odpowiada mój plan cywilizacji.

Gaaji zrobiło się gorąco. Wyszliśmy na taras, z dołu dobiegały dźwięki muzyki i gwar zabawy. Spojrzałem na usiane gwiazdami niebo. Na południowym skłonie błyszczał Syriusz. Naszła mnie fala wspomnień...

Było to sześćdziesiąt lat temu. Noc była pogodna. Nie spałem. Tuż przed północą, roztrącając wartowników, wdarł się do mojego gabinetu Wottan.

– O co chodzi, Wottanie? – spytałem astronoma.

– Dogoń ginie! – krzyknął wtedy Wottan. – Chodź na taras. Chodźcie wszyscy!

Ruszyliśmy za nim. Tam, gdzie zwykle odnajdywaliśmy Syriusza, świeciła jaskrawym, zimnym blaskiem nowa gwiazda. Dokonało się!

Słońce Dogonu stało się supernową. Dogoń zginął.

– Nie ma już życia na Dogonię – usłyszałem obok siebie głos Wottana. – Zginęli dziewięć lat temu.

Staliśmy zwartą grupą, wpatrzeni w gorejącą gwiazdę. Dla większości Dogoń był ojczyzną ich rodziców, znaną z historii i przekazów rodzinnych. Dla nielicznych był częścią życia. Był planetą ich dzieciństwa, młodości, wspomnień. Pozostawili tam rodziny, przyjaciół, bliskich. Z wielu oczu popłynęły łzy; za tym, co umarło dla nich przed laty, za tym, co fizycznie zginęło dziewięć lat temu. Nie wiem, czy płakali nad losem Dogonu, czy opłakiwali swoje wspomnienia?

Być może jesteśmy już ostatnimi ludźmi w kosmosie? Ostatnim związkiem materii, który ma świadomość istnienia. Może poza tą planetą nigdzie nie padną słowa: Myślę, więc jestem.

Staliśmy w skupieniu, wpatrzeni w gorejącą gwiazdę, mordercę sześciu miliardów ludzkich istnień. A ona płonęła zimnym, dalekim blaskiem, którego była częścią i składnikiem, nieczuła, obca.

Czym jesteśmy, my ludzie? – myślałem. Co robimy w tym zimnym, bezwzględny kosmosie? Czyżbyśmy byli pomyłką natury, przypadkiem bez precedensu? A może jesteśmy jednym z ogniw łańcucha kolejnych przemian? Może człowiek, ta garść materii obdarzona świadomością, jest jądrem zagadki bytu? Może w którymś ze swych wcieleń będzie miał moc i wiedzę tworzenia światów?

Z zakamarków pamięci spłynęło wspomnienie rozmowy sprzed lat:

„Ojczy, czy Amma nie był bogiem?”

„Synu, bogów stworzyli ludzie. Człowiek stworzył wokół siebie wszystko, nawet samego siebie...”

Wspomnienia przerwała mi Gaaja.

– O czym myślisz? – zapytała i zaraz, jakby istniała między nami telepatyczna więź, dodała: – Nie mogłeś im pomóc. Oni cię nie chcieli!

– Mylisz się, Gaaju. Oszukano cały naród. Tacy jak Nuuza, Geebo, Odiress, mędrcy i demagodzy, znajdujący się poniżej granicy tępoty, a powyżej granicy starczego uwiązania, wmówili narodowi, że ograniczam jego wolność. Wiesz, jak jest z wolnością. Zawsze można dowieść, że jej nie ma. Bo samo życie i okoliczności stwarzają sytuacje dające się podciągnąć pod ograniczenie wolności. Ale zostawmy już wspomnienia. Wracajmy do stołu. Chcę jeszcze porozmawiać z Oggiem, który jutro wyjeżdża na polowanie...

Lubiłem rozmawiać z Oggiem. Ceniłem jego zdanie. Cechowało go ironiczne poczucie humoru i pewne okrucieństwo w operowaniu argumentami.

Zastałem go zamyślonego nad pucharem.

– O czym tak dumasz, przyjacielu? – spytałem. – Czy ta blondynka jest aż tak niedostępna?

– Rozmyślałem o samotności.

– I cóż wymyśliłeś?

– Że jest przyjemnością dla tych, którzy jej pragną, i nieszczęściem dla tych, którzy są do niej zmuszeni.

– A do których siebie zaliczasz?

– Do obu przypadków. Wybrałem taki sposób życia, w którym wiele zyskuje ale i wiele tracę. Mam nad wieloma przewagę, którą daje samotność, ale jestem od wielu uboższy o sporo przeżyć. Myślę, że nie ma sensu licytować, co jest ważniejsze. Należy raczej pytać, co dla kogo jest ważne.

– Mówiąc, że jesteś uboższy o sporo przeżyć, co masz konkretnie na myśli?

– Rodzinę, potomstwo. W końcu nawet „Nieśmiertelni” muszą się rozmnażać. Choćby w minimalnym stopniu, aby utrzymać złudzenie, że wciąż jeszcze żyją.

Pomyślałem, że ja i Gaaja, jak dotąd nie mamy dzieci.

Zmieniłem temat:

– Powiedz mi lepiej, jaki według ciebie powinien być władca?

– To proste pytanie. Aby dogodzić swym poddanym, władca musi być mądry. Ale żeby poddani jemu dogadzali, władca powinien być silny. Poza tym władca nie powinien dopuścić, aby w jego otoczeniu znaleźli się ludzie bardziej przebiegli od niego. Władca musi być pierwszym: u kobiet i w polityce.

– Twardy jest twój program, przyjacielu!

– Życie i władza należą do twardych! – odparł.

Było to tuż przed świtem. Obudziły mnie podniesione głosy pod drzwiami mojej sypialni. Poznałem głos Ogga.

Niemożliwe, pomyślałem. On jest przecież na polowaniu.

Wstałem z łóżka i podszedłem do drzwi. Jednak był to głos Ogga.

– Wpuście mnie, zakute łby! Mam ważną wiadomość dla ragona! – Tak energicznie przekonywał gwardzistów strzegących wejścia do sypialni.

– A my mamy rozkaz nie wpuszczać nikogo! Sam go wydałeś! – upierał się oficer gwardzistów.

– Wydałem, a teraz odwołuję! Wpuszczajcie!

– Nie ma mowy! Ten rozkaz może odwołać tylko ragon! Odejdź stąd, bo użyjemy siły! – groził oficer.

Otworzyłem drzwi. Zaskoczeni „dyskutanci” znieruchomieli. Wyszedłem szybko z sypialni. Bałem się, że obudzę Gaaję.

– Mówcie ciszej! – upomniałem ich. – Oggo, chodź do gabinetu!

W gabinecie zapaliłem światło i nalałem wina. Kiedy podawałem mu puchar, zauważyłem, że jest bardzo podekscytowany i zmęczony. Oczy miał zaczerwienione, a ręce mu drżały.

– Siadaj, pij i mów! – powiedziałem, zaniepokojony jego stanem.

Napił się wina i przełknął ślinę.

– Na zachodnim wybrzeżu kraju Aamu, w górach, znaleźliśmy ruiny starożytnego miasta! – oznajmił.

Zaskoczenie było całkowite. Myśli kłębiły mi się pod czaszką. Takie piękne i mądre hipotezy mieliśmy dla tej planety. Jak bardzo odpowiadała nam rola „dobroczyńców” siejących na tym globie ziarno cywilizacji. I już po hipotezach. Powrót do stanu zerowego. I to w tempie błyskawicznym.

– Jakie jest to miasto?

– Duże, prawie jak nasza stolica. Świątynie, pałace, twierdza, wszystko wzniesione z kamiennych bloków. Jest także dzielnica mieszkalna zbudowana z cegieł. W pobliżu wielkie jezioro, otoczone górami. Miasto też jest położone w górach.

Błyskawicznie się zdecydowałem:

– Idź się przespać! Wyruszmy po południu, zorganizuję ekipę badawczą!

Otworzyły się drzwi i pokazała się w nich Gaaja. Zawahała się, widząc Ogga, ale w końcu weszła.

– Czy się coś stało? – spytała.

– Nic, Gaaju! – rzuciłem. – Nic takiego, co by cię zmuszało do chodzenia nago. Miej litość nad biednymi gwardzistami. Mogą dostać zęza lub wylewu krwi do mózgu, a nawet paraliżu.

– Przecież jestem ubrana!

– Taak! Jesteś ubrana! Rzecz w tym, że między twoim ubraniem a całkowitym rozebraniem nie widzę istotnej różnicy!

– Zrobiłeś się zazdrosny, a ja nie mam się czego wstydić!

– Ależ oczywiście! Tylko że masz swe wdzięki tak wyeksponowane, że ze względu na bezpieczeństwo rodzaju męskiego należałoby je nieco lepiej zakrywać!

– Phi! Stary zazdrośnik!

– Gaaju! Zmykaj stąd, i to szybko, bo zaraz nie pozostanie mi nic innego, jak dać ci klapsa!

Groźba poskutkowała. Gaaja błysnęła w drzwiach kuperkiem i już jej nie było. A Oggo śmiał się, ubawiony naszym dialogiem.

– Bardzo się rozpuściła – rzuciłem usprawiedliwiająco.

– Nie przejmuj się tym. Jest piękna, młoda i jest kobietą. Lubi budzić pożądanie w mężczyznach. One mają to w podświadomości. Wie, że jest pod twoją opieką i nic nie ryzykuje. Spojrzenia mężczyzn są dla nich sprawdzianem atrakcyjności, poprawiają im samopoczucie. Nie zwracaj na to uwagi. Przejdzie jej.

* * *

Stratoplan zatoczył nad miastem koło i wylądował na platformie z wielkich bloków andezytu. Byliśmy w tajemniczym, starożytnym mieście, wśród niebotycznych turni, cztery tysiące dźerów nad poziomem morza. Kiedyś tu, na „dachu” kontynentu Aamu, ludzie zbudowali miasto. Jego gigantyczne zwaliska wznosiły się na tle panoramy pobliskich gór. Staliśmy urzeczeni jego wielkością. Wokół wznosiły się monumentalne budowle, stworzone z wielkich kamiennych bloków. Nad budynkami górowała piramida ze ściętym wierzchołkiem.

Obok naszego wylądował drugi stratoplan, ekipa była w komplecie. Wszyscy w milczeniu patrzyli na ruiny.

– Bierzmy się do pracy! – przerwałem ciszę. – Musimy dowiedzieć się jak najwięcej o tych, którzy tu żyli. Pracujcie dwójkami, mogą tu być dzikie zwierzęta. Szczególną uwagę zwracajcie na węże. Oggo, ty idziesz ze mną!

Ruszyłem w kierunku prostokątnego nasypu, wyłożonego kamiennymi płytami. Wznosiła się na nim wielka świątynia. Wspinaliśmy się do niej po stopniach z kamiennych bloków. Szeregi monolitycznych kolumn dźwigały kamienny dach. Po dotarciu na wzgórze zbadaliśmy wnętrze świątyni. W samym środku wielkiego prostokąta stał bazaltowy posąg wyobrażający brodatego mężczyznę, z twarzą zwróconą w kierunku wschodzącego słońca. Otaczały go mniejsze posągi, wykute z czerwonego piaskowca; stojąc dookoła centralnego posągu tworzyły obrys placu. Było ich czterdzieści osiem. Po czternaście w bocznych rzędach i po dziesięć w pozostałych. Wyobrażały dziwne twory, jakby postacie ludzi, ptaków i zwierząt.

Przeszliśmy przez świątynię kierując się do drugiego wyjścia. Była to brama, ściślej duża furta wycięta z potężnego andezytowego bloku. Zauważyłem, że jej frontowa ściana jest pokryta płaskorzeźbą. Pośrodku, nad wejściem, wyrzeźbiono centralną postać, która trzymała w rękach dwa stylizowane berła, zakończone głowami ptaków. Od jej głowy biegły promienie zakończone główkami zwierząt. Z obu stron centralnej postaci wykuto czterdzieści osiem postaci bocznych, które przyklękały na kolano przed nią. Poniżej tej kompozycji przez całą szerokość ściany biegł fryz, gdzie wyrzeźbiono jedenaście postaci identycznych z postacią centralną. Każda z nich była otoczona dwudziestoma czterema promieniami.

– Ciekawe, co ta rzeźba wyobraża? – odezwał się Oggo.

– Pewnie ich bogów – odparłem, wpatrzony już w następną budowlę.

Była to twierdza zbudowana z potężnych bloków, w kształcie szesnastokąta. Bazaltowe bloki były gładko obrobione i dokładnie dopasowane.

Ruszyliśmy dalej. Miasto wznosiło się tarasami. Przed nami stały masywy gmachów, posągi, kolumny, schody. Kiedyś zostało nawiedzone przez potężne trzęsienie. Większość budynków była uszkodzona. Wokół leżały strzaskane kolumny, posągi, fragmenty murów. Natknęliśmy się też na dziwny budynek: gmach o dziesięciu ścianach, w każdej z nich znajdowała się brama. Był również zniszczony, ale większa jego część ocalała. Weszliśmy przez jedną z bram.

Wewnątrz zobaczyliśmy kolumnadę zbudowaną na obwodzie koła. Podpierała kopulasty strop.

Pomiędzy kolumnami stały olbrzymie kamienne posągi przedstawiające ludzi. Pośrodku wznosił się okrągły ołtarz wykonany z czerwonego andezytu. Stały na nim, zwrócone do siebie plecami, posągi czterech nagich kobiet. Ich ręce wzniesione nad głowami podtrzymywały złotą kulę. Było na niej coś wyryte. Podeszedłem bliżej do ołtarza. Na kuli był wyryty symbol słońca – godło Dogonu.

Z wrażenia krzyknąłem do Ogga:

– Zobacz, co tam jest wyryte! Ja chyba wariuję!

– Uspokój się! – odparł Oggo. – Już to zauważyłem. Na każdym posągu są wyryte znaki, na jednych krzyże, na innych symbol słońca. Wyryte są też na kolumnach. Twierdzę, że tym razem jesteśmy w „domu”. Jeśli się mylę, to zjem swoje buty!

Wyszliśmy na zewnątrz, aby obejrzeć konstrukcję świątyni. Była zbudowana z bloków piaskowca, dla wzmocnienia spinanych ankrami.

Usiadłem na przewróconej kolumnie, patrzyłem na to miasto i myślałem. Kto i kiedy zbudował takie gmachy i świątynie? Nie mogło tego ogromu stworzyć jedno pokolenie. Zapewne rosło trudem kilku, jeśli nie kilkunastu pokoleń. Takie umiejętności jak architektura, budownictwo, rzeźba, ludzie osiągają na wyższym stopniu rozwoju. Dochodzi się do nich długo i mozolnie, przekazując je z pokolenia na pokolenie, aż w którymś kolejnym kunszt „dojrzeje”, osiągając doskonałość. Miasto budowali wybitni architekci, bo przezwyciężając duże trudności potrafili wznieść je na zboczach gór. W tych monumentalnych budowlach synteza sztuk plastycznych święciła swój tryumf. Architektura, rzeźba, urbanistyka łączyły się, tworząc doskonałą całość zharmonizowaną z krajobrazem. Dzikość i groza otaczających miasto szczytów miały niewątpliwie wpływ na budowniczych, pewnie dlatego surowe geometryczne formy były główną zasadą powstałej tu architektury.

Zbliżał się wieczór, namioty rozbiliśmy obok stratoplanów. Zasiadliśmy przy wielkim ognisku do kolacji. Zmrok zapadł szybko, choć nad szczytami gór było jeszcze słońce. W zapadającym mroku groźnie piętrzyły się mury miasta.

– Zbadajcie wszystko, co tylko można – odezwał się – rejestrujcie, opisujcie, mierzcie. To miasto może wam odpowiedzieć na wiele pytań. Przyślę wam pomoc, jeśli okaże się was tu za mało, aby sprostać zadaniu. Przyślę sprzęt, żywność, składane domki i stratoplany. Chcę, byście przeszukali ten kraj. Sądzę, że znajdziecie tu coś więcej. Miasto nie może być odosobnione, gdzieś w pobliżu powinny być inne. Ja będę tu jeszcze przez kilka dni, ale potem muszę wracać. Interesuje mnie każde odkrycie, każdy liczący się szczegół...

Minęło kilka dni, ekipa systematycznie penetrowała miasto. Każdą budowlę poddawano szczegółowym oględzinom i rejestracji. Piątego dnia wybuchła „bomba”.

Buuto przeszukiwał teren przy świątyni „Dziesięciu Bram”. Dochodził już do muru, gdy wykrywacz wydał ostry świst, odkrywając metal. Sygnalizowane miejsce zaczynało się dwa kroki od muru świątyni i tworzyło krąg o średnicy trzech kroków. Buuto przywołał nas przez fonom.

– W gruncie jest jakiś metal o dużej masie! – zameldował.

– Trzeba go odkopać! – zdecydowałem. – Wezwij robota.

Przybyły robot wkopał się w grunt, odrzucając gruz i ziemię. W końcu jego narzędzie zazgrzytało o metal.

– AERO! Poszerz wykop! – nakazał mu Buuto.

Robot posłusznie poszerzył wykop. Błysnęła w nim srebrzysta płyta. A po kilku minutach zobaczyliśmy okrągłą tarczę, była wykonana z nierdzewnej stali. Gdy robot zgarnął z niej resztki gruzu, dostrzegliśmy wyryty na niej napis.

– AERO! Podnieś płytę – komenderował Buuto.

Robot chwycił za krawędź płyty i uniósł ją stawiając pionowo. Pod płytą było wejście do dość

głębokiego szybu. Szyb był okrągły jak studnia. Przy samym jego dnie, w ścianie, znajdowała się wąska nisza. Buuto w tym czasie przyglądał się napisowi. A kiedy odwrócił się do nas, oczy miał jakieś dziwne, zauważyłem, że zbladł.

– Co ci się stało! Jest ci niedobrze? – spytałem.

– Ragonie, nie mogę uwierzyć! Chyba mi się coś pomieszało! Na Boga, ten napis jest w starodogońskim!

Spojrzałem na napis. Znałem te znaki! Sam nie potrafiłem ich odczytać, ale kilkoro z naszej grupy, między innymi Gaaja, biegle czytali takie teksty.

– Opanuj się, Buuto, i przetłumacz napis! – powiedziałem, z trudem panując nad sobą.

Buuto wyjął notatnik, przepisał tekst, porównywał, zastanawiał się. Trwało to dość długo. Wreszcie oświadczył, że może czytać.

– Czytaj więc! Przecież tylko na to czekamy.

– To napis nagrobny, bo w szybie jest grób. Ten napis brzmi: Tu spoczywa ciało wielkiego człowieka i obywatela, który przez całe swe życie był opiekunem i obrońcą Wiecznego Miasta. Dzięki jego pracy i poświęceniu muzeum zyskało światową sławę. Spełniliśmy twe ostatnie życzenie, Mistrzu Moone. Spoczywaj w ukochanym mieście. Uczniowie swemu Mistrzowi. Dnia 10 Seell, 4732 roku Drugiej Ziemskiej Cywilizacji.

Ogarnęło nas podniecenie, byliśmy na progu rozwiązania tajemnicy. Napis wyjaśniał już wiele, ale jeszcze nie wszystko.

– Przynies drabinę, latarki, sprzęt fotograficzny! – krzyknąłem do Oggo.

Wezwał robota i ruszył z nim do obozu. Słyszałem, jak po drodze przynagla go do szybszego biegu wołając: – AERO! Szybciej! Szybciej!

W końcu wszystko znalazło się na miejscu i mogliśmy zejść do szybu. Wnęka była przejściem do komory grobowca. Sarkofag stał w małej pieczarze, wykutej w skale. W ostrym świetle latarek błyszczał czernią polerowanego bazaltu. Przecisnęliśmy się przez wnękę do komory. Buuto został na górze. Na pokrywie sarkofagu zauważyłem drugi napis.

– Buuto! – zawołałem. – Zejdź tutaj! Znowu masz pole do działania, ale przetłumacz napis możliwie szybko! My zrobimy w tym czasie kilka zdjęć.

– Odkryjemy sarkofag? – spytał Oggo.

– Oczywiście! Możemy znaleźć w nim wiele interesujących rzeczy.

– Robot nie przejdzie przez szczelinę, jest dla niego za ciasna.

– To niech ją poszerzy! Powiedz mu, żeby się do tego zabrał.

Oggo wydał robotowi polecenie poszerzenia wejścia do komory. Ten zastanawiał się przez chwilę, ale w końcu wysunął świder i zaczął drążyć skałę. W małym pomieszczeniu grobowca hałas drążenia skały potęgował się jeszcze bardziej. A kurz utrudniał nam oddychanie.

– Wychodzimy na górę! – zdecydowałem. – Buuto, przepisz inskrypcję, przetłumaczysz ją na górze...

Siedzieliśmy nad szybem i jedliśmy posiłek. W dole robot łupał skałę. Buuto tłumaczył, co nie przeszkadzało mu jeść. Skończył jednocześnie jedno i drugie.

Kimkolwiek byłbyś człowieku, który znajdziesz ten sarkofag, nie otwieraj jego pokrywy i nie zakłócaj mi spokoju, nie ma ze mną bowiem srebra ani złota, nie ma nic cennego do zabrania prócz mnie, który tu leżę. Nie zdejmuj mojej pokrywy i nie zakłócaj mi spokoju, to bowiem jest obrzydliwością dla natury. A jeśli zakłócisz mi spokój, nie będziesz miał potomstwa w życiu pod słońcem, ani mieszkania ze zmarłymi...

– Przykro mi, że narazimy się Mistrzowi Moone, bo sarkofag otworzymy. I nie uczynimy tego

z niskich pobudek, ale dla poznania prawdy. Myślę, że nam przebaczy... – dodałem na usprawiedliwienie.

Dopiero dwa roboty razem dały radę zdjąć płytę sarkofagu, była bardzo ciężka. Wewnątrz leżała mumia mężczyzny o długich siwych włosach. Ubrana była w czarną szatę.

– Wygląda, jakby był zabalsamowany – zauważył Oggo – ale myślę, że jest to wpływ miejscowego klimatu. Choć może się myłę.

– Tak – orzekłem. – Autorytatywnie wypowiedzą się specjaliści. Mistrz Moone odpowie nam na wiele pytań, choć nie żyje. Dowiemy się, kiedy umarł i jak długo żył, czym się odżywiał i na co chorował. Jego szaty powiedzą nam, z czego i jakim sposobem zostały wykonane. Czym były barwione. Nawet jego sarkofag będzie dla nas ciekawostką. Dowiemy się, jakimi narzędziami go wykonano. Obchodźcie się z mistrzem bardzo ostrożnie, bo jest jedynym źródłem informacji.

* * *

Koło się zamknęło. Byliśmy na Ziemi, planecie swych przodków. Nasi przodkowie żyli na Ziemi w okresie Drugiej Cywilizacji. Z tego można wyciągnąć logiczny wniosek, że przed nimi istniała Pierwsza Cywilizacja. Czyli, że my tworzymy właśnie Trzecią Cywilizację. A że życie jest skomplikowane, po każdym wyjaśnieniu następują nowe pytania. Co się stało z naszymi poprzednikami? Jaki to kataklizm zmiotł ich z powierzchni tej planety? Dlaczego dotąd nie znaleźliśmy śladów ich cywilizacji? Przecież Wieczne Miasto nie było dziełem tych z Drugiej. Było zabytkiem muzealnym, którym opiekował się Mistrz Moone, prawdopodobnie było ono tworem Pierwszej Cywilizacji.

Przez kilka kolejnych miesięcy prowadziliśmy dalsze poszukiwania, ale nie były one już tak owocne.

Badania zwłok Mistrza Moone wykazały, że dożył on dziewięćdziesięciu lat, zmarł około dwudziestu dwu tysięcy lat temu (z dokładnością do stu lat). Przyczyną śmierci była starość i zakłócenia w układzie krążenia. Był poddany kilku operacjom – sztuczne arterie w obu nogach i zastawki w sercu. Nie był balsamowany. Materiały, z których wykonano jego ubranie, były utkane na mechanicznych krosnach i chemicznie barwione. Był ubrany w syntetyki. Sandały wykonano ze skóropodobnych syntetycznych materiałów. Poza tym okazało się, że nasi przodkowie znali inżynierię genetyczną. Badając zęby Mistrza stwierdzono, że do wypełnienia próchnicznych ubytków stosowano materiał genetyczny, pobudzający komórki do wytworzenia cząstek proteinowych dla emalii zębowej. Wszczepione w ubytki komórki wytwarzały kryształki emalii.

Jak wykazały badania mikrośladów na sarkofagu Mistrza, został on wykonany narzędziami o napędzie elektrycznym, a napis na płycie – pokrywie szybu wyryto za pomocą łuku elektrycznego. Płyta okazała się stopem stalowo-niklowym.

Mistrz Moone zmarł tysiąc lat po wyruszeniu Ammy na Dogoń, czyli że Amma opuścił Ziemię około 3700 roku Drugiej Ziemskiej Cywilizacji.

– Co się z nimi stało? Dlaczego po ich cywilizacji nie ma żadnych śladów? – zadałem to pytanie Naatowi.

– Zniszczył ich kataklizm – odparł lakonicznie.

– Całą cywilizację?

– Mamy na ten temat kilka ząębających się i bardzo prawdopodobnych hipotez. Dlatego chciałbym, żebyś zwołał zebranie naukowców. Niech wypowiedzą się na forum.

– Dobrze! Zajmę się organizacją.

- Mam nadzieję, że dyskusja poszerzy naszą wiedzę i odpowie na szereg pytań.
- Oby tak było! – odpowiedziałem, żegnając Naata.

* * *

Nie było jeszcze godziny dziesiątej, gdy wraz z Gaają zajęliśmy miejsca. Sala była pełna. Na jednej ze ścian umieszczono wielki ekran. Zgłoszono do dyskusji cztery hipotezy.

Pierwszą miał referować Buuto. Stał z lewej strony ekranu. Na ekranie ukazał się obraz przedstawiający w naturalnej wielkości bramę do świątyni „Czterdziestu Ośmiu Posągów” z Wiecznego Miasta.

– Widzicie tu płaskorzeźbę z Pierwszej Cywilizacji – referował Buuto – zdobiącą bramę świątyni. Sądzę, że ta płaskorzeźba jest ówczesnym kalendarzem. Centralna postać przedstawia Słońce i główny miesiąc roku. Jedenaście postaci na dolnym fryzie przedstawia pozostałe miesiące roku. Każda jest otoczona dwudziestoma czterema promieniami. Są to dni miesiąca. Czterdzieści osiem postaci bocznych z obu stron postaci centralnej to tygodnie. Czyli dwanaście miesięcy po dwadzieścia cztery dni daje dwadzieścia osiem dni w roku. Ponieważ czas obrotu Ziemi wokół Słońca nie mógł ulec zmianie, wynika z tego, że pełen obrót Ziemi wokół swej osi wynosił wówczas trzydzieści pełnych i czterdzieści trzy setne obecnej godziny. Wychodząc z tych założeń otrzymamy następujący podział roku: dwanaście miesięcy po dwadzieścia cztery dni, czterdzieści osiem tygodni po sześć dni, doba miała dwadzieścia cztery godziny. Zastrzegam, że nie współczesne. Wniosek: Ziemia w czasach budowniczych Wiecznego Miasta obracała się wokół swej osi dużo wolniej niż obecnie. Różnica wynosi siedemdziesiąt siedem obrotów, czyli dób, w ciągu roku. Powstaje pytanie: Co spowodowało przyspieszenie wirowania Ziemi wokół swej osi?

Tym zakończył swoje wywody, a wtedy obok ekranu stanął Uppule. Na ekranie pokazał się obraz jeziora

– Wieczne Miasto – zaczął Uppule – leży w górskiej kotlinie, w pobliżu jeziora. Na zboczach gór otaczających jezioro zauważyłem ślady dawnego brzegu. Proszę spojrzeć na ekran, ślady są wyraźnie widoczne. Z oględzin wynika, że jezioro w odległych czasach zajmowało o wiele większą powierzchnię niż obecnie. Gdy połączyłem linią powietrzną obydwie jego brzegi na wysokości dawnych śladów, stwierdziłem, że płaszczyzna powierzchni jeziora w dawnych czasach była do płaszczyzny obecnej pochylona. Z proporcji określiłem przebieg warstwie. Analiza układu tych warstwie wykazuje, że góry otaczające Wieczne Miasto były w przeszłości wyspą. Poziom oceanu sięgał do wysokości obecnego jeziora. Wniosek: jeżeli Wieczne Miasto, leżące cztery tysiące dżerów nad obecnym poziomem oceanu, zostało zbudowane na wyspie, to znaczy, że cały kontynent z wyjątkiem szczytów gór, był dnem oceanu. Jedynie nieliczne szczyty były wyspami.

Na ekranie pokazała się mapa kontynentu z zaznaczeniem hipotetycznych wysp, czyli miejsc położonych powyżej czterech tysięcy dżerów nad poziomem oceanu.

– Ale stwierdzenie to nie wyczerpuje kwestii – ciągnął Uppule – bo sam wniosek dotyczy również pozostałych kontynentów. Wszystkie istniejące obecnie lądy Ziemi leżały wówczas na dnie oceanu. Nad jego powierzchnię wystawały jedynie pasma górskie, tworząc wyspy. Pytanie: Gdzie jest ląd, na którym egzystowały poprzedzające nas cywilizacje?

Po nim głos zabrał Errwa.

Na ekranie pokazały się dwie półkule Ziemi.

– Widzicie tutaj lądy, morza i oceany Ziemi. Czy nie intryguje was, dlaczego na tej planecie jest tak mało lądu? Jest go zaledwie 29 procent ogólnej powierzchni planety...

Za punkt wyjściowy rozważań przyjmuję hipotezę Uppule, to znaczy, że w pewnym okresie wszystkie istniejące obecnie lądy były zalane wodą. Jak powszechnie wiadomo, ilość wody na Ziemi jest czynnikiem stałym. Woda może się przemieszczać, zmieniać swój stan fizyczny, ale jej ilość jest niezmienna. Pytanie brzmi: Skąd się wzięły na Ziemi tak olbrzymie ilości wody, że zatopiła ona wszystkie obecnie istniejące na Ziemi kontynenty? Te olbrzymie ilości wody nie miały skąd się wziąć. Po prostu wody oceanu zostały wyparte i spiętrzone. Przez co? Przez olbrzymi ląd, który wówczas istniał na powierzchni Ziemi. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy był to jeden, czy kilka kontynentów, ale twierdę, że na tym lądzie istniały ludzkie cywilizacje. W którymś momencie dziejów nastąpił kataklizm. Ląd, na którym żyli nasi przodkowie, zapadł się w głąb planety. Wody oceanów spłynęły, wypełniając puste miejsce. Ich poziom obniżył się odsłaniając nowe lądy. I tu mamy nowe pytanie: Co spowodowało zapadnięcie się lądu, na którym żyli nasi poprzednicy?

Kolejny Głos należał do Wottana.

– Jest faktem – powiedział – że Ziemia około 3700 roku Drugiej Cywilizacji nie miała satelity. Istnieje na to niezbity dowód w postaci map Ammy, który nie zaznaczył na swych mapach satelity Ziemi. Nie mógł zaznaczyć, bo Ziemia go jeszcze wtedy nie miała. Nie jestem w stanie określić czasu pojawienia się satelity. Zamiarem moim jest odpowiedzieć na pytania, które zadali moi poprzednicy. W trakcie rozważań wyjaśnię, w jaki sposób Ziemia zyskała satelitę i na skutek czego doszło do kataklizmu. Według moich wyliczeń obecny satelita Ziemi był samodzielną planetą krążącą wokół Słońca, pomiędzy orbitami trzeciej i czwartej planety układu. Nazwijmy go roboczo „Planetą X”.

Twierdę, że w dziejach Ziemi był taki dzień, w którym nastąpiły trzy wydarzenia: zyskała satelitę, przyspieszyła obroty wokół swej osi i utraciła równowagę sejsmiczną. Jak mogło się to stać? Istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Sprawcy należy szukać w kosmosie. Zakładam, że istnieje duże ciało kosmiczne, nazwijmy je roboczo planetą, którego orbita przecina orbitę Ziemi. Owego krytycznego dnia lecąca z bezkresnych przestrzeni kosmosu planeta napotkała w pobliżu swej orbity planetę X i pociągnęła ją za sobą. Następnie, przecinając orbitę Ziemi, przeleciała tak blisko niej, że Ziemia odczuła to jako potężne szarpnięcie, które wprawdzie nie wyrwało jej z orbity – bo na to siła przyciągania planety była zbyt słaba – ale spowodowało przyspieszenie jej wirowania wokół własnej osi i zakłócenia równowagi sejsmicznej. Skorupa Ziemi od strony przelatującej planety została gwałtownie szarpnięta. Było to powodem ruchów sejsmicznych całego globu i zapadnięcia się lądów. Planeta X, pociągnięta w kierunku Ziemi, dostała się w obszar jej przyciągania i stała się jej satelitą. Kataklizm, jaki spowodowała na Ziemi przelatująca planeta, był totalny. Ziemia trzęsła się, w nieustającym dreszczu sejsmicznych ruchów. Był to koniec wszelkiego życia. Niewiele istot ocalało z kataklizmu. A te nędzne resztki ludzi, zwierząt, owadów i roślin, które przetrwały na ówczesnych wyspach Ziemi, stały się przodkami tego bogatego świata zwierząt i roślin, jaki istnieje obecnie. Człowiek wyszedł z kataklizmu najbardziej poszkodowany. Utrzymał wprawdzie ciągłość gatunku, ale na jakim poziomie...

Wottan skończył mówić. O głos poprosił Taago.

– Hipoteza Wottana jest hipotezą wizjonera. W żadnym stopniu nie jest sprawdzalna i nie można przyjąć jej za pewnik. Nauka nie lubi uogólnień.

– Czyli sądzisz, że jeśli coś nie jest udowodnione, to znaczy, że nie istnieje – przerwał mu Orrun. – Prawa kosmosu są poza naszą logiką i nie dadzą się kontrolować matematycznie, bo zbyt mało o nich wiemy. Tylko czasem, na krótką chwilę iluminacji, otwiera się przed kimś droga do poznania ich tajemnic.

– Chcesz więc dowieść, że odkrywca to ten, który pierwszy dał przykład nielogicznego myślenia! – upierał się Taago.

– Nie, ja chcę dowieść, że odkrywca to ten, który przełamał siłę schematów! – odparł Orrun.

Wtedy, ku memu wielkiemu zdziwieniu, zobaczyłem wstającą ze swego miejsca Gaaję.

– Mam zastrzeżenia! – powiedziała bardzo głośno. – Nie zgadzam się z tezą, że ludzie, którzy przeżyli kataklizm, cofnęli się do epoki kamienia łupanego, jak to sugeruje Wottan. Nie jest możliwym, by zapomnieli mowy, pojęć, religii i tego wszystkiego, co było ich materialnym i duchowym dorobkiem. Pomimo odcięcia od zaplecza przekazałoby następnym pokoleniom przynajmniej część kulturalnego dorobku.

Gdy Gaaja skończyła, podniósł się Ayoob.

– Mnie również, tak jak Gaaję, nie przekonuje twierdzenie, że tubylcy są spadkobiercami Drugiej Cywilizacji. Nie można zakładać równomiernego rozwoju wszystkich ludzi zamieszkujących w czasie kataklizmu Ziemię. Na pewno istniały dzikie plemiona zamieszkują te tereny nie objęte cywilizacją. Założenie, że wszyscy mieszkańcy Ziemi żyli na tym samym poziomie, to nonsens. Logicznym jest, że w czasie kataklizmu oni, ci nieucywilizowani, mieli większą szansę na przeżycie, bo byli jeszcze dziećmi natury. Sądzę, że to z ich potomkami obecnie się spotykamy...

* * *

Budziłem się powoli, ociężale. Przeciskałem się przez „igielne ucho” ze świata iluzji do świata realnego. Z Trzeciej do Czwartej Cywilizacji.

Obok „fotela” czekała już z kawą Izabela. Wypiłem ją łąpczywie, ale nie poczułem się wzmocniony.

Papadukulos odpiął mnie od „fotela” i chciał mi pomóc przy wstawaniu, kiedy zaskoczyłem go pytaniem: – Geniuszu! A nie masz ty przypadkiem kieliszka koniaku?

– Mam. Nawet całą butelkę – przyznał się bez oporu.

Unosząc potem szklanę napelnioną koniakiem wzniosłem toast:

– Za wszystkie ludzkie cywilizacje z czwartą włącznie!

Zebrałem ich, aby udzielić ostatnich wskazówek i pożegnać. Salę wypełniali członkowie sześciu misji, które nazajutrz odpływały do wyznaczonych im krajów. Stałem przed zgromadzonymi, a gdy gwar ucichł, powiedziałem:

– Jesteście pierwszymi, którzy na kontynenty Ziemi poniosą światło cywilizacji. Pierwsi założycie w wyznaczonych wam krajach placówki, skąd będziecie prowadzić proces cywilizacji na podległych wam obszarach. Od waszych zdolności i pomysłowości zależeć będzie szybkość procesu asymilacji plemion myśliwych i zbieraczy. Musicie dołożyć wszelkich starań, aby skończyła się dla nich epoka kamienia, aby od koczownictwa przechodzili do życia osiadłego, do rolnictwa i hodowli. A gdy staną się już takim społeczeństwem, gdy wybudują miasta i osiedla, popierajcie i rozwijajcie rzemiosło i handel, aby zapewnić ich rozkwit. By rzesza rzemieślników i kupców była liczna. Nada to ożywiony rozwój miastom i kontaktom między nimi. Uczcie budowy statków morskich i nawigacji. Niech kupcy płyną do innych krain, niech wiozą tam rodzime towary, a przywożą wyroby obce. Niech kwitnie handel. Chcę wam przypomnieć, że misja cywilizacyjna jest naszym obowiązkiem wobec Ziemi. Stąd się wywodzimy. Powróciliśmy tu, aby dokonać swego posłannictwa. Osądźcie sami, jak bardzo są zawile losy ludzkiego rodzaju...

Misjonarze byli pełni zapału. Oby wystarczyło im go na długo, na bardzo długo. Następnego ranka odpłynęli. Niektórzy z nich mieli przed sobą długą drogę. Życzyłem im pomyślnych wiatrów i wytrwałości. Niech los im sprzyja. Czekala ich walka. Nie w sensie zbrojnego starcia, ale walka z niecierpliwością człowieka i przeciwnościami życia.

* * *

Po powrocie do pałacu wezwałem Zaago.

– Dawno cię nie widziałem. Czyżbyś mnie unikał? – odezwałem się do wchodzącego filozofa. – Tak się zagłębiasz w filozoficzne kontemplacje, że nie masz czasu odwiedzić przyjaciół... – dodałem ironicznie.

– Nie rozumiesz filozofii – odparł Zaago. – Ona nie jest obiektem kontemplacji, jej cel leży zawsze poza nią samą, a ona jest drogą wiodącą ku niemu.

– Może nie rozumiem, ale mam kilka pytań, na które możesz mi odpowiedzieć. Na pewno domyślasz się, o co chodzi?

– Tak, ale nie wiem, czego ode mnie oczekujesz? Filozof nie jest błaznem ani pochlebcą. Filozof nie potrzebuje łask władców, oklasków i aplauzu. Domyślam się, że nie wychodzi ci teoria o dwutorowości cywilizacji. Mnie to nie zaskakuje, bo przewidziałem załamanie się tej antyfilozoficznej utopii, która miała rozwiązać wszystkie problemy socjalne i socjotechniczne.

– Przesadzasz! – zaprotestowałem. – Ta antyfilozoficzna utopia, jak ją nazywasz, zaledwie raczkuje i nic nie zapowiada jej upadku. Nie jest zresztą, jak twierdzisz, utopią. Opracowaliśmy komputerowy, czynnościowo równoważny model społeczności i jest on dla nas wzorcem działania. Oparliśmy się na metodach matematycznych, fundamentalnych dla procesów społecznych.

– Nie przeczę, że procesy społeczne można ująć w pewne reguły, ale nie są one trwałe – odrzekł Zaago – bo wszystkie założenia zmieniają się po upływie czasu. System społeczny ulega przekształceniom, których powodem są z reguły warunki ekonomiczne. One z kolei pociągają za sobą zmiany polityczne i kulturalne.

– Twierdzisz, że kompleksowe oparcie się na modelu jest błędem?

– Tak. Uważam, że należy modelować kolejny etap cywilizacji, zgodnie ze zmieniającymi się formacjami ekonomiczno-społecznymi. W tych modelach powinien dominować postęp techniczny. Wy też uwzględniliście pewne zmiany, ale nie każda zmiana jest postępem. Postęp wyraża się przede wszystkim w twórczej działalności ludzi, w doskonaleniu narzędzi produkcji i charakterze stosunków społecznych.

– Rozumiem, że przewidujesz fiasko naszych poczynań?

– Na razie nie odczujecie komplikacji, ale w miarę powiększania się państwa władza będzie ulegać koncentracji. Forma rządów, jaką założyłeś, stanie się niedostateczna, bo na wielkich obszarach skuteczność informacji osiąga się łącznością radiową, a nie posłańcami w prymitywnych statkach. Gdy wzrośnie populacja, interesy poddanych i władzy staną się bardziej złożone i rozbieżne. Atlant jest zbyt odległy od innych lądów. Fakt, że rząd będzie bardzo odległy, wywrze wpływ na poszczególne prowincje, a tym samym na życie ich społeczeństw. Przy prymitywnym poziomie techniki wymiana towarów i informacji będzie znikoma. Te czynniki doprowadzą do separatyzmu, lokalnego patriotyzmu i tendencji autonomicznych. Twoje założenia obejmują współdziałanie i równomierny rozwój całego przyszłego imperium, a nie niezależny rozwój kilku prowincji.

Nie przekonały mnie jego prognozy. Zrozumiałem, że Zaago nie popiera moich założeń. A na prognozy jest za wcześnie. Pomyślałem, że gdyby nawet miał rację, to spójność imperium można utrzymać siłą.

Zaledwie Zaago zamknął za sobą drzwi, do gabinetu weszła Gaaja.

– Wottan chce się z tobą widzieć – zakomunikowała mi od progu.

– Czy mówił, o co mu chodzi?

– Spadł jakiś ciekawy meteoryt, który zbadali z Ayoobem, i mają zaskakujące wnioski z badań.

– Jestem zmęczony! Za dużo pracuję! W tym państwie nikt nie może się beze mnie obejść. Ten potrzebuje pomocy, tamten rady, ów ma ciekawe wnioski, a jeszcze inny coś odkrył!

Podeszła i usiadła na moich kolanach, oplatając mi szyję rękami. Całowała moje czoło, oczy, usta. Przytuliłem ją mocno. Ona jedna nigdy niczego nie chciała. Wystarczył jej sam fakt, że była przy mnie. Kiedy pracowałem, siadała często w moim pokoju, a zachowywała się tak cicho, że zapominałem o jej obecności. Nieraz, gdy unosiłem głowę znad papierów, spotykałem jej oczy wpatrzone we mnie. I nie przeszkadzało mi to. Posyłałem jej wtedy uśmiech, na który odpowiadała uśmiechem. Czuję się nawet lepiej, kiedy była obok.

– Mam pomysł – powiedziała – ucieknijmy na kilka dni. Znam małą bezludną wysepkę. Zrobimy sobie chwilę wypoczynku. Wyobraź sobie złotą, piaszczystą plażę, skąpaną w promieniach słońca, ciepłe, szmaragdowe fale morza, w którym będziemy pływać, dziewiczy las i kozy nie bojące się ludzi, bo nigdy ich nie widziały. No co? Dasz się namówić?

Dałem, potrzebowałem wypoczynku.

* * *

Mały stratoplan wylądował na złotej plaży. Wskoczyliśmy na piasek. Tu naprawdę było pięknie.

– Szybko do wody! – krzyknęła Gaaja, w biegu zrzucając ubranie.

Pobiegłem za nią. Brnęliśmy w głąb morza po płyciźnie, trzymając się za ręce. Gdy poziom wody sięgnął ramion Gaaji, zatrzymałem się.

– Tutaj możemy już płynąć, ale w kierunku lądu – zaznaczyłem.

– Dlaczego? Przecież dobrze pływamy.

– Gaaju, tu są drapieżne ryby. Gdyby nas zaatakowały, bylibyśmy bezradni. Mogłoby się to dla nas źle skończyć.

Popłynęliśmy w kierunku wyspy.

Kolejne dni płynęły nam szybko, zbyt szybko. Kąpiele morskie i słoneczne, wyścigi po plaży, żarty z ciekawskimi, a nic nie bojącymi się kozami wypełniły nam czas. A gdy znużyły nas zabawy, mieliśmy jeszcze siebie. Było nas tylko dwoje na tej wyspie, a Gaaja była piękna...

Któregoś dnia, gdy przytuliła się do mnie, spytałem:

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Gaaju?

– Nie, mam wszystko i jestem szczęśliwa!

– Pomyśl, może jednak masz jakieś niezaspokojone pragnienia?

Zamknęła oczy. Zauważyłem, jak jej twarz oblewa rumieniec.

– No mów! Widzę, że chcesz coś powiedzieć!

– Chcę mieć dziecko! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

No tak, pomyślałem. W końcu Gaaja jest kobietą. Żyjemy z sobą już tyle lat. Nigdy nie rozmawialiśmy o dziecku. No cóż, chyba nie powiesz, że nigdy nie zakładałeś takiej ewentualności – przyznawałem się w duchu. Byłoby przecież dziwne, że ona może nie pragnąć kiedyś dziecka... Byłeś po prostu egoistycznie zazdrosny. Nie chciałeś się dzielić z nikim, zdawałeś sobie sprawę z tego, że jesteś dla niej pierwszym i jedynym. Gdy pojawi się dziecko, to już nie będziesz ani pierwszym, ani jedynym. Ale to skrajny egoizm. Ona jest kobietą...

– Czy bardzo tego pragniesz, Gaaju?

– Bardzo, Nommo!

– Dobrze! Będzie tak, jak chcesz – obiecałem.

Patrzyłem na skraj horyzontu, za który właśnie chowało się czerwone słońce. Czyżby była to prognoza dla naszego uczucia? To zachodzące słońce ma być symbolem zmierzchu tego, co nas jednoczy?

Gaaja wyczuła, co myślę. Istniała pomiędzy nami jakaś łączność telepatyczna, która dawała się odczuć w wielu momentach naszego wspólnego życia.

– Nie będzie tak, jak myślisz – zaczęła cichym głosem. – On, bo zakładam, że będzie to syn, nie stanie się nigdy pierwszym. Nigdy przed tobą, mój mężu i panie. Ty będziesz dawcą życia, siewcą, ja będę tylko glebą przyjmującą ziarno. To będzie twój syn. Następne wcielenie twojego „ja”, tak jak ty jesteś wcieleniem twojego ojca. Kiedyś odejdziemy stąd, bo wszystko ma jakieś granice. Wszystko, co dzisiaj tworzymy, robimy dla jutra. Człowiek nie żyje czasem teraźniejszym, żyje przeszłością i przyszłością. Pomyśl, za sobą mamy trzy cywilizacje: dwie tu na ziemi i jedną na Dogonię. Przed sobą mamy Trzecią Ziemią Cywilizację. Tę, którą tworzymy. Ty jesteś jej mózgiem i motorem. Pracujesz i tworzysz dla jutra. Komu chcesz to jutro ofiarować, jeśli masz opory w powołaniu do życia własnego potomka? Czy założyłeś, że to jutro, którego ziarno siejesz, nie będzie godne twojego syna?

– Mylisz się, Gaaju! Nie rozpatrywałem tego aż z takiej perspektywy. Wyszedłem z ciasnych egoistycznych pobudek. Przekonałaś mnie, że nie miałem racji. Twa mądrość dorównuje twej urodzie.

– On nigdy nie będzie wielkim Nommo – ciągnęła swój wywód – tym, który przybył z Dogonu i stworzył na Ziemi Trzecią Cywilizację. Może być w życiu wszystkim, ale nie będzie Wielkim Siewcą. On należy do przyszłości, a ty do przeszłości. Ja zawsze będę tylko twoja, bo należałam, należę i będę należeć do ciebie!

Przytuliłem ją, smakując jej wargi w nienasyconym pocałunku, który po spełnieniu nie dawał

ukojenia, a jeszcze bardziej potęgował pragnienie. Byliśmy sami na wyspie, na Ziemi, w kosmosie. Dwoje siewców jutra... W suficie nieba błyszcząły gwiazdy – nieczułe, dalekie, obce, czy było w nich zapisane nasze jutro?

Musieliśmy wracać. „Głowa Państwa” niewiele ma czasu dla siebie. Pakowałem nasze rzeczy, a Gaaja chciała jeszcze popływać.

– Nie odchodź daleko, bo za pół godziny odlatujemy! – przypominałem jej.

– Pójdę do zatoki, przy końcu plaży, tam jest głębiej – odpowiedziała.

Wrzuciłem pakunki do stratoplanu, gdy nagle odczułem narastający w podświadomości niepokój. Chwyciłem miotacz i pobiegłem w kierunku zatoki.

To, co zobaczyłem, na moment mnie sparaliżowało. Przy końcu zatoki, tam gdzie łączyła się z morzem, Gaaja walczyła o życie. Płynęła w spazmatycznym rytmie wyrzucanych ramion w kierunku cypla wrzynającego się w morze. Za nią cięta taflę wody płetwa wielkiej drapieżnej ryby. Czas, w którym znalazłem się na końcu cypla, na pewno należał do superrekordów w biegach. Gaaja miała już blisko do lądu, ale i ryba była tuż za nią. Na strzał z miotacza daleko, ale musiałem zaryzykować. Położyłem się i oparłem rękę na głazie, miałem je obydwie na linii strzału. Gdy płetwa zbliżyła się do Gaaji, strzeliłem.

Zakotłowało się w wodzie, zniknęła i Gaaja, i płetwa. Woda zabarwiła się krwią. Zaraz po tym wypłynęła Gaaja. Ruchy rąk miała słabe i nieskoordynowane. Znowu zanurzyła się pod wodę. Zrozumiałem, że tonie. Skoczyłem i dopłynąłem do niej w ostatniej chwili. Gdy sięgnąłem nogami dna, wziąłem ją na ręce. Leżała mi na rękach blada, głowa zwisała jej bezwładnie do tyłu.

Po wyjściu z wody zadrzałem... Miała obgryzioną prawą nogę poniżej kolana. Kikut krwawił, wystawała z niego biała kość golenia. Opamiętałem się, nie czas był na rozpaczanie – należało walczyć o jej życie. Położyłem ją na piasku i założyłem opaskę uciskową powyżej kolana. Potem wziąłem ją na ręce i pobiegłem do stratoplanu. Kołysanie ją otrzeźwiło, bo gdy dobiegłem do maszyny, uśmiechnęła się słabo i szepnęła:

– Jednak żyję!

– Nic nie mów, napij się wina, to cię wzmocni! Położę cię w stratoplanie i lecimy!

Owinałem jej nogę prześcieradłem, nie znalazłem nic lepszego pod ręką. Na szczęście nie byliśmy zbyt daleko od Atlantu – godzina lotu.

Gdy byłem już w powietrzu, nawiązałem łączność.

– Centrala!

– Słucham! – zgłosił się Atlant.

– Mówi Nommo. Gaaja miała wypadek. Potrzebna natychmiastowa pomoc chirurgiczna! Czekać na lotnisku! Ląduję za godzinę!

Była nieprzytomna, gdy kładłem ją na noszach. Hiddo zrobił jej zastrzyk wzmacniający. Wskoczyłem za nią do szpitalnego wozu. Po kilku minutach byliśmy w szpitalu. Od razu wzięli ją na salę operacyjną.

Czekałem w pokoju lekarzy, a kiedy otworzyły się drzwi, omal nie przewróciłem wchodzącego Hidda naskakując na niego i pytając:

– Mów! Co z nią? Jak się czuje?

– Uspokój się, proszę! – krzyknął Hiddo. – Nie żyjemy w średniowieczu! Za dwa miesiące będzie zdrowa i cała.

– Przeprowadzisz transformację osobowości?

– Nie! Nowy nośnik byłby dopiero za dwa lata, przez ten czas byłaby kaleką. Wykonamy regenerację kończyny.

No tak. Wiedziałem, że można przecież regenerować. Widocznie zupełnie tracę głowę. Porozmawiam z Ayoobem, on opracował tę metodę.

– Jak ona się czuje?

– Straciła dużo krwi, zrobiłem transfuzję, teraz śpi. Możesz tam zajrzeć, ale zachowuj się cicho.

Bezszelestnie otworzyłem drzwi. Spała, była bardzo blada, pod oczyma miała głębokie sińce.

Biedna mała Gaaja. Gdybym był tam chwilę później... Teraz dopiero odczułem, jak ją kocham i czym była dla mnie przez te wszystkie lata. Dlaczego docenia się bliskich dopiero wtedy, gdy się ich traci? Na szczęście nie straciłem jej, wszystko jeszcze przed nami.

Następnego dnia wszedłem do jej pokoju z wielkim bukietem kwiatów. Powitała mnie promiennym uśmiechem. Leżała na specjalnym łóżku, w które była wmontowana specjalna aparatura regeneracyjna. Kaleką nogę miała zanurzoną w cieczy, w nodze tkwiło mnóstwo igieł połączonych przewodami z aparaturą. Proces regeneracji już się rozpoczął.

– Jak się czuje moja nieposłuszna dziewczyna? – spytałem, siadając przy jej łóżku. – Czy bardzo cię boli?

– Teraz już nie boli – odpowiedziała, biorąc mnie za rękę – a czuję się prawie dobrze. Jestem tylko trochę słaba i senna.

– Nie mogę sobie darować, że cię puściłem samą. Gdybyśmy byli razem, na pewno by do tego nie doszło...

– To moja wina. Byłam nieostrożna i za daleko wypłynęłam. Kiedy ją zobaczyłam, było już za późno. Nie zaatakowała mnie od razu, najpierw krążyła i dopiero rzuciła się na mnie i obgryzła mi nogę.

– To znaczy, że płynęłaś do mnie już bez nogi?!

– Tak! Wiedziałam, że mnie uratujesz i wiedziałam, że ona ponowi atak. Gdy poczułam ją tuż za sobą, wtedy strzeliłeś. Co było dalej, nie pamiętam, straciłam przytomność, ale wiedziałam, że jestem uratowana. Dziękuję ci, Nommo, za życie!

– Gaaju ty moja! Nie pleć głupstw, nie dziękuj!

Przytuliłem dzielną główkę do piersi. Jaki ona ma hart ducha, jak silną wolę ma ta dziewczyna.

– Lekkomysłność musi być jednak ukarana – orzekłem surowo. – Za karę poleżysz przez dwa miesiące w łóżku.

– Trudno, zasłużyłam – odparła z uśmiechem. – Wolę leżeć w łóżku niż w żołądku ryby!

Ayoob czekał na mnie na korytarzu. Weszliśmy do pokoju lekarzy.

– Jakie są rokowania? – spytałem.

– Bardzo pomyślne. Sądzę, że za półtora miesiąca wróci do ciebie. Jest młoda. W jej wieku regeneracja następuje bardzo szybko, ale nie mów jej o tym, niech się przygotuje lepiej na całe dwa miesiące.

– Czy zostaną jakieś zniekształcenia?

– Absolutnie żadne. W tej metodzie regeneracji sterujemy odradzaniem się komórek wypełniających, które powstają w zranionym miejscu. Chodzi o to, aby tworzyły się różnorodne komórki odrębnych tkanek, czyli „renowacja” zniszczonych chrząstek kości, mięśni i nerwów, tego wszystkiego, z czego jest zbudowana noga. Nie martw się, wszystko się dobrze skończy. Lepiej pomyśl o uczcie, którą powinieneś wydać z okazji jej ocalenia!

– Masz rację, należy to uczcić, bo był to cud! – poparłem jego pomysł.

Był wczesny poranek. Stałem na tarasie przyległym do mojej sypialni i patrzyłem na panoramę miasta.

Miasto Złotych wrót miało już sześćset lat. Zburzono wiele domów, na ich miejscu wybudowano inne, większe i piękniejsze. Miasto rosło. Już nie obejmowałem go wzrokiem, jego krańce we mgle poranka zlewały się z horyzontem. Przed wejściem do portu czekało kilka statków, przyływały i odpływały w ciągłych rejsach do prowincji imperium. Trzecia Cywilizacja kwitła na Ziemi. Każdego roku rozszerzała swe granice. Dzieło mojego życia było spełnione.

Życia? Którego życia? Przeżyłem już dziesięć przeciętnych ludzkich żywotów i odczuwałem zmęczenie. Może wyczerpała się pojemność mojego mózgu i brak w nim miejsca na rejestrację napływających informacji. Może po prostu zmęczyłem się życiem, bo czas jest ponad wszystkim...

Nieśmiertelność jest w końcu aktem przeciw naturze. Wielu już z niej zrezygnowało. Prawo do „Nieśmiertelności” obejmowało tych, którzy przybyli z Dogonu i ich dzieci zrodzone przed pierwszą transformacją. Były też wyjątki obejmujące osoby niezbędne i szczególnie zasłużone dla imperium, ale było ich niewiele. Pozostali mieli do dyspozycji sto do stu dwudziestu lat życia.

Kilka dni wcześniej obchodziliśmy sześćsetlecie Atlantu. Była okazja do spotkania i wspomnień o dawnych, przeżytych razem czasach. Grupa dogończyków bardzo się przerzedziła. Większość z nich miała zmęczone twarze i smutne oczy. Pewnie odczuwają to samo co i ja, zmęczenie istnieniem... Dlatego wielu zaprasza przyjaciół na pożegnalną ucztę. Wino, muzyka, kwiaty, lekarz robi łagodnie usypiający zastrzyk. Nikt nie płacze, nikt nie rozpacza. Człowiek ma prawo decydować o końcu swojego życia.

Może już czas zaprosić przyjaciół na ucztę? Gaaja twierdzi, że jeszcze nie. Przekonuje mnie, że jest zbyt dużo do zrobienia.

Mój syn, Prommet zmienił już sześć razy nośnik. Rada uznała go za osobę niezbędną dla państwa i obdarzyła „Nieśmiertelnością”. Czego się nie robi dla kobiety... Tak się złożyło, że Gaaja jest w tej chwili w średnim wieku, nasz syn jest starcem, tuż przed transformacją, a ja dwudziestoparoletnim młodzieńcem. Za miesiąc Prommet znowu będzie dwudziestolatkiem, będziemy prawie rówieśnikami. Zabiorę go na inspekcję prowincji imperium. Pojedzie też z nami Oggo, w tej chwili trzydziestoletni podrywacz. Po powrocie z inspekcji muszę przekonać Radę, aby ze względu na dobro państwa zezwoliła na wcześniejszą transformację Gaaji. Duża różnica wieku pomiędzy głową państwa a jego zastępcą i małżonką źle wpływa na samopoczucie obojga władców, co z kolei odbija się na interesach państwa. Sądzę, że jest to usprawiedliwienie dostatecznie motywujące odstępstwo od zasady.

* * *

Szum silnika działał usypiająco. Kabina była wypełniona ludźmi. Siedziałem za fotelami pilotów, za mną Prommet i Oggo. Dalej dwóch sekretarzy i ośmiu ludzi ochrony. Poprzez ogólny gwar głosów przebijał się głos Ogga dyskutującego z Prommetem. Nie zwróciłem uwagi na początek tej dyskusji, ale teraz słuchałem udając, że drzemię.

– Uważam, że nikt nie urodził się po to, aby wprawiać władcę w dobry humor, zwłaszcza że władca rzadko bywa w dobrym humorze, a gdy już bywa, to właśnie wtedy, gdy naród jest w złym – dowodził Prommet.

– Jest to normalne zjawisko – odparł Oggo. – Niedobrze jest wtedy, gdy władca i poddani są

jednocześnie w dobrym humorze, bo wtedy ktoś jest głupi.

– Sądysz, że wtedy, gdy są zadowoleni z siebie, władca i poddani dopuszczają się największych głupstw? – zapytał Prommet.

– Sądzę, że wszystko, co zrobiono mądrego, zawdzięczamy ludziom niezadowolonym – odparł wymijająco Oggo.

– Być może. Ja jednak uważam, że zgodność między władcą a poddanymi winna panować w obopólnym niezadowoleniu z siebie samych, a nie z siebie nawzajem. Jest to bardziej logiczne! – oponował Prommet.

– Operujesz frazesami. Logika – Oggo pogardliwie zaakcentował to słowo – w twoim wydaniu, przy ciągłej gadaninie i fałszywej interpretacji okoliczności, staje się mistyką.

– Potępiasz tych, którzy mają odwagę mówić prawdę, rozumiesz wyłącznie w kategoriach imperium. Nie dociera do ciebie, że istnieje naturalne prawo przyływu i odpływu jako prawo równowagi.

– Ten rodzaj odwagi jest reklamową wywieszką dla tchórzów usiłujących zrobić karierę w czasach, w których można o odwadze do woli mówić, ale nie można jej sprawdzić – odciął się Oggo.

– Jak widzę, jesteś przekonany, że to naturalny przebieg spraw w naszych czasach, że taka jest atomowa i galaktyczna struktura wszechrzeczy. Nie obchodzi cię, że nie ma już narodów, wolności, szczerości. Dla ciebie tylko cel jest ważny – to, że istnieje tylko jeden holistyczny system systemów, oddziałujący wzajemnie na siebie, wielowarstwowe, wieloplemienne imperium.

– Nie powołuj się na wolność i szczerość! – zachnął się Oggo. – Wolność łatwo zmienić w niewolnictwo, szczerość w hipokryzję. I wyjdzie z tego taka gmatwanina, że zmarnowane zostanie wszystko. Zmarnowane na długo i tak dokładnie, że ciężko się będzie z tego podnieść. Bo nikt jeszcze nie wynalazł liczników, którymi można zmierzyć potencjał głupoty, megalomanii i zawiści. Wiem z doświadczenia, że takie demagogiczne idee służą wyłącznie do tumanienia, indywidualnego i zbiorowego.

– Przesadzasz! – orzekł Prommet. – Wpadasz w skrajności! Nie można uogólniać. Nie zgodzę się z twierdzeniem, że wszystkie nowe idee są tumanieniem!

To już musiało Ogga zirytować, bo przerwał mu podnosząc ton głosu:

– Przedstawiam ci prawdy, których doświadczyłem w życiu, a ty mi odpowiadasz frazesami. Zbyt młody jesteś, abym mógł z tobą dyskutować.

Prommet wzruszył ramionami. Dyskusja się urwała.

Uśmiechnąłem się do siebie. Prommet miał ponad trzysta lat. Jakie teraz obowiązują kryteria wieku? Wyjrzałem przez okno. Pod nami był już kontynent najbliższy Atlantu, nazwany Europą. Wkrótce dolecimy do kraju Tartessos, którym włada były pilot fotonowca Oszuun z żoną Obbą. Nazwa kontynentu powstała z połączenia imion ich córek. Eur – w starodogońskim znaczyło ciemna, a Opa – znaczyło rzeka. Mamy zatrzymać się w stolicy prowincji, którą również nazwano Tartessos. Gdy stratoplan zataczał nad miastem koło, zobaczyłem w dole gmachy, pałace, świątynie i rozległy port.

Wylądowaliśmy. Stojący w szeregu oddział gwardii prezentował broń. Oszuun z Obbą podeszli do stratoplanu niosąc powitalne wieńce. Za nimi szły ich córki.

Stałem przed stratoplanem, mając za plecami resztę świty.

– Witaj, ragonie, w Tartessos! – zwrócił się do mnie Oszuun.

– Witaj, Oszuunie, i ty, Obbo! Witajcie, dziewczęta – zwróciłem się do schylonych w ukłonie bliźniaczek, Eur i Opy. – Mam nadzieję, że nie sprawię ci kłopotu, jeśli się tu przez kilka dni

zatrzymam?

– Nie żartuj z nas! – odpowiedział Oszuun. – Twoje odwiedziny są dla mnie zaszczytem. – Zbliżył się i założył mi na szyję powitalny wieniec. – Pozwól, że przedstawię ci moje bliźniaczki! – Skinął na nie, a gdy się zbliżyły, zażartował: – Ta to prawdopodobnie Opa, a druga Eur. Nie jestem pewien, bo są identyczne. Mam wprawdzie sposób, aby je odróżnić, ale w tej chwili nie mogę z niego skorzystać. Opa ma na pupie znamię, a Eur nie. Sposób nieco kłopotliwy, ale jedyny.

– Ojczy, jak możesz! – krzyknęły zgodnie splonione bliźniaczki.

– Cieszę się, że was poznałem. W jakim jesteście wieku? – spytałem z okolicznościowym uśmiechem.

– Mamy po osiemnaście lat biologicznych! – odpowiedziały znowu chórem.

Ubawiła mnie ta ich bliźniacza nierozłączność. Sympatyczne i ładne dziewczęta – pomyślałem.

Oszuun ofiarował mi na rezydencję część swego pałacu. Po kąpieli i krótkim odpoczynku zaproszono mnie na ucztę. Miałem wtedy poznać miejscowych urzędników, kupców i notabli. Gospodarze robili, co mogli, ale ucztą była nudna i ceremonialna. Zbyt wielki dystans dzielił ragona imperium od tych pocziwych prowincjuszy, aby dobrze się czuli w jego towarzystwie. W końcu byłem bogiem bogów, a kto się dobrze czuje w towarzystwie bóstwa? Nastrój poprawił się nieco w czasie występu baletu. Kil kanaście półnagich, śniadych dziewcząt tańczyło z werwą w rytmie skocznych melodii. Ich młode ciała prężyły się i wirowały połączone niewidzialną więzią z tonami muzyki.

Oggo, nieco oszołomiony dobrym miejscowym winem, bił gorące brawa i patrzył na tancerki głodnymi oczami. Spojrzałem na siedzącego w pobliżu Prommeta i przeszedł mnie dreszcz. Twarz mojego syna była wykrzywiona w grymasie pogardy. Wydęte dumnie i lekceważąco usta, z przylepionym uśmiechem ironii. Oczy pogardliwie patrzące na tancerki. Zaniepokoiłem się. Kim właściwie jest mój syn? Co o nim wiem? Dlaczego pogardza tancerkami? Czyżby Oggo miał rację twierdząc, że Prommet mówi frazesami? Może i myśli frazesami? A ma przecież być moim następcą...

Uczta skończyła się dość późno, byłem już zmęczony. W sypialni pomału rozbierałem się myśląc o minionym dniu. Nagle w przeciwnym kącie komnaty usłyszałem szelest. Odwróciłem się błyskawicznie i zamarłem z wrażenia.

Oparta o ścianę, naga, stała jedna z córek Oszuuna. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie nic nie mówiąc. Ona pierwsza przerwała milczenie.

– Czy przypadkiem nie przeszkadzam? – spytała bezczelnie.

– Co ty tu robisz? Kto cię wpuścił? Po cóż przyszedłaś w tym stroju, a raczej bez stroju? – wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

– Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć? – zapytała, siadając na łóżku.

– Kolejno na wszystkie!

– Przyszłam do ciebie. Nikt mnie tu nie wpuszczał. Do tej komnaty jest tajne wejście. Przyszłam bez stroju, bo chcę wzbudzić twoje pożądanie.

– W jakim celu to wszystko robisz? – spytałem naiwnie.

– Chcę się z tobą przespać.

– Jesteś bardzo cyniczna.

– Uważam raczej, że jestem rzeczowa!

– Wiesz przecież, że mam żonę!

– Wiem, ale tu jej nie ma, a poza tym... – zawiesiła głos.

– Co poza tym?

- Ma czterdzieści kilka lat – dokończyła.
- Jesteś bezczelna! Zawołam straż, zaraz cię stąd zabiorą!
- Nie zrobisz tego, bo nie będziesz chciał ośmieszyć mojego ojca.
- Dość tego, wynoś się sama tym tajnym przejściem!

– Zupełnie zapomniałam, gdzie ono jest – odpowiedziała, śmiejąc się do mnie.

Wszystkie kobiety są takie same w swej głupocie, uporze i małostkowości – mruknąłem do siebie.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się uparłaś – pytałem dalej.

– Zaraz ci to wyjaśnię. Jesteś bogiem, legendą, bohaterem naszych czasów i czasów naszych rodziców. Nie ma na Ziemi atrakcyjniejszego mężczyzny. Pomyśl, gdybyś był dziewczyną, czy mógłbyś wybrać sobie kogoś godniejszego na pierwszego kochanka?

Co mogłem jej odpowiedzieć? Nie byłem dziewczyną, nie rozumowałem jej kategoriami. Miałem ją odtrącić, nie spełniając jej marzeń? W końcu władca jest sługą swych poddanych – przynajmniej w założeniach.

Wyciągnąłem do niej rękę. Z uśmiechem szczęścia padła bezsilnie w moje ramiona. Przez chwilę moja głowa spoczywała na jej piersi. A jakiś czas potem... z jej gardła wydobył się jęk spełnienia i głębokie westchnienie. Przez młode ciało przebiegł dreszcz rozkoszy. Oczy miała przymknięte, twarz wyrażała kocie zadowolenie. Nie żałowałem tej nieprzespanej nocy...

Gdy o świcie odchodziła, pocałowała mnie mocno w usta.

– Dziękuję! – powiedziała – byłeś wspaniały! Wieczorem, gdy powrócisz do tej komnaty, zastaniesz w niej identyczną dziewczynę, ale to nie będę ja. Patrz, tu jest znak rozpoznawczy. – Pokazała mi znamię na lewym pośladku. – Przepraszam cię za to, że jest nas dwie. Myślimy tak samo, kochamy tak samo i wyglądamy tak samo. Żegnaj!

Dzień był pracowity. Wizytowałem miasto, kopalnie, port, warsztaty. Wszędzie widziałem porządek i dobrą organizację. Oszuun był znakomitym gospodarzem. Prowincja kwitła. Po powrocie do pałacu poprosił o chwilę rozmowy.

– Mam pewien pomysł – zaczął z wahaniem. – Chodzi o przekopanie kanału łączącego ocean z Morzem Wewnętrznym. Z konieczności ograniczamy handel do krajów leżących w jego basenie. Kanał umożliwiłby wypłynięcie statków na szersze wody. Mielibyśmy bezpośredni dostęp do Atlantyku, krajów Hinndusz, Aamu, Puunt i innych.

Rozwinął trzymany dotąd w ręku rulon rysunków. Był to projekt kanału. Obejrzałem go z zainteresowaniem. Cztery śluzy spiętrzały wodę wyrównując różnicę poziomów oceanu i morza. W kanale przewidziano ruch jednokierunkowy, mogły nim przepływać największe statki. Pomysł jest dobry, przyznałem w myślach. Będziemy mieli połączenie morskie z krajami leżącymi w basenie Morza Wewnętrznego. Będzie to też punkt kontrolno-strategiczny.

– W czym tkwi trudność w jego budowie? – spytałem.

– Mamy zbyt skromne fundusze. Proszę cię o pomoc.

Udałem głęboki namysł. Oszuun patrzył na mnie w skupieniu, niepewny odpowiedzi.

– Mogę wam pomóc – odezwałem się po chwili – ale pod jednym warunkiem. Po wybudowaniu kanału będzie kontrolowany, u jego obu końców zbudujemy fortece.

– Dziękuję! Wprawdzie budowa fortec podniesie ogólny koszt budowy, ale jeśli taki jest twój warunek, musimy go przyjąć – zgodził się z nutką zawodu w głosie.

– Źle mnie zrozumiałeś. Warunek dotyczy budowy fortec, a nie ich finansowania. Kosztami obciążę państwo.

– Przepraszam i dziękuję! Rzeczywiście nie zrozumiałem – przyznał.

– Kiedy chcecie rozpocząć budowę kanału?

– W przyszłym roku. Sądzę, że za dwa lata będziemy mogli zaprosić cię na otwarcie.

* * *

Kolejnego dnia to Oggo podrzucił pomysł.

– Poprzestaniesz na oficjalnej inspekcji? – spytał przy śniadaniu zniżając głos.

– Masz jakąś propozycję? – spytałem.

– Przebrani możemy wieczorem wyjść „prywatnie”. Posłuchamy, co mówią za naszymi plecami.

Zajmę się organizacją – obiecał.

– To może być ciekawe – przyznałem – ale jak wyjdziemy niezauważeni?

– Już tak się ucharakteryzujemy, że nas nie poznają!

Późnym wieczorem przechodziliśmy więc od winiarni do winiarni, ale nic, co mogłoby nas interesować, nie usłyszeliśmy.

W jednej ktoś o wybujałej fantazji opowiadał akurat o swojej podróży do Atlantu: – ...Atlant jest siedzibą bogów, stoją tam niezliczone miasta ze złota. W jego lasach rosną aloesy i sandałowe drzewa. Na słonecznych zboczach gór stoją pałace i świątynie z różowego marmuru o złotych dachach...

Nie było sensu słuchać tego „złotego” gładzenia. W następnej winiarni trafiliśmy za to na ożywioną dyskusję:

– W imperium człowiek jest niewolnikiem! – wywodził jakiś mężczyzna z długą czarną brodą – jest częścią jego organizmu, kółeczkiem w ogromnej maszynie! Poza funkcją w imperium człowiek jest niczym!

– Chcesz powiedzieć, że imperium jest tworem przypadkowym! – dołączył do dyskusji łysy z haczykowatym nosem. – Twierdzisz, że imperium stosując przymus, skupia ludzi obcych sobie duchem i aspiracjami?

– Tak! To właśnie twierdzą! – przytaknął brodaczu. – Ludzie zamieszkujący dany kraj tworzą naród, a naród łączy ludzi na zasadzie powinowactwa, wspólnych interesów i bodaj instynktownej miłości.

– Nie przesadzaj z tą miłością, chyba że myślisz o kobietach! – padła riposta z sali.

– Nie przesadzam, to wy myślicie tylko o babach – odgryzł się brodaczu. – Imperium nie wymaga miłości, tylko podporządkowania się i dyscypliny. Nasze dążenia, interesy, nasze życie, są dla niego obojętne. Nie są obojętne tylko podatki. Natomiast wspólnota narodowa zakłada braterstwo, poszanowanie wspólnych interesów i realizację wspólnych celów. W łonie narodu jednostka odnajdzie swoje ja i wyzwoli swą twórczą energię.

– O co ci konkretnie chodzi? – niecierpliwiał się łysy.

– O wyzwolenie spod jarzma Atlantu! – odparł twardo brodaczu.

– Bzdury! – krzyknął łysy. – Zapomniałeś, że Atlant jest siłą nie do pokonania, że jego władcą jest nieśmiertelny Nommo, zdecydowany na wszystko.

– Bajki i legendy! – przerwał mu brodaczu. – Tak było kiedyś. Wiesz, jaki jest Nommo dzisiaj?

– No, powiedz.

– Zdecydowany tylko w niezdecydowaniu, stanowczy tylko w chwiejności i wszechmocny tylko w impotencji. Przecież on ma już sześćset lat.

Wtedy Oggo już niemal zapalił się do brodacza, już miał go trzepnąć pięścią, ale zatrzymał go mój rozkaz: – Oggo! Nie pozwalam!

Pospiesznie wyszliśmy z winiarni.

– Jeden wariat o niczym nie świadczy! – skwitowałem incydent.

Bez przeszkód wróciliśmy do pałacu Oszuuna.

Otwierałem drzwi sypialni, czując wewnętrzne napięcie. Przygoda zaczęła mnie wciągać. Sądziłem, że nie stać mnie już na młodzieńcze kołatanie serca. A jednak...

Stała w tym samym miejscu i w takiej samej pozie. Smukła, naga, opalona. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, ona pierwsza przerwała milczenie.

– Czy nie przeszkadzam? – spytała.

Aby podtrzymać iluzję powielenia czasu, powinienem zapytać: „Co tu robisz? Kto cię wpuścił? Po co przyszedłaś?”

Nie miało to już sensu. Podeszedłem i pocałowałem dziewczynę. Pociągnąłem ją w kierunku łóżka, tak manewrując, abym mógł zobaczyć lewy pośladek.

Nic na nim nie było, to była Eur.

Reszta... była kopią minionej nocy. Te same gesty, mimika i temperament.

A następnego dnia pożegnałem Oszuuna i Tartessos.

* * *

Przelecieliśmy nad północną częścią kontynentu Affri. Pod nami zieleniły się palmowe gaje i bujne lasy. Nad brzegami rzek stało wiele zabudowań. Widać było stada dorodnego bydła, kołowroty nawadniające pola i kobiety dźwigające dzbany z wodą. Kraj pocięty sztucznymi kanałami nawadniającymi, z plantacjami, gajami cytrusowymi i sadami daktylowymi. Bogaty i żyzny kraj. Stąd ruszyli osadnicy, aby osiedlić się w dolinie żyznej rzeki Jerro. Ktoś powiedział, że bogactwo kraju Kamtt to pszenica, muł rzeczny i pot jego rolników. Była to prawda. Urodzajna ziemia, ujęta w system irygacyjnych kanałów, dawała tak duże plony, że ich nadwyżki stały się fundamentem powszechnego dobrobytu.

Jeszcze przed wylądowaniem zaniepokoił mnie zebrany na lądowisku tłum. A gdy wysiadłem ze stratoplanu, zaczęła się autentyczna komedia. Huknęły wokół nas rakiety, sypiące na wszystkie strony kolorowymi iskrami. Zadudniły ukryte gdzieś w pobliżu potężne bębny. Zebrany lud padł na brzuchy. Zdezorientowana ochrona wyciągnęła miotacze nie pojmując, co się wokół dzieje. Nad lądowiskiem zahuczał wzmocniony megafonami potężny głos:

– Jestem bóg Re, władca świata!

– Jestem jasność i życie!

– Przybywam do ciebie, ludu Kamtt, abyś się przede mną ukorzył i oddał mi cześć. Bo oto nadszedł dzień sądu!

Znowu huknęły rakiety sypiąc iskrami i załomotały bębny.

Lud ze strachu zafalował zadami i przebiegło przez niego jedno wielkie westchnienie zgrozy: – Eppff!

Ogarnęła mnie wściekłość. No – pomyślałem, niech ja go dostanę, szczeniakowi nogi z kupra powyrywam!

Tu w Nechbet, stolicy Kamtt, miał czekać na nas Ozzyr, gon Kamttu. Nie byłem uprzedzony do młodych, mieli wiele energii i inicjatywy, ale ze starymi przyjaciółmi rozumieliśmy się lepiej. Byli mi bliżsi. Na wyobraźnię młodych działała moja boska nieśmiertelna osoba, stwarzając dystans nie do pokonania. To powitanie, jakie przygotował nam Ozzyr, było po prostu niesmaczne.

Nie był to jeszcze koniec ceremonii, bo nagle z megafonów popłynął sławiący Słońce hymn, a do stratoplanu zbliżała się procesja roślących kapłanów ubranych w białe szaty.

Czterech z nich postawiło przede mną lektykę. Opierałem się nieco, nie chcąc w niej usiąść, ale

posadzili mnie prawie siłą i podnieśli do góry. Kątem oka zobaczyłem, jak Oggo z radości gryzie własną chusteczkę, a Prommet niemal płacze, trzymając się za brzuch, wstrząsany dziwnymi drgawkami.

Z wami też się policzę – obiecałem im w duchu zemstę godną bogów. Kapłani osłonili lektykę firaną. Uformowała się procesja, moja ochrona otoczyła lektykę i wśród ryku megafonów, bicia w bębny, pobożnych śpiewów, wszyscy ruszyli powolnym uroczystym krokiem. Lud leżał na brzuchach i tłuki w trwodze głową o ziemię, bo nadszedł dzień sądu i kary. A któż jest bez grzechu?

Zbliżyliśmy się do wrót wielkiej świątyni, na jej progu stał arcykapłan otoczony grupą kapłanów, którzy natychmiast padli na twarze przed lektyką. W niej zamierzano wnieść mnie do świątyni. Wtedy nastąpiło starcie. Kapłani nie chcieli wpuścić do świątyni ochrony, która w żadnym wypadku nie mogła pozostawić ragona samego – chyba że na jego własny rozkaz. Oggo uchylił więc firankę i spytał: – Co mam zrobić?

Nie doczekał się odpowiedzi. Udałem, że go nie słyszę.

Sytuacja stała się paradoksalna. Kapłani ciągnęli lektykę w głąb świątyni, a Oggo i ochrona, wspomagani przez Prommeta i sekretarzy, ciągnęli ją w przeciwnym kierunku.

Teraz ja się śmiałem, ale niedługo.

Jeden z kapłanów – potężne chłopisko – pchnął Ogga, aż ten zatoczył się i uderzył o kolumnę. Oggo, gdy odzyskał równowagę, z miejsca trafił go pięścią w szczękę. Kapłan, jak ścięty, padł na posadzkę świątyni. Wywiązała się ogólna bijatyka. Zewsząd nadbiegali kapłani włączając się do walki. Niektórzy byli uzbrojeni w drągi, a nawet miecze i oszczepy. Sytuacja stała się poważna. Wskoczyłem z otoczonej przez ochronę lektyki. Z każdej strony napierali na nas kapłani. To nie było już zabawne, to był zamach na ragona. Zamach na mnie!

Zaledwie to sobie uświadomiłem, gdy celnie rzucony oszczep utkwiał mi w lewym barku. Krew z przeciętej tętnicy trysnęła na Ogga. Zatoczyłem się i upadłem, ale nie straciłem przytomności. Poprzez krzyki atakujących kapłanów usłyszałem, jak Oggo wydał komendę: – Salwą z miotaczy, pal!

Błysnęło, poczułem swąd palonego mięsa. Z odrętwienia wyrwał mnie pstry ból w barku. Oggo wyciągnął oszczep z rany i zakładał opatrunek. Coś mówił, ale dopiero po chwili go zrozumiałem.

– Nadałem sygnał alarmu. Oddział specjalny będzie tu za kilkanaście minut. Musimy się gdzieś ukryć, tutaj nas wykończą!

Przy bramie świątyni stały dwa potężne pylony, ich mury stanowiły dobrą osłonę. Wejście zabarykadowali sprzętami. Przy wąskich okiennych szczelinach zajęli stanowiska obrony.

– Zastawili na nas idiotyczną pułapkę – ciągnął Oggo. – Chodziło im o ciebie, chcieli cię wziąć żywego. Dwóch naszych nie żyje. Ktoś strzelał z miotacza. Specjalni powinni zaraz lądować, na niemiarkę. Trzymaj się! Jeszcze parę minut i wezmą się za ciebie lekarze!

Krew przeciekała przez mój opatrunek. Poczułem, że słabnę. Widziałem zatroskane oczy Ogga. W ostatnim błysku świadomości usłyszałem ryk lądujących rakiet. Potem ogarnęła mnie noc.

* * *

W komnacie panował półmrok, musiał być już wieczór. Wracałem jakby z dalekiej podróży. Od okna dobiegł mnie cichy szept rozmowy. Gdy poruszyłem się, poczułem ostry ból w barku – jęknąłem.

Dwie postacie szybko podeszły do mojego łóżka. Rozbłysło światło lampy. Pochylona stała nade mną Gaaja, a obok niej Oggo.

– Jak się czujesz? – spytała patrząc na mnie zaczerwienionymi oczami.

– Chyba dobrze, ale jestem bardzo słaby – odparłem.

– Nie wolno ci się poruszać – zaznaczył Oggo.

– Opowiedzcie, jak to się skończyło – poprosiłem.

– Ogólnie rzecz biorąc paskudnie. Najważniejsze, że żyjesz, a było już z tobą krucho. Ostrze oszczepu przecięło ci tętnicę. Gdyby przylecieli kilka minut później... Właśnie gdy straciłeś przytomność, wylądowali. Szczęście cię nie opuszczało, bo okazało się, że mamy tę samą grupę krwi. Kiedy oddział atakował świątynię, lekarze robili transfuzję. Resztę krwi dała ci Gaaja, ona też ma taką grupę.

– Co zrobiliście z Ozzyrem?

– Bronił się do końca z garstką spiskowców. Zabarykadowali się w jego pałacu. Żaden nie wyszedł stamtąd żywy... Pół godziny po sygnale alarmu przyleciała Gaaja z posiłkami i objęła dowództwo jako er-ragon. Przeprowadziliśmy śledztwo i czystkę. Żaden z nich nie ocalał.

– Pierwszy zamach od czasu naszego lądowania na Ziemi – zauważyłem. – Co oni chcieli osiągnąć?

– Chcieli cię odłączyć od ochrony i wziąć żywego. Kapłani nie byli kapłanami, to byli przebrani spiskowcy. Liczyli na twój snobizm, nie brali pod uwagę zbrojnego starcia, nie byli na to przygotowani. Z ich strony była to improwizacja i błąd. Dlatego przeżyliśmy.

– Nie wszyscy! Jakie są straty?

– Osiemnastu zabitych, siedmiu rannych i ty.

– A po ich stronie?

– Lepiej nie mówić... Jatka!

– Ilu było spiskowców?

– Około czterystu, cała organizacja. Wszyscy z młodego pokolenia.

– O co im chodziło, jaki mieli program?

– Chcieli na tobie wymóc, aby Kamtt był niezależnym państwem, z Ozzyrem na tronie.

– Naiwni! Namieszał im w głowach, bo sam był żądny władzy.

– W kamieniołomach będą mieli mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć.

– A kto teraz zarządza Kamttem?

– Gaaja pozostawiła tam Prommeta.

– Musimy rozbudować sieć wywiadu, powinniśmy pierwsi wiedzieć o wszelkich spiskach. Na pewnym etapie rozwoju zamachy i walka o władzę są prawem.

– Masz rację, nieco te sprawy zaspaliśmy, ale jak zawsze mamy szczęście – roześmiał się zdrowym, beztroskim śmiechem.

Tak, pomyślałem, znowu udało się nam przeżyć. Aby żyć, trzeba mieć trochę szczęścia. Ilu znanych mi ludzi już odeszło...

Niezastąpiony, stary Oggo, zawsze ten sam, wierny i nieustraszony przyjaciel. Przez całe życie miałem tylko dwoje przyjaciół, czy też aż dwoje przyjaciół. Stali teraz przy moim łóżku, ich krew płynęła w moich żyłach, a oni z troską patrzyli na mnie.

– Nie martwcie się – powiedziałem. – Nie opuszczę was, czuję przyływ sił, wkrótce będę zdrowy. Jeszcze razem pożyjemy.

Roześmieli się. Byłem im potrzebny, bardzo potrzebny.

Poprosiłem o zgaszenie światła. Rozmowa zmęczyła mnie, teraz chciałem się przespać.

Nie zasnąłem jednak. W myślach widziałem Ziemię i wyznaczone na niej granice prowincji imperium Atlantu. Było ich już dużo.

Na południowym zachodzie, za oceanem, leży kraj Aamu, a na zachodzie kraj Puunt. Na wschód od

Atlantu leżą: Tartessos, Affri, Kamtt, Kuusz. Dalej na wschód wielki kraj Urru z miastami Ur, Eridu i Lagasz, w dolinach rzek Indiglad i Buranuu. Czterysta lat temu skolonizowali ten kraj Drawidzi z kraju Hinndusz – ich gon, Eaa, włada nim po dzień dzisiejszy. Z Urru sąsiadują: Szubar i Hammazi, są to jeszcze młode prowincje. Na Morzu Wewnętrznym leży wyspa Kefftiu, to potęga morska, ale wdziera się już na ląd Europy. Na półwyspie Hellen założyła kolonie z miastami: Myken, Argos, Tiryns i Pylos.

Na dalekim wschodzie leży wielki kraj Hinndusz, przez który płynie rzeka Gannga. Słynne są jego miasta zbudowane z cegły: Mohhedzo, Ummri, Harappa, Czennhu – to bogate miasta i bogaty kraj. Jeszcze dalej na wschodzie, tam gdzie wstaje słońce, leży kraj Cziin, ze stolicą Hattaj, a jeszcze dalej Dziipen, w którym żyją Ajnowie.

Wielkie jest imperium Atlantu – tak wielkie, że nie zachodzi w nim słońce. Ja jestem jego twórcą i władcą. Choć nasuwa się pytanie: czy jeszcze nim jestem? Coś wymknęło mi się z rąk, czegoś nie zauważyłem, nie przewidziałem? Dlaczego Ozzyr chciał się usamodzielnic? Co mu to dawało? Czy inni gonowie nie czują się w swoich prowincjach udziałowymi władcami? Pewnie już przywykli, wrosli w swoje urzędy, pałace, świątynie. Muszę to zmienić! Moją ideą jest jedno państwo, jeden język i wspólna cywilizacja, a nie szereg państewek, różny poziom cywilizacji i wiele języków. Wiem, co wynika z nacjonalizmu: wojny, rzezie i pożogi. Nie dopuszczę do rozszarpania imperium, póki żyję nie odstąpię od swej idei.

* * *

Wracałem do zdrowia, rana goiła się bez komplikacji. Czułem się znowu silny. Nadszedł czas działania.

– To się nie może powtórzyć – zwróciłem się do Ogga. – Rozbuduj sieć wywiadu. Załóż specjalną kartotekę, będziesz do niej zbierał wszelkie dane o każdym człowieku zajmującym jakikolwiek urząd. Państwo powinno śledzić każdego urzędnika. W tym celu specjalne komórki mają okresowo sporządzać sprawozdania zawierające szczegóły nawet z życia osobistego. Te szczegóły należy zbierać i na bieżąco uzupełniać. Informacje trzeba zdobywać wszelkimi sposobami, nawet zabronionymi przez prawo. Interesuje nas wszystko – życie małżeńskie i pozamałżeńskie także. Zastosuj podsłuch i nie zapomnij o obsadzeniu zaufanymi ludźmi stacji łączności radiowej!

– Wszystko zrozumiałem – potwierdził. – Mogę się pochwalić, że przewidziałem twoje decyzje, nie marnowałem czasu. Wywiad jest już w trakcie organizacji. Mam też przeszkoloną kadrę. Resztę w najbliższym czasie uzupełnię. Już nas nie zaskoczą!

– Cieszę się, że jesteś przewidujący. Człowiek inteligentny daje się nabrać najwyżej raz! Drugi raz to już głupota! Rób swoje, a ja zajmę się reorganizacją na szczeblu gonów.

– Wsadzasz kij w mrowisko!

– Nie boję się mrówek, gdy mam kij w ręku! – odparłem.

* * *

Zwołałem posiedzenie Rady.

Chciałem zachować pozory prawnej legalności działania. W zasadzie byłem ragonem, władcą absolutnym, moje decyzje były ostateczne i nieodwołalne. Ale ustanowiłem prawa, które obowiązywały wszystkich, i nie wypadało samemu ich łamać.

Pierwszym wnioskiem, jaki postawiłem przed radą, była przedterminowa wymiana „nośnika

osobowości” Gaaji. Wniosek przeszedł bez zastrzeżeń.

Drugi dotyczył reorganizacji na szczeblu gonów-gubernatorów. Przewidywał: Ograniczenie czasu pełnienia urzędu do lat pięciu. Roczne rozliczenia finansowe podległej prowincji. Egzamin na stanowisko gubernatora. Dotychczasowi gubernatorzy prowincji także mają zostać poddani egzaminowi, a jeśli nie złożą go z wynikiem pozytywnym, zostaną odwołani z urzędu. Ragon może, jeśli uzna to za korzystne dla interesów państwa – przedłużyć kadencję gubernatora lub odwołać go z urzędu przed terminem.

Gdy sekretarz rady odczytał wniosek, na sali zapadła cisza. Spojrzałem na Ogga. Uśmiechał się. Przewidzieliśmy wszystkie możliwe reakcje. Oddziały specjalne stały w pogotowiu, czekając na rozkaz. W ciągu godziny mogły osiągnąć najdalszy punkt na Ziemi. Sala była otoczona ludźmi z ochrony, a Oggo trzymał w ręku włączony fonon. Wystarczyło rzucić do niego słowa rozkazu.

– Proszę o ustosunkowanie się do wniosku! – przypomniał zebrany sekretarz rady. – Proszę o wypowiedzi...

Zgłosiło się dwóch mówców. Moone, minister oświaty, i Boaa, najwyższy sędzia. Pierwszy przemówił Boaa:

– Nie należę do najstarszego pokolenia. Dlatego nie korzystam z przywileju „Nieśmiertelności”. Ale wiem z historii, że większość aktualnie urzędujących gubernatorów należy do „Nieśmiertelnych”. Znaczący to, że byli twórcami prowincji, którymi dzisiaj zarządzają. Jeśli wywiązywali się wzorowo ze swych obowiązków przez kilka wieków, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałym, dlaczego teraz mają być usunięci ze stanowisk?

Moone ujął sprawę inaczej:

– Sądzę, że okres ograniczający urzędowanie gubernatora do pięciu lat jest zbyt krótki. Gubernator, zanim zapozna się z prowincją, zanim wdroży się w jej życie i specyfikę, straci na to połowę okresu swej kadencji. Co może zdziałać przez pozostałe dwa lub trzy lata? Ponadto roczne rozliczenie finansowe będzie mu krępowało ręce i wszystkie inicjatywy. Powierzona mu prowincja nie będzie się rozwijać i wpadnie w stagnację. Wniosek przewiduje egzamin na stanowisko gubernatora. Jakież w tym przypadku mogą być kryteria oceny? Jaki egzamin? Uniwersalnym egzaminem jest praktyka i bezpośrednie działanie. Taki właśnie egzamin urzędujący gubernatorzy zdali. Zdali go już bardzo dawno, z wynikiem pozytywnym. Po co ich więc zmieniać?

Więcej chętnych do zabrania głosu nie było.

Teraz ja miałem odpowiedzieć na zarzuty.

– Członkowie Wielkiej Rady – zacząłem. – Dwóch z waszego grona zakwestionowało przed chwilą słusność i celowość wniosku, który Wysokiej Radzie miałem zaszczyt przedstawić. To, co mówili, jest prawdą. Prawdą jest, że większość gubernatorów była kierownikami placówek cywilizacyjnych, że organizowała prowincję, że zarządza nimi od kilku wieków, że zdała praktycznie egzamin, i tak dalej. Ale prawdą jest i to, że nie budowali tych prowincji sami, tylko z setkami tysięcy bezimiennych, zapomnianych już dzisiaj ludzi. Prawdą jest też, że gubernatorzy za swój trud i inicjatywę zostali nagrodzeni „Nieśmiertelnością” i maksymalnym zbytkiem, z którego korzystali przez wieki. Rachunek między nimi a imperium został wyrównany. Prowincje nie są własnością gubernatorów, należą do imperium. Chodzi właśnie o to, że niektórzy z nich czują się udziałowymi władcami podległych prowincji. Konkretnym dowodem są ostatnie wydarzenia w kraju Kamtt. To już nie przypuszczenia, to fakty. Mam dowody, że chętnych do usamodzielnienia się jest więcej. Wymiana gubernatorów jest w obecnym stanie rzeczy konieczna. Kto jest przeciw wojnie, pożodze i przelewowi krwi, będzie głosował za wnioskiem. Zarządzam jawne głosowanie!

Na dwustu czterdziestu głosujących stu pięćdziesięciu ośmiu było „za”, trzydziestu dwóch

„przeciw”, reszta wstrzymała się od głosu. Pochyliłem się do siedzącego obok Ogga i cicho rzuciłem: – Roztocz nadzór nad tymi, którzy się wstrzymali, i tymi, którzy byli przeciw wnioskowi!

– Rozkaz – odpowiedział krótko.

* * *

Czekaliśmy w pogotowiu na reakcję gubernatorów. Mijały dni, tygodnie, ale nic się nie działo. We wszystkich prowincjach panował całkowity spokój. Rozesłałem wezwania weryfikacyjne, wyznaczając półroczny termin weryfikacji. Chciałem ich zmusić do podjęcia działania, aby ułatwić pracę wywiadowi. Wysłałem też do prowincji komisje, które miały rozliczać gubernatorów z gospodarki finansami.

I tu strzał był celny. Gubernator prowincji Hinndusz, Keeb, nie wytrzymał presji. Uwięził komisję, podarł publicznie wezwanie weryfikacyjne i wypowiedział posłuszeństwo, ogłaszając się niezawisłym władcą. Walka trwała krótko. Kilka godzin. Buntownicy niewiele mieli nowoczesnej broni. Miecze i topory nie liczyły się w tym starciu. Keeb i ci z jego stronników, którzy przeżyli walkę, poszli do kamieniołomów.

Na pozostałych gubernatorów padł blady strach. Na razie – jak donosił wywiad – w prowincjach panował całkowity spokój. Inne wieści napływały od urzędujących komisji finansowych. W trzech prowincjach wykryto poważne nadużycia, tu miałem od razu rozwiązane ręce. Gubernatorzy prowincji: Kuusz, Puunt i Cziin poszli do kamieniołomów. Pięć z trzynastu prowincji nie miało już gubernatorów. Musiałem wybrać i obsadzić na tych stanowiskach nowych ludzi.

Wezwałem Gaaję i Ogga na naradę, niech też myślą. Są przecież moimi doradcami.

Oggo przyszedł pierwszy. Kazałem postawić przed nim dzban dobrego wina, aby nie narzekał na zasychanie w gardle. Czekaliśmy na Gaaję. Zmieniła się w ostatnich latach. Spoważniała, wyglądała na zmęczoną. Może to kwestia jej biologicznego wieku, a może zmęczenie istnieniem.

Gdy zjawiała się po paru minutach, zacząłem:

– Jak wiecie, mamy wakujące stanowiska gubernatorów w pięciu prowincjach: Hinndusz, Kamtt, Kuusz, Puunt, Cziin. Dwie pierwsze to poważne prowincje. Kogo proponujecie?

– Jak jest notowany Tooas? – spytała Gaaja, zwracając się do Ogga.

– Nic na niego nie mam. Nadużyć nie wykryto. Finanse prowincji Affri są w porządku. Spisku ani objawów nielojalności nie zaobserwowano. W oficjalnych wypowiedziach stara się podkreślić, że jest lojalny. A co myśli i jakie ma zamiary, tego nie wiem.

– Proponuję przesunąć go do Kamttu. Sama zajmę się prowincją Affri, a Prommeta można wysłać do Hinnduszu!

– Nie podoba mi się ta propozycja – przyznałem. – Już masz dużo pracy. Gdy weźmiesz jeszcze prowincję Affri, będę widywał żonę na portrecie! Nie pozwolę, byś się zamęczyła!

– Posłuchaj, obejmę te prowincję tylko na pewien czas. Jest to prowincja rolnicza, nieabsorbująca i jest blisko. Godzina lotu stratoplanem, nie będę tam mieszkać. W tej chwili brak ci odpowiednich ludzi na te stanowiska.

Przekonała mnie.

– Zgadzam się, ale tylko na pewien okres – zastrzegłem.

– Dziękuję! Sądzę, że do kandydatury Prommeta nie masz zastrzeżeń?

– Ja mam zastrzeżenie! – odezwał się Oggo. – Bardzo niezręcznie się czuję, ale moim obowiązkiem jest was uprzedzić!

– Co zarzucasz Prommetowi? – nastroszyła się Gaaja.

– Na razie kilka „miłych” cech charakteru: pogardę dla wszystkich i wszystkiego, chorobliwy przerost ambicji i nienasyconą żądzę władzy. Jest przebiegły, zawistny, egoistyczny i wierny tylko sobie. Przebiegłość nakazuje mu wykorzystywać naiwność innych. Zawiść – podporządkować ich sobie. Wierność sobie objawia się jako niewierność w stosunku do innych. Mógłbym dodać jeszcze parę szczegółów, ale sądzę, że tyle wystarczy...

– Nie wierzę w to wszystko! – krzyknąłem i ja dotknięty. – Pewnie się z nim pokłóciłeś!

Oggo zbladł. Ten ton mojego głosu go chyba uraził. W końcu, siłąc się na spokój, powiedział:

– Znasz mnie od dość dawna i sądzę, że nie zarzucisz mi oczerniania ludzi. Nawet wtedy, gdy byli moimi wrogami! A Prommet jest przecież synem moich przyjaciół.

– Nic z tego nie rozumiem. Skąd masz takie wiadomości? I takie zdanie o moim synu! – dociekała Gaaja.

– Z długotrwałej obserwacji! Należy to przecież do moich obowiązków. Jest mi obojętne, jak postąpicie. On jest waszym synem. Czuję się jednak zobowiązany, by was ostrzec...

Zastanowiłem się. Oggo zawsze mówił prawdę. Sam kilka razy zauważyłem, że z Prommetem coś jest nie w porządku. Spostrzeżenia Ogga te obawy potwierdzały, ale to przecież był nasz syn. Co w końcu ryzykuje? Jeśli się nie sprawdzi na stanowisku gubernatora, odwołam go. A jeśli teraz odrzucę jego kandydaturę, zrobię przykrość Gaaji.

– Zatwierdzam kandydaturę Prommeta na stanowisko gubernatora prowincji Hinndusz – orzekłem spokojnym, mocnym głosem.

Gaaja spojrzała na mnie, w jej oczach była wdzięczność. Przeniosła wzrok na Ogga. Patrzyła nań zimno, na ustach zastygł jej ironiczny grymas. Oggo, przyjacielu – pomyślałem – tych słów ona ci nigdy nie wybaczy.

Zebranie miało charakter dyskusyjno-towarzyski. Po prostu spotkanie kilku przyjaciół przy pucharze wina. Rozmawialiśmy o „Nieśmiertelności”. W pewnym momencie Ayoob powiedział:

– Muszę się wam przyznać, że nie wszystko rozumiem. Mimo że jestem odkrywcą metody.

Sama technologia zabiegu, poczynszy od powstania nowego ciała, czyli nośnika, do fazy transformacji osobowości, jest zrozumiała i nie ma tutaj żadnych wątpliwości. Niezrozumiałym jest sam proces transformacji osobowości. Bo cóż to jest osobowość? Zbiór informacji nabytych i wykształconych w czasie życia człowieka. Wykluczałbym z tego zbioru informacje w sieci neuronów mózgu, dotyczące sterowania organizmem. To wszystko, z czego się składa mechanizm osobowości, nic nie mówi o jej istocie. Wiemy, że nośnikiem osobowości w mózgu człowieka jest bioplazma. Można tu użyć pewnych dalekich analogii porównawczych z zapisem fonii i wizji. Ale zasadniczym czynnikiem wybiórczym i koordynującym osobowość jest ładunek elektryczny. Osobowość wyobrażam sobie jako stabilne pole elektryczne zawierające świadomość.

– Myślę, że się nieco zagalopowałeś – przerwał mu Oggo. – Nigdy nie słyszałem o stabilnych polach elektrycznych posiadających wewnętrzną strukturę!

– Ja też nie słyszałem – przyznał Ayoob – ale próbuję je sobie wyobrazić. W końcu można sobie wyobrazić takie swobodne pole homeostatyczne przez analogię z piorunem kulistym lub wirem powietrznym. To też są zjawiska, które nie wiadomo dlaczego przez długi czas zachowują swoją strukturę! Powróćmy jednak do zasadniczego wątku. Jeśli osobowość człowieka jest zapisem zawartym w stabilnym polu elektrycznym, to my już dawno nie żyjemy. Transformacja nie jest operacją wyjęcia osobowości z jednego ciała i włożenia w drugie, jest operacją sporządzenia kopii w wzorcowej osobowości. Dlatego twierdzę, że jesteśmy którąś z rzędu kopią kopii naszej pierwotnej osobowości.

– Ciężko się dzisiaj rozmawia w tym gronie – wtrącił Oggo. – Same zagadki. Jestem kopią osobowości. Dobrze, mogę być, ale żyję. Życie jest wtedy, gdy mam pod ręką dziewczynę i dzban dobrego wina. A gdy dojrzeję do niebytu, wtedy pożegnaj się z jego boskością ragonem i zaproszę was na pożegnalną ucztę.

– Przestań się wygłupiać z tą boskością! – krzyknąłem do Ogga.

– Mogę przestać, ale to już nic nie zmieni. W pojęciu ludu my, „Nieśmiertelni”, jesteśmy bogami, z tobą na czele panteonu. Inni są pomniejszych bożkami. Istnieje już nawet cała hierarchia i specjalizacja.

– No to najbardziej odpowiedzialną funkcję pełni Oggo – zażartował Errwa.

– Co mu przydzielono?

– Wyobraź sobie, że jest bogiem miłości i pijaków!

– Trafili w samo jądro!

– Tak, ale za swego patrona uznają go jeszcze inne profesje.

– Jakie?

– Boję się, że gdy powiem, rzuci we mnie pucharem.

– Nie bój się! Jeśli rzuci, zamknę go na miesiąc do więzienia.

– Co mnie to pomoże, gdy rozbije mi głowę?

– Nic, ale będziesz pomszczony, a sprawiedliwości stanie się zadość!

– No to powiem. Przyznają się do niego prostytutki i złodzieje.

– A to dobre! Jakoś do mnie to nie dotarło!

Oggo wcale się nie obraził, roześmiał się tylko i pociągnął wina.

– A czym ja jestem patronem? – spytałem.

– Ty jesteś bogiem bogów. Nie możesz bezpośrednio być patronem, byłaby to obraza twojej boskości. Zainteresowany petent modli się i przekupuje ofiarami boga drugiej kategorii, aby za jego pośrednictwem dotrzeć do ciebie. Oczywiście tylko wtedy, gdy sprawa jest bardzo ważna. Mniej ważne sprawy załatwiamy sami.

– A mieliśmy szerzyć tylko kult Słońca... – zauważyła Gaaja.

– Kult Słońca jest ciągle oficjalnym kultem. Ale jedno nie wyklucza drugiego. Po prostu Nommo stał się ucieleśnieniem Słońca na Ziemi.

– Dzieją się jeszcze głupsze rzeczy – stwierdził Ayoob. – Wyobraźcie sobie, że niektórzy z „Nieśmiertelnych” przechowują swoje zużyte ciała. Oczywiście zabalsamowane – ot tak, przez sentyment i na pamiątkę. W niektórych prowincjach lud, który ich z reguły naśladuje, również balsamuje zwłoki swych zmarłych, sporządzając ich mumie. Dorobiono do tego całą pozagrobową ideologię.

– Jaką? – zainteresowała się Gaaja.

– Wierzą, że życie pozagrobowe jest uzależnione od istnienia ciała zmarłego człowieka. Zmarły zostaje w życiu pozagrobowym nagrodzony lub ukarany za czyny dobre lub złe popełnione w ciągu życia.

– Jak ustosunkowali się do tych praktyk kapłani?

– Na razie oficjalnie nie zajmują stanowiska, ale sędzę, że po cichu jednak popierają te praktyki.

– Z czasem wciela te praktyki do oficjalnego kultu – orzekł Hiddo. – Kapłani są cierpliwi i przebiegli. Zmonopolizowali już wiedzę i gromadzą bogactwa. Słyszałem też, że zaczynają mieszać się do polityki i chcą zapewnić sobie wpływy. Rośnie nowa siła, z którą wkrótce będziesz się musiał liczyć. Tym groźniejsza, że jest organizacją. Podobno bardzo prężną organizacją.

– Wiem o tym – odparłem. – Bądźcie spokojni, przyjaciele. Wkrótce zajmę się kapłanami. W imperium będzie spokój i ład, nie będę tolerować sił, które chcą być ponad prawem i ponad interesami państwa.

* * *

Skończyłem z weryfikacją gubernatorów. Stanowiska obsadzono nowymi ludźmi. Ze starej grupy pozostało trzech. Byli lojalni, ich prowincje kwitły, nadużyć nie wykryto. Wywiad też nie znalazł obciążających materiałów. Kryształowi ludzie? Może... Pozostałem ich na stanowiskach, bo chciałem być uczciwy wobec siebie, ale czułem jakiś podświadomy niepokój. Było oczywiste, że istnieją grupy niezadowolonych ze stanu rzeczy. W imperium panował pozorny spokój. Nie mamy problemów, tak mówił Oggo. Niezadowoleni, pozbawieni władzy i majątków, nie są szkodliwi.

Następny etap to święty stan kapłański. Ci nie są jeszcze groźni. Jednak za kilkadziesiąt lat będą poważną siłą. Muszę temu zapobiec. Postanowiłem przeprowadzić niespodziewaną inspekcję świątyń. Chciałem się zorientować, jak wygląda ich gospodarka i organizacja.

* * *

Stratoplan wylądował na obszernym placu przed świątynią. Świątynia stała na niewielkim pagórku, prowadziły do niej szerokie marmurowe schody. Weszliśmy do świętego kręgu otoczonego kolumnami. Pośrodku był basen przeznaczony do rytualnych ablucji. Przeszliśmy obok niego na następny dziedziniec. Stał tam ołtarz ofiarny i dwa wielkie, wykonane z brązu naczynia na wodę.

Przed nami wznosił się fronton właściwej świątyni. Weszliśmy do przedsionka. Jak dotąd nikogo nie spotkaliśmy. Dalej była prostokątna nawa, z marmurowym ołtarzem i stołami na ofiary. Tutaj, w cieniu kolumny, stał chłopiec. Był sługą, sądząc po miotle trzymanej w ręku. Stał bez ruchu, przestraszony, patrząc na nas szeroko otwartymi oczami.

– Zbliź się! – zawołał Oggo.

Nie zareagował na wezwanie. Nawet nie drgnął.

Podeszliśmy do niego.

– Jak się nazywasz? – spytał z uśmiechem Oggo.

– Bego.

– Ile masz lat?

– Nie wiem.

– Co tu robisz?

– Zamiatam świątynię.

– Widzę, ale robisz to w tej chwili, a ja chcę się dowiedzieć, czym się zajmujesz?

– Jestem sługą kapłanów.

– A powiedz mi, Bego, czy umiesz już czytać i pisać?

– Nie.

– Nie chciałeś się uczyć?

– Chciałem, ale takich jak ja nikt nie uczy. Mój ojciec jest biedny.

– Czym zajmuje się twój ojciec?

– Jest parobkiem w folwarku.

– Więc kogo tu kapłani uczą?

– Synów bogatych ludzi. Urzędników, tych, co mają folwarki, kupców i jeszcze innych bogatych ludzi.

– Czy dziewczęta też się tu uczą?

– Nie, dziewcząt nie uczą, one muszą zarabiać.

– I co robią?

– One śpią z pielgrzymami. Za to pielgrzymi płacą, ale pieniądze zabierają kapłani.

Spojrzałem na Ogga i uśmiechnąłem się ironicznie.

– A ile jest tutaj dziewcząt? – spytałem.

Zawahał się, nie był zdecydowany, co odpowiedzieć. Podniósł do góry obydwie dłonie, pokazując raz i drugi po dziesięć palców.

– Tyle ich jest – powiedział.

– Zaprowadź nas do arcykapłana.

– On wczoraj wyjechał do swojego folwarku.

– Daleko to stąd?

– Nie wiem do którego folwarku pojechał.

– To ile tych folwarków ma?

– Wiem o trzech, do najbliższego jest pół dnia drogi.

– W takim razie prowadź nas do starszego kapłana.

– Teraz nie wolno mu przeszkadzać, bo położył się spać i zapowiedział, że pobije każdego, kto mu przeszkodzi.

– Sam śpi, czy z dziewczyną? – spytał Oggo.

– Z dziewczyną.

– Nas na pewno nie pobije. Prowadź!

Chłopiec ruszył z nami na zaplecze świątyni, gdzie stało kilka jednopiętrowych budynków. Zatrzymał się przy drewnianych schodach, prowadzących do jednego z nich.

– To tutaj – wyjaśnił. – Po schodach na górę.

Drzwi były zamknięte od wewnątrz. Oggo dwukrotnie w nie kopnął. Zaraz po tym usłyszeliśmy wrzask:

– Ty psie parszywy! Ty padlino trędowata! Łeb ci rozwałę!

– Otwierać! – krzyczał Oggo, kopiąc dalej w drzwi.

W końcu się otworzyły. Stał w nich niewysoki tłuścioch o wyłupiastych oczach. Miał na sobie tylko krótką rozchełstaną koszulę.

– Czy ty jesteś starszym kapłanem? – spytał go Oggo.

– Tak! Czego chcecie?

– Jesteśmy komisją. Przybyliśmy, aby przeprowadzić inspekcję świątyni. Chcemy się widzieć z arcykapłanem!

Tłuścioch z przerażenia zaniemówił. Spojrzał bezradnie na swoje gołe nogi, potem zerknął do tyłu, gdzie na łożu leżała naga dziewczyna. Wydał jakiś dziwny dźwięk, przypominający gulgotanie. Nagle w paru susach dopadł do leżącej na podłodze kapłańskiej szaty i szybko naciągnął ją na siebie. Dziewczyna w tym czasie założyła koszulę i wybiegła z komnaty. Kapłan przyglądał krótkie, kędzierzawe włosy, rozejrzał się po komnacie i już uspokojony zwrócił się do nas.

– Arcykapłana nie ma, wyjechał! – wyjaśnił, nieco sepleniąc.

– Kiedy powróci?

– Za kilka dni, ale dokładnie nie wiem.

– Kto go zastępuje?

– Ja!

– Dobrze, porozmawiamy więc z tobą.

– Co chcecie wiedzieć?

– Na początek: jakie są dochody świątyni? Ilu jest arcykapłanów? Ilu macie uczniów? Czego ich uczycie?

– Dochody – wzruszył ramionami – jakie dochody? Tych parę pszennych placków i trochę zboża. To mają być dochody? Pobożność tak upadła na świecie, że wkrótce będziemy żebrać, by przeżyć. A wy mnie pytacie o dochody!

– Zaraz, coś to nie tak! – zatrzymałem potok słów wydobywających się z jego gardła. – Macie przecież pensję.

– Pensję! – roześmiał się. – Ano niby mamy, tylko już od dwu lat jej nie widzieliśmy.

– Kto ją wam powinien wypłacać?

– Świątynia w Knossos.

– Ilu jest tu kapłanów?

– Arcykapłan, ja, czyli jego zastępca, ośmiu kapłanów i czternastu nowicjuszy.

– Ilu macie uczniów?

– Trzydziestu siedmiu.

– Nie przemęczacie się!

– Nie było więcej chętnych do nauki – odpowiedział po namyśle.

– Czego ich uczycie?

– Pisania, czytania, rachunków, wszystko według programu.

– Ile zatrudniacie służby?

– Będzie ze trzydziestu ludzi.

– Po co wam aż tylu służących?

– Pracy jest dużo, świątynia wielka... – zaczął się jąkać nie wiedząc, co powiedzieć.

– A te folwarki, które widziałem obok świątyni, to wasze?

– Nasze – przyznał niechętnie.

– A co tu robią dziewczęta?

Zaczął się denerwować i pocić. Stracił pewność siebie.

– One są tu jako zastaw za procenty od długów. Ich ojcowie zaciągali w świątyni pożyczki i nie mają z czego ich spłacić.

Zirytował mnie ten opasły wykrętny wieprz. Huknąłem na niego, już bez udawania pobłażliwości.

– Mówisz, że zebrać wkrótce będziecie! Dochody z folwarków, dochody z prostytucji, dochody z opłat za uczenie dzieci! Arcykapłan ma trzy folwarki. A ty ile masz? – wrzasnąłem.

Zaczął się trząść ze strachu, ale się nie odezwał. Dopiero gdy Oggo trzepnął go pięścią w brzuch, wychrypiął: – Dwa!

– Po ile folwarków mają inni kapłani?

– Jeszcze czterech ma folwarki, ale tylko po jednym.

Ładne rzeczy, tylko czterech. Sześciu kapłanów, dziewięć folwarków. I to wszystko za pieniądze wyciśnięte z ludu. Prostytucja, niewolnictwo, odpłatne uczenie, tyle na samym wstępie. Zobaczmy, co jeszcze.

– Trzeba zebrać wszystkich kapłanów i nowicjuszy! – zwróciłem się do Ogga. – Wziąć ich pod straż i pilnować! Zajmijcie się też dochodami świątyni! – poleciłem sekretarzowi. – A my odwiedzimy arcykapłana w jego folwarku.

Aby znaleźć ten folwark, wzięliśmy do stratoplanu Beego. Był przerażony, ale jakoś w końcu się opanował. Stratoplan musiał lecieć nisko, śladem drogi, bo Bego nie mógł sobie inaczej skojarzyć położenia folwarku. Wreszcie byliśmy na miejscu. Wylądowaliśmy za kępą drzew.

Ja, Oggo i trzech ludzie z ochrony ruszyliśmy w stronę folwarku. Bego pozostał z pilotem.

Folwark leżał w malej zadrzewionej dolinie. Nad stawem wznosił się duży, zbudowany z palonej cegły budynek mieszkalny. Dalej stały zabudowania gospodarcze. Dom i staw otaczał gęsto zadrzewiony, ogrodzony murem ogród. Wspinając się jeden po drugim sforsowaliśmy mur. Nad brzegiem stawu leżały dwie dziewczyny. Oggo dał znak eskortce, aby się zatrzymała. Bezszelestnie, na palcach zbliżyliśmy się z tyłu do dziewcząt. Gdy byliśmy od nich o kilka kroków, pod nogą Ogga trzasnęła gałąź. Dziewczęta krzyknęły i poderwały się gotowe do ucieczki.

– Witajcie – powiedziałem, uśmiechając się do nich. – Zabłądziliśmy i szukamy drogi.

– Tutaj? – zdziwiła się starsza. – Tu przecież nie ma drogi. Ten teren jest ogrodzony, jak się tu dostaliście? Czy jesteście złodziejami?

Pytanie to było tak naiwne, że parsknąłem śmiechem.

– Oggo! – rzuciłem. – Czy my jesteśmy złodziejami?

– Nie przypominam sobie, bym ostatnio kradł – odparł siląc się na powagę.

– Żartujecie z nas – powiedziała, robiąc poważną minę. – Odejdźcie stąd, bo zawołam ojca, a on jest arcykapłanem – dodała z dumą w głosie.

– To się dobrze składa, bo my właśnie go szukamy – wyjaśnił jej wtedy Oggo.

W tym momencie z lewej strony zatrzeszczały łamane gałęzie i z zarośli wypadło czterech ludzi uzbrojonych w kije. Przed ludźmi biegły dwa wielkie psy. Na czele tej grupy pędził z wzniesionym do ciosu kijem wysoki, tęgi mężczyzna z czarną brodą.

– Huź! Huź! – krzyczał. – Bierz ich!

Psy były już blisko, ale nie dobiegły. Dwa fioletowe błyski zlały się w jeden i psie ścierwa padły

na ziemię, drgając w agonii.

Napastnicy stanęli skamieniali z wrażenia. Brodacz zmarł, trzymając wciąż wzniesioną rękę z kijem.

– Rzucić kije! Ochrona, skuć ich! – zabrzmiał głos Oggo.

Metalicznie trzaskały zamki kajdanek. Brodacz szarpnął się, usiłując wyrwać rękę. Gdy mu się to nie udało, zaczął z wściekłości wykrzykiwać: – Zapłacicie mi za to! Wy nie wiecie, kim ja jestem! Jestem arcykapłanem, mój brat jest sekretarzem samego gubernatora! Ja was zgnoję! Nie wyjdziecie z kamieniołomów, a wasze żony i córki zdechną w domach publicznych!

Oggo zielony z wściekłości podszedł do brodacza. Spojrzał na wrzeszczącego, splunął i objaśnił go:

– Czy nie rozumiesz, głupi człowieku, że są to twoje ostatnie chwile? Mało ci było okradania świątyni to jeszcze zmuszałeś do nierządu, bogaciłeś się na niewolnictwie, lichwie i innych machlojkach. Za ukradzione pieniądze kupiłeś trzy folwarki, twój zastępca dwa, inni kapłani kolejne cztery. A gdy przybywa do ciebie sam ragon, aby sprawdzić, jak gospodarujesz, szczujesz go psami i napadasz nań z kijem. Nawet po obezwładnieniu plugawisz jego i jego żonę. Twoja kapłańska pycha tak cię ogłupiła, że nic już do ciebie nie dociera.

Brodacz jęknął i zwałił się na ziemię, twarzą do niej. Tłukąc głową o ziemię, wołał: – Łaski! Łaski! Nie wiedziałem, kim jesteście!

– O kradzieżach też nic nie wiedziałeś? O zmuszaniu do prostytucji także? Pewnie i o niewolnictwie nic nie wiesz? Do końca dni swoich pozostaniesz za tę niewiedzę w kamieniołomach, abyś miał czas przemyśleć o swojej winie, a twoje żony i córki pójdą do domu publicznego, gdzie będą cię przeklinać do końca życia!

Brodacz jęknął, nogi zadrżały mu w ataku skurczów i znieruchomiał.

– Obawiam się, że wykipił się od kamieniołomów. Taki spryciarz wie, kiedy umrzeć – orzekł Oggo.

Do leżących zwłok podbiegły z płaczem stojące opodal dziewczęta. Uklękły przy brodaczu zanosząc się łkaniem.

– Zamknijcie gęby! – wrzasnął na nie Oggo. – Nie ma po kim płakać, to był złodziej! Tak was urządził, że do końca życia będziecie go przeklinać. A wy prowadźcie do domu! – rozkazał skutym parobkom.

Żony były trzy. Dwie w średnim wieku, trzecia dziewczęco młoda. Prawie dziecko. Żal mi się zrobiło tych dziewcząt, co one były winne?

Prawo prawem, ale to były jeszcze dzieci.

– Zabieramy je stąd! – Zdecydowałem. – Należy przeprowadzić szczegółowe śledztwo. Interesuje mnie ten brat arcykapłana, sekretarz gubernatora. Jeśli miał z tym coś wspólnego... Ukarać! W każdym razie zdjąć ze stanowiska! Folwarki i inny majątek skonfiskować. Innych winnych także ukarać! Długi umorzyć! Dziewczęta oddać rodzicom i wyposażyć! Niewolnikom zwrócić wolność. Sprawdzić, dlaczego kapłani nie otrzymywali od dwóch lat pensji. Zostawiam tu sekretarzy i czterech ludzi z eskorty. Przyślę komisję śledczą. Trzy dziewczyny i Bego zabieram, będą służącymi Gaaji.

– A co z nimi? – Oggo wskazał na stojące w kącie żony arcykapłana.

– Postąpić według przepisów prawa. – odpowiedziałem.

* * *

Trzecią świątynią, jaką odwiedziliśmy, była świątynia w Tartessos. Pozornie byli zaskoczeni.

Nasze nagłe zjawienie się wywołało popłoch i zamieszanie. Jednak odniosłem wrażenie, że tu nas się spodziewano. Niezbyt naturalnie ten popłoch wyglądał. Scenariusz zaskoczenia był przygotowany z wyprzedzeniem. „Bardzo prężna organizacja” – przypomniała mi się opinia, jaką słyszałem o kapłanach. Właśnie zauważyłem, że bardzo prężna. Ciekawe, w jaki sposób ta prężna organizacja korzysta z państwowych środków łączności? Gdy po półgodzinnej wizycie usłyszałem za plecami głos Oszuuna, wykrzykujący słowa powitania, byłem już zupełnie pewny, że kapłani nie byli zaskoczeni.

– Witaj, Oszuunie! – odpowiedziałem na jego powitanie. – Pewnie przechodziłeś tędy i zauważyłeś mój stratoplan? – rzuciłem ironicznie.

– Tak – potwierdził bez zająknięcia – właśnie wracałem z portu, gdy was zauważyłem.

– Co u ciebie słyhać?

– Mam kłopoty rodzinne... – zaczął powściągliwie.

– Co takiego? Czy ktoś zachorował?

– Gorzej! Znacznie gorzej!

– Nie rozumiem, może ktoś umarł?

– Zostałem podwójnym dziadkiem!

– No to przyjmij moje gratulacje z okazji powiększenia rodziny! – powiedziałem, jeszcze bardziej zdziwiony jego słowami.

– Dziękuję – odrzekł kwaśno – ale problem jest w tym, że ja nie znam moich „zięciów”.

– Więc Eur i Opa urodziły dzieci, a ty nie znasz ich ojców? – Oczywiście tego faktu dotarła do mnie dopiero teraz.

– Właśnie – przytaknął. – Urodziły dwóch chłopaków, tego samego dnia i godziny, ale nie chcą powiedzieć za czyją to sprawką...

– Co możesz zrobić – rzuciłem wymijająco. – Musisz się z tym pogodzić.

– Usiłuję, ale ciężko mi to przychodzi. Nie jest to takie proste – dodał po chwili.

– A jak postępują roboty przy budowie kanału? – zmieniłem temat. – Kiedy kończycie?

– Sądzę, że za rok. Tak jak zaplanowaliśmy. Mam nadzieję, że otworzysz go osobiście?

– W tej chwili nie mogę tego obiecać. Nie wiem, czy będę mógł przyjechać – odparłem, nie chcąc się zobowiązywać. – Czy fortece są już zbudowane?

– Tak. Wszystko jest tak, jak sobie życzyłeś, ale daj mi dla nich nazwy. Sam nie chcę decydować.

Zastanowiłem się. Przyszedł mi do głowy pomysł...

– Czy twoi wnukowie mają już imiona?

– Jeszcze nie, urodzili się pięć dni temu.

– Czy zgodzisz się, że ja nadam im imiona i nazwę ich imionami fortece. Chcę ich w ten sposób wyróżnić.

– Dobrze, nie sprzeciwiam się, ale nie rozumiem, po co to robisz.

– Nazwij ich Att i Lass.

– Czy nie wstąpiłbyś do pałacu, aby powiedzieć to moim córkom?

– Nie. Twoje córki są jeszcze chore i nie należy ich niepokoić. Poza tym bardzo się spieszę, nie przewidywałem wizyt.

Oszuun zamyślony pożegnał się i odszedł.

Moi ludzie też zakończyli inspekcję świątyni. Wszystko było w porządku, kapłani dobrze się przygotowali.

Nie będzie to takie proste – pomyślałem – ten problem trzeba rozgryźć inaczej. Oni już są bardzo prężną organizacją!

Wracaliśmy z inspekcji. Siedząc naprzeciw Ogga w stratoplanie rozmyślałem. Moja sytuacja zrobiła się dwuznaczna. Zwariowane bliźniaczki dopięły swego... Oszuun został dziadkiem, a ja ojcem dwóch chłopców. Co powinienem z tym zrobić? Jak postąpić? Nigdy nie miałem tajemnic przed Gaają. Powiedzieć jej? Czy zataić? Nie mogłem się zdecydować, denerwował mnie ten brak decyzji. Spojrzałem na Ogga, uśmiechał się półgębkiem.

– Co się tak głupio śmiejesz? – spytałem.

– Przypomniał mi się dowcip o kapłanie, mogę ci go opowiedzieć – ofiarował się z podejrzaną gorliwością.

– Opowiedz – zgodziłem się.

– W jednej świątyni był kapłan nauczyciel o nazwisku Baran. Zaczął uczyć grupę dzieci, które pierwszy raz przyszły do szkoły. Widząc niebywałą tępotę swych uczniów, zniecierpliwiony krzyknął w końcu: „Chyba baran był waszym ojcem, że jesteście takie tępe!” „Tak” – chórem odparły dzieci. „Niby skąd to wiecie, nicponie?” – zainteresował się kapłan. Na co dzieci wyjaśniły: „Mamusię nam mówiły, że mamy być grzeczne, bo będzie nas uczył tatuś...”

Intencja dowcipu była tak jaskrawa, że nie miałem wątpliwości. On wiedział o wszystkim i kpił ze mnie. Nie mogę tego zataić, powiem Gaaji.

I powiedziałem jej, gdy po obiedzie zostaliśmy sami.

– Gaaju, mimo mej woli zostałem ojcem dwu chłopców.

Nic nie odparła, patrzyła na mnie smutnymi oczami. Potem uśmiechnęła się i usłyszałem jej cichy głos:

– Wiedziałałam o tym jeszcze przed ich urodzeniem.

– I tyle mi powiesz?

– Bo jesteś tylko człowiekiem i w dodatku mężczyzną. Jako człowiek masz prawo się mylić, a jako mężczyzna pożądać kobietę. Pożądanie jest zapisane w waszym kodzie genetycznym, w waszej podświadomości. Nie mam żadnych pretensji. Wiem jednak, że byłam pierwszą, którą kochałeś, i będę ostatnią...

– To już dziewiąta transmisja – policzył Papadukulos, przypinając mnie do „fotela”. – Jeszcze najwyżej dwie, na więcej się nie zgadzam. Zmizerniałeś, więcej byś” nie wytrzymał. Rozdwajanie jaźni jest ryzykowną sprawą. Mózg jest delikatnym instrumentem, nie lubi, gdy się go oszukuje!

– Co znaczy oszukuje?

– To znaczy, że na siłę pakuje się w niego przeżycia innego człowieka.

– Na pewno masz rację – powiedziałem głośno. Ale czy miał ją rzeczywiście? Bo ja miałem już wątpliwości, czy były to przeżycia innego człowieka czy moje przeżycia w innym życiu.

– Uwaga! Włączam! – wyrwał mnie z rozmyślań głos Papadukulosa.

* * *

Zmierzchało, od morza wiał lekki, ciepły wiatr. W czwórkę siedzieliśmy na tarasie pałacu. Wottan kończył właśnie długi wywód o wpływie, jaki mogły mieć supernowe na rytm ziemskiej cywilizacji.

– Wybuchająca gwiazda – mówił – emituje różne rodzaje promieniowania, między innymi promieniowanie twarde. Tak silne promieniowanie mogło zniszczyć otaczającą Ziemię warstwę ozonu, a tym samym mieszkańcy planety zostali pozbawieni ochronnej tarczy. Prawdopodobnie wpływ promieniowania na geny spowodował zmianę rytmu ewolucji. Rozpatrując to zagadnienie z naukowego punktu widzenia można założyć, że właśnie wtedy człekokształtna małpa zaczęła myśleć.

– Z naukowego punktu widzenia – powtórzył ironicznie Oggo. Od pewnego czasu był nastawiony antynaukowo. – Zrobiliście sobie z nauki boga! Pozujecie na wtajemniczonych kapłanów. Was już nie interesuje poznanie nieznanego. Wy celebrujecie wiedzę objawioną. Wasze tytuły, dostojność, naukowa powaga, mądre miny to żółwie pancerze, pod którymi kryjecie naukowy konserwatyzm i abnegację!

– Zaraz, Oggo! – przerwał mu Ayoob. – Chyba nie zaprzeczysz, że posiadamy jakąś wiedzę? W końcu już coś zrobiliśmy!

– Nie twierdzą, że nic nie zrobiliście. Usiłuję tylko wytłumaczyć ubóstwo waszych naukowych osiągnięć. Rozprawiacie mądrze o prawach natury na Ziemi, ba nawet prawach kosmosu. Tłumaczycie maluczkiem, dlaczego natura postąpiła tak a nie inaczej. Wiecie już wszystko. Ja chcę od was niewiele. Nie twórzcie nowych światów. Stwórzcie jedną małą pchłę! No i co? Już po wielkiej nauce? Gdzie są ci wielcy uczeni?

– Masz absurdalne żądania! – orzekł Ayoob.

– Dla natury, o której niby wszystko już wiecie, stworzenie pchły nie było żadnym wyczynem. Dla was jest!

W tym momencie ciszę wieczoru przerwał ryk silników lądującej rakiety. Wylądowała na peryferiach miasta, w bazie oddziałów specjalnych. Taka rakieta była rzadkością. Musiało się wydarzyć coś ważnego. Oggo przerwał rozmowę. Wsłuchiwał się w ryk silników. Gdy umilkły, wstał i podszedł do balustrady tarasu. Nie mówił nic, tylko nadśluchiwał. Po kilkunastu minutach usłyszeliśmy odgłos silników zbliżającego się pojazdu.

Oggo w milczeniu szybkim krokiem wyszedł z pałacu. Ruszyłem za nim. Dogoniłem go na korytarzu, przy drzwiach mojego gabinetu. Rozmawiał tam z pełniącym służbę gwardzistą. Usłyszałem tylko koniec tej rozmowy:

– ...przyprowadź go tu, do gabinetu ragona!

– Rozkaz! – odparł gwardzista i pobiegł korytarzem.

– Co się stało? – spytałem, podchodząc do Ogga.

– Jeszcze nie wiem, za chwilę sam usłyszysz.

Wszedłem do gabinetu. Oggo, wchodzący za mną, nie usiadł, spacerował po gabinecie od drzwi do biurka. Nic nie mówił, twarz mu stężała, rysy się zaostrzyły. Wyglądał jakby w ciągu paru minut przybyło mu dwadzieścia lat życia.

Zapukano do drzwi.

– Wejść! – krzyknął.

Pokazał się człowiek w mundurze oficera oddziałów specjalnych. W hełmie i z bronią. Sam jego wygląd był zwiastunem ważnych wieści. Jakby był żołnierzem wracającym z pola bitwy.

– Oficer oddziałów specjalnych Akk! – zameldował. – Przywiozłem meldunek od Auuna z prowincji Hinndusz!

– Słucham cię!

– W prowincji wybuchł bunt, wszystkie oddziały specjalne zostały zniszczone. Buntownicy działali z zaskoczenia. Mają duże ilości nowoczesnej broni, w tym jądrową. Z oddziałów spec ocalało jedynie kilkunastu ludzi. Uciekliśmy dwoma raketami. Resztę sprzętu i obiektów spec zniszczono. Buntownicy opanowali również prowincję: Dziipen i Cziin. Teraz kierują się na prowincję Urr. Auun polecił mi zameldować, że zamknie się w twierdzy Hattuszaz, na granicy prowincji Urr. Prosi o posiłki, bo inaczej nie wytrzyma ataku broni jądrowej. To wszystko, co mam do przekazania!

W gabinecie zapadła cisza. Coś do mnie nie dotarło, czegoś nie rozumiałem. Przerwałem ciszę pytaniem:

– A co się stało z Prommetem?

Oficer spojrział na Ogga, potem na mnie. Zauważyłem, że się zmieszał. Wreszcie, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad moją głowę, powiedział:

– Prommet ogłosił się jedynym władcą całego imperium!

Był to cios, na który nie byłem przygotowany. W mózgu czułem pustkę. Olbrzymią rosnącą pustkę. Prommet... mój syn?!

– Dziękuję ci! – zwrócił się do oficera Oggo. – Możesz odejść!

Gdy ten wyszedł, Oggo usiadł. Milczeliśmy obydwoj, pogrążeni w myślach.

– Wiedziałaś o tym? – spytałem po chwili.

– Tak!

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Czy uwierzyłbyś, gdybym powiedział? Pamiętasz, co mówiłem wtedy, kiedy mianowałeś go gubernatorem?

– Pamiętam.

– Gdybym przyszedł z podejrzeniami, zrobiłbym sobie z was obu wrogów. Musiałem czekać na fakty, by to udowodnić. Teraz masz fakty!

– Muszę z nim porozmawiać.

– Jak chcesz, to twój syn.

Poleciłem nawiązać łączność z buntownikami. Długo to trwało. Dopiero nad ranem usłyszałem głos Prommeta.

– Podobno chcesz ze mną mówić, Nommo?

– Tak, synu, witaj. Chcę z tobą mówić!

– Zostaw, stary, te rodzinne czułości! – odpowiedział z lekceważeniem. – Nasze przypadkowe

pokrewieństwo nie ma tu żadnego znaczenia. O czym chcesz mówić?

– Chcę wiedzieć, o co ci chodzi, po co ten bunt?

– Mam już dość czekania na władzę! Już dawno powinieneś być wyprawić pożegnalną ucztę. Biorę to, co mi się od dawna należy. Jeśli się będziesz opierał, zniszczę cię! Skapituluj natychmiast, a dam ci jeszcze pożyć, ale już bez wymiany nośnika. Wybieraj!

Takich słów się nie spodziewałem, nawet od zbuntowanego syna. Mówiło do mnie zachłanne, bezwzględne bydło. Była to kropla, która przepełniła czarę mojej cierpliwości. Otrząsnąłem się ze słabości, ogarnął mnie gniew.

– To ty wybieraj! – powiedziałem twardo – albo zaraz złożycie broń, zdając się na moją łaskę, albo wszyscy twoi stronnicy zostaną zniszczeni. Dla ciebie będę miał specjalne względy. Nie pozbawię cię nośnika. Nawet wtedy, gdy będziesz mnie o to błagać!

Chwilę milczał. Moje zdecydowanie zaniepokoiło go. Odezwał się mniej pewnym głosem:

– Zmierzymy się w walce, przyszłość rozstrzygnie, kto będzie górą!

– Dla mnie przyszłość jest jasna – odpowiedziałem. – Nie mam takich wątpliwości!

Po tych słowach wyłączyłem aparat. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Należało zacząć działać. Czas zrobił się drogi.

– Zbierz wszystkie możliwe oddziały i przetnij mu drogę do Urr! – powiedziałem do Ogga. – Zastosuj wszelkie środki, z bronią jądrową włącznie. Ja zbiorę rezerwy i zajmę Hinndusz, muszę odciąć go od zaopatrzenia. Trzeba działać szybko!

– Rozkaz! – odparł. – Chcę ci tylko powiedzieć, że ich słabą stroną jest transport. Prommet ma cztery kontynentalne rakiety i małą ilość pojazdów „mechanicznych. Zdecydowaną większość swych sił musi przerzucać w sposób tradycyjny. Należy to wykorzystać.

– Rozumiem – powiedziałem.

Oggo wyszedł, zostałem sam. Przez chwile opanowała mnie gorycz osobistej porażki, straconych złudzeń i nie ziszczonych nadziei. Otrząsnąłem się jednak, nie czas był na to.

Włączyłem fonom i zacząłem wydawać rozkazy. Zarządziłem stan alarmu i mobilizację. Moja wola jeszcze się liczyła w imperium. Za kilka godzin zgrupują się sprawne, uzbrojone po zęby oddziały i pójdą tam, gdzie im rozkażę.

Gdy skończyłem wydawać rozkazy, zauważyłem Gaaję. Nie słyszałem, jak weszła do gabinetu.

– Co się dzieje? – spytała.

– Wojna! – odpowiedziałem lakonicznie.

– Z kim?

Włączyłem zapis rozmowy z Prommetem. Wysłuchiła bez słowa komentarza, tylko dwie wielkie łzy stoczyły się po jej twarzy.

– Co teraz będzie? – spytała bezradnie.

Usiadłem naprzeciw niej i patrząc jej w oczy, powiedziałem:

– Z każdej sytuacji jest wyjście. Z tej też. Są dwie możliwości. Rozumiem i szanuję twoje uczucia, jesteś jego matką. Daję ci szansę wyboru. Będzie tak, jak zechcesz, ale musisz wybrać: on albo ja! Trzeciej możliwości nie ma. Wybieraj!

– Nie mogę, Nommo!

– Musisz – powtórzyłem. – To nie ja doprowadziłem do tej konfrontacji, mam czyste sumienie. Teraz już nie można zamknąć oczu i powiedzieć: nie widzę!

– Zrób mi łaskę i pozwól się zastanowić! – Wstała i ruszyła do drzwi. Tam się zatrzymała, dodając: – Odpowiem ci za godzinę.

Prawie świtało, byłem bardzo zmęczony, nie spałem całą noc. Zaczął się już nowy dzień, pełen

pracy i niepokoju.

Kazałem się obudzić dyżurnemu gwardziście za dwie godziny i położyłem się na sofie w gabinecie. Niemal od razu zasnąłem.

Obudziło mnie szarpanie za nogę i głos: – Wasza wysokość raczy się obudzić! Wasza wysokość kazał się obudzić za dwie godziny!

Otworzyłem oczy. Stali przy mnie: gwardzista i Bego, pokojowiec.

– Dziękuję – powiedziałem, odzyskując przytomność. – Dziękuję wam! Bego, przynieś mi śniadanie i poproś tu Gaaję!

Usiadłem przy fononie, mobilizacja była zakończona. Oddziały skoncentrowały się w wyznaczonych rejonach. Operacja przebiegała sprawnie. Najdalej za godzinę muszę dołączyć do armii. Wtedy się zacznie...

Trzasnęły z rozmachem pchnięte drzwi. Stał w nich kredowo blady Bego. Z trudem złapał oddech i wykrztusił: – Gaaja!

– Co Gaaja?

– Jej wysokość Gaaja nie żyje! – wypowiedział jednym tchem.

* * *

Leżała na łożu. Błada, piękna, daleka. Na jej ustach zastygł grymas pogardy. Ująłem jej rękę, była zimna.

Była trzecia możliwość, pomyślałem. Nie chciała wybierać...

– Lekarza! – krzyknąłem. – Wezwijcie lekarza!

– Już idzie – odezwał się ktoś z tyłu.

Hiddo wyrzucił wszystkich z sypialni.

Czekałem na korytarzu. Myśli kłębiły się w głowie. Rosła we mnie zimna, bezwzględna nienawiść do Prommeta.

– Umarła natychmiast – orzekł w końcu Hiddo. – Około dwóch godzin temu; Użyła silnej trucizny, porażenie centrów nerwowych. Nie, nie męczyła się – dodał, widząc w moich oczach nieme pytanie. – Śmierć nastąpiła natychmiast... – Zawahał się, nim zapytał: – Wiesz, dlaczego to zrobiła?

– Była trzecia możliwość, nie przewidziałem tego. To mój błąd, a za błędy się płaci. Wiem, że nic z tego nie rozumiesz, kiedyś ci wytłumaczę. Teraz nie mogę. Jest wojna, muszę być przy armii. Zajmij się jej pogrzebem. Zwłoki zabalsamuj. Pochowaj ją na tej wysepce, gdzie straciła nogę. Postaw tam małe mauzoleum z przezroczystymi ścianami. Nigdy już potem nie była szczęśliwa. Niech tam spoczywa w spokoju...

* * *

Z rozeznań powietrznych wynikało, że główne siły buntowników były w tej chwili na wyżynie pomiędzy prowincją Hinndusz i Urru. Oggo miał rację, że słabą stroną przeciwnika był brak nowoczesnych środków transportu, ale mylił się co do tego, że Prommet ma tylko cztery rakiety. Miał ich dziesięć. Dawało mu to możliwość wydzielenia operatywnej grupy uderzeniowej. Praktycznie w ciągu bardzo krótkiego czasu grupa mogła osiągnąć każdy punkt na Ziemi. To stwarzało duże zagrożenie. Atak mógł nastąpić niespodziewanie i w każdym miejscu.

Armia buntowników ciągnąca na Urru nie liczyła się w tej wojnie. Powolność jej skazywała ją na zagładę. Naczelnym problemem było zaskoczenie Prommeta i zniszczenie jego rakiet.

Zdecydowałem się na zajęcie prowincji Hinndusz. Desant zaskoczył przeciwnika. Bronili się słabo, już po kilku godzinach walki pozostał im tylko punkt oporu w jednej ze świątyń.

Wtedy postawiłem im ultimatum: kapitulacja w ciągu dziesięciu minut albo zostaną zniszczeni bronią jądrową.

Skapitulowali. Wychodzili ze świątyni z podniesionymi rękami i strachem w oczach. Jaka silna jest w człowieku wola życia. Żyć za wszelką cenę, nawet wtedy gdy już nie warto...

Przyprowadzono do mnie ich dowódcę. Wielki, śniady chłop o niespokojnych oczach.

– Jak się nazywasz? – spytałem.

– Ardżuna.

– Stanowisko?

– Zastępca gubernatora prowincji Hinndusz, Jego Wysokości Prommeta.

– Wysoko już zaszedłeś, Ardżuna. Za co tak cię wyróżniono?

– Pomagałem Prommetowi przygotować powstanie.

– Bunt, Ardżuna! Bunt, nie powstanie! – poprawiłem.

– Bunt – powtórzył.

– Co wam za ten bunt obiecał Prommet?

– Mówił nam: „Mogę wam dać wszystko oprócz nieśmiertelności. Dostaniecie ode mnie broń, którą władają bogowie. Będziecie tak potężni jak oni. Ja jestem bóg Prommet, to znaczy: przemyślny. Ukradłem iskrę ognia z rydwanu Słońca. I wam oddam ją we wieczne władanie”.

– Uwierzycie jego słowom?

– Uwierzaliśmy, bo pokazał nam działanie tej broni.

– Mieliście łączność z Prommetem? – spytałem Ardżunę.

– Mieliśmy, ale w czasie walki pocisk rozbił radiostację.

– Czy zawiadomiliście Prommeta o ataku?

– Nie zdążyliśmy.

– Chcesz żyć, Ardżuna?

– Chcę!

– Będiesz więc żył, bo jesteś rozsądnym człowiekiem. Nadasz tylko do Prommeta wezwanie: „Przybywaj natychmiast z pomocą! Lądowisko jest w naszych rękach. Śpiesz się!”

Walczył ze sobą, ale chęć życia przeważyła.

– Co za to dostanę? – spytał.

– Życie! – odpowiedziałem.

– Życie w kamieniołomach?

– Nie, będziesz wolny od winy i kary!

– Nadam to wezwanie – zgodził się już bez wahania.

* * *

Leżeliśmy zamaskowani wokół lądowiska. Od strony miasta dobiegały odgłosy walki. Dymy, łuny pożarów, wybuchy, strzelanina. Wszystko było dopracowane. Prommet nie powinien się zorientować, że to pułapka.

Z dala narastał huk raketowych silników. Lądowały jedna po drugiej. Dziesięć. Wysypali się z raket, formując oddziały. Ruszyli w kierunku miasta. Mogłem ich zniszczyć już w raketach, ale chciałem dostać go żywego. Tylko żywego. Poczekaliśmy, żeby odeszli dalej od raket.

– Ognia! – krzyknąłem do fonomu.

Błysk tysiąca słońc rozbłysł nad lądowiskiem. Pomimo zastosowania specjalnych osłon i okularów, byłem całkowicie oślepiony. Gdy odzyskałem możliwość widzenia, rakiet już nie było. Po lądowisku biegała bezwładna, przerażona ciżba, strzelając na wszystkie strony do niewidzialnego przeciwnika.

– Bomby! – wydałem kolejny rozkaz.

Z dala, z niewidocznych stanowisk huknęły salwy. Pociski pękały nad ich głowami. Nie zabijały, zawierały gaz usypiający.

Założyłem maskę. Widać było, jak fala gazu płynie z wiatrem do naszych stanowisk. Moi ludzie też mieli maski. Tamci bezwładnie padali na murawę lądowiska. Po piętnastu minutach było po wszystkim.

– Zebrać ich broń. Skończyć pozorowanie walki! Oczyszczyć teren! – rozkazałem.

I wtedy ruszyłem na spotkanie Prommeta. Nie interesowała mnie reszta. Dla mnie tylko on istniał, tylko on był mi potrzebny.

Chodziłem po lądowisku zaglądając w twarze leżących. Obok szedł Akk z dwoma żołnierzami. Wiedzieli, kogo szukam. Wielu zasnęło padając na twarz, trzeba było ich odwracać.

Był! Leżał na plecach z szeroko rozrzuconymi rękami. W prawej trzymał miotacz. Akk schylił się, wyjął mu miotacz i wsunął go za swój pas.

– Tak będzie bezpieczniej – orzekł.

– Zrewiduj go, zrób to bardzo dokładnie! Od tej chwili ty odpowiadasz głową za jego życie, bo on na pewno będzie chciał umrzeć. Pilnuj go we dnie i w nocy, zawsze!

– Rozkaz! – odpowiedział Akk.

Miałem już odejść, gdy dopędził mnie żołnierz z meldunkiem.

– Ragonie! – zwołał. – Mam meldunek z prowincji Urru!

Przeczytałem. W pierwszej chwili nie zrozumiałem treści, była absurdalna: „Dziś rano Prommet zaatakował twierdzę Hattuszas. Na skutek dziania broni jądrowej twierdza została całkowicie zniszczona. Zginęło czterystu ludzi, wśród nich Oggo”. Podpisano: Auun.

Oggo nie żyje. Dotarło do mnie dopiero po chwili. Bezmyślnie gapiłem się na meldunek. Nie ma już Ogga. Zniszczono go, nim zaczął się bronić. Może nawet nie miał czasu pomyśleć, że umiera...

Uświadomiłem sobie straszną prawdę, że nie mam już przyjaciół, że pozostałem sam. Ale coś mi jeszcze zostało. Miałem wroga. Pokonanego wroga. Był już czas skończyć tę wojnę. Kazałem nawiązać łączność z Auunem.

Wkrótce wezwano mnie do aparatu. Usłyszałem głos Auuna: – Melduję się z prowincji Urru! Czekam na rozkazy, ragonie!

– Opowiedz mi o zniszczeniu Hattuszas!

– Wyjechałem dzień wcześniej, wieczorem, na inspekcję oddziałów wzdłuż linii obrony. Dlatego ocalałem. Atak widziałem z dużej odległości, był błyskawiczny. Dziesięć rakiet w locie koszącym, skoncentrowało się na twierdzy, nawet mury stopiły się na szkło. Nie mieli żadnych szans obrony, całkowite zaskoczenie. Uważaj, ragonie, aby cię Prommet nie zaskoczył!

– Prommet już nikogo nie zaskoczy – odpowiedziałem. – Rakiety już nie istnieją! – dodałem z mściwą satysfakcją.

– Gratuluję! – odezwał się Auun.

– Teraz kolej na armię Prommeta. Czy za godzinę możesz wysłać swoje rakiety?

– Tak! Oczywiście, że mogę!

– To słuchaj teraz uważnie: Za godzinę twoje i moje rakiety spotkają się nad wyżyną. Tam gdzie trwa przemarsz armii Prommeta w kierunku Urru. Atak z powietrza! Zniszczyć wszystkich! Zrzucić

desant, wykończyć tych, którzy ocaleją! Sprzęt i broń zabezpieczyć lub zniszczyć! Za dwie godziny nie powinno być po nich śladu! Zrozumiałeś?

– Rozkaz! Przystępuję do wykonania.

– Powodzenia!

Pomyślałem, że jestem potężny jak bóg. Te kilkanaście tysięcy ludzi nie wie, że ich czas liczy się już na minuty, że ich los jest już przesądzony. Potężny jak bóg – powtórzyłem w myśli, czując gorycz ironii. Bóg, który może niszczyć, ale nie może tworzyć. Moc zawarta w nienawiści i bezsilność w miłości. Jesteś ułomnym bogiem, Nommo!

Rozmyślenia przerwał mi jeden z żołnierzy

– Co mamy zrobić z jeńcami? – zapytał.

– Odesłać do kamieniołomów!

– A co z Ardżuną?

– Obdarować i puścić wolno!

– Przecież to dwukrotny zdrajca!

– Niby tak, ale pierwszą zdradę odkupił drugą zdradą, a za drugą niech go sędzi jego sumienie!

– Rozkaz! Ragonie!

Skinąłem na Akka. Kiedy zbliżył się, poleciłem:

– Przewieziesz Prommela do pałacu gubernatora. Tam będę czekał!

* * *

Wprowadzili go do komnaty. Ręce miał skute. Oczy błyszczały mu zwierzęcym strachem. Włosy miał mokre od potu, wstrząsały nim nerwowe drgawki.

Skinąłem na żołnierzy, by wyszli. Zostaliśmy sami. Stał pośrodku komnaty, wzrok uciekał mu gdzieś na bok.

Ja patrzyłem na niego zimnym, fachowym spojrzeniem rzeźnika kupującego wieprza na rzeź. Nie wytrzymał napięcia.

– Ojczy! – zaskamlał.

– Zostaw te rodzinne czułości – odparłem. – Nasze przypadkowe pokrewieństwo nie ma w tej chwili żadnego znaczenia!

– Co ze mną zrobisz?

– Bądź spokojny, nie utnę ci głowy i nie obedrę ze skóry. Wiesz dlaczego? Bo byłoby to za łatwe. Zawsze byłeś głodny władzy. Nie wystarczyło ci, że władasz największą prowincją. Ty odczuwałeś głód władzy nad imperium. Twoją przyszłością będzie więc głód. Na zboczach gór Kał-Kus jest stara twierdza. Zostaniesz tam zamknięty i skazany na głód. Głód wszystkiego. Nie masz pojęcia, jak wiele jest rodzajów głodu. To nie tylko głód pokarmu i napoju. Będziesz głodny przestrzeni, bo twoja cela będzie mała; będziesz głodny światła, bo w celi będzie półmrok; blasku słońca, bo nigdy go nie zobaczysz; ciepła, bo cela będzie zimna; dźwięku, bo oprócz swojego głosu innego nie usłyszysz. Kobiety, miękkiego posłania, obmycia brudnego, śmierdzącego ciała; dotyku innego człowieka. Długo mogę jeszcze tak wyliczać, bo wiele jest odmian głodu. A ja cię skazuję na wszystkie jego rodzaje. I nie licz na to, że się wymkniesz. Ja tobie nie będę żałował „nośników”. Będziesz żył długo. Bardzo długo, całe wieki, a może tysiąclecia. A ja będę żył dla ciebie, oceń, jak się poświęcam!

Słuchał i drżał. Dotarło do niego, co go czeka. Twarz mu zzieleniała, na czoło wystąpiły nabrzmiące żyły.

– Za co mnie tak nienawidzisz? – wycharczał.

– Za parę drobiazgów, których byś pewnie nigdy się nie domyślił: za śmierć Gaaji, za zamordowanie Ogga, za zdradę, za wszystkie zawiedzione nadzieje, jakie z twoją osobą wiązałem, za śmierć kilku tysięcy ludzi. Będiesz miał czas o tym wszystkim pomyśleć. Będiesz miał dużo czasu... Straż! – krzyknąłem.

Wszedł Akk z żołnierzami.

– Wyprowadzić więźnia! Ty zostań! – zwróciłem się do Akka. – Jutro zawieziesz go do fortecy w górach Kał-Kus, szczegółowe instrukcje dostaniesz od sekretarza!

– Rozkaz! – odpowiedział.

Gdy otworzył drzwi, zobaczyłem Prommeta ostatni raz w życiu. Stał na korytarzu pomiędzy dwoma strażnikami. Nasze oczy spotkały się, trwało to krótką chwilę, ale zdążył posłać mi spojrzenie pełne nienawiści.

Po godzinie dostałem meldunek od Aunna: „Rozkaz wykonano! Buntownicy zniszczeni! Gratuluję strategii!”

Wojna była skończona, trwała pięć dni. Buntownicy ponieśli druzgocącą klęskę. Taki komunikat usłyszą poddani w całym imperium. Taki lub podobny. Może będzie w nim więcej szczegółów. Liczba zabitych i rannych. Ale nie będzie w nim tego, że największą klęskę poniósł sam ragon. Że w tej pięciodniowej wojnie stracił wszystko, co kochał: żonę, syna, przyjaciela, wiarę, nadzieję i miłość.

Pozostał mu zapas nienawiści i moc niszczenia.

* * *

Wylądowałem jak kiedyś, na plaży. Nic się tu nie zmieniło. Ścięli tylko wierzchołek nadmorskiej skały, aby stworzyć małą platformę. Postawili na niej kwadratowy cokół z polerowanego granitu. Cztery kolumny podtrzymywały granitowy dach. Pod dachem położono marmurowy blok, a na nim osłonięta przezroczystą pokrywą, leżała Gaaja.

Stałem i patrzyłem. Ubrali ją w krótką, zieloną tunikę. Jej talię otaczał pasek ze złotej plecionki z zatkniętym sztyletem. W złote rozpuszczone włosy wpięto jej diadem, lewą rękę podłożono jej pod głowę, prawą oparto na rękojeści sztyletu.

Znowu miała dwadzieścia pięć lat. Spała. Na jej twarzy zastygł kamienny spokój. Nie wyglądała tak, kiedy żyła.

Gaaju! – załkało coś we mnie. – Gaaju, nie rozumiem, kto cię zabił? Ja, Prommet, czy ty sama. Nie rozumiem i nikt mi tego już nie wyjaśni. Mówiłaś kiedyś, na tej wyspie, że zawsze będę pierwszym...

Płacz wydarł mi się z gardła. Niemeński płacz upokorzenia i bólu. I płakałem tak jeszcze długo.

* * *

Czas płynął. Mijały dni, miesiące, lata. Stałem się odludkiem. Starzy przyjaciele unikali mnie, niewielu ich już pozostało.

Auun zajął miejsce Ogga, ale nasze kontakty ograniczały się wyłącznie do spraw służbowych. W moim wielkim pałacu zrobiło się pusto. Często uciekałem teraz na wyspę. Nazwałem ją Wyspą Gaaji. Żyłem przeszłością i wspomnieniami. W przyszłości nie czeka mnie już nic. Może zbuntować się któryś z gubernatorów, może zbudują nowe miasto, nic mnie to już nie obchodziło. Moja

przyszłość była łańcuchem podobnych, szarych dni. Nie mogłem zejść ze sceny życia, byłem więźniem swojej nienawiści.

Któregoś dnia odwiedziła mnie trójka starych przyjaciół, Ayoob, Hiddo i Tuun. Na głowach mieli obręcze z białego tworzywa, które wyglądało jak metal. Na każdej obręczy była przymocowana niewielka półkula.

– Co to, jakaś nowa moda? – spytałem wskazując na ich głowy.

– Nie. To nasz najnowszy wynalazek – wyjaśnił Ayoob. – Rejestrator osobowości. Równoległe z mózgiem zapisuje wszystkie doznania i sygnały. Jego możliwości nie kończą się na tej czynności. Rejestruje również doznania wsteczne, które były już w mózgu zapisane. W razie nagłej śmierci „Nieśmiertelnego” przeprowadzamy transformację z rejestratora do „nośnika osobowości” i po dwóch latach „Nieśmiertelny” powraca do życia.

– W ten sposób „Nieśmiertelni” stali się niezniszczalni – dodał Hiddo.

– Rejestrator też jest praktycznie niezniszczalny – zaznaczył jeszcze Tuun. – Wytrzymuje wysokie ciśnienie i temperaturę, nie tonie, jest odporny na uderzenia, sam się ładuje energią elektryczną. A gdy zginie człowiek, który go używa, nadaje sygnał alarmu na wysokich częstotliwościach pozwalający go odszukać.

– Zapomnieliście, że nie macie zapasowych nośników! – zaatakowałem ich ideę. – Gdy osobowość przetransformujecie w inny nośnik, nie będzie to już ten sam człowiek.

– Nie mamy zapasowych nośników – odpowiedział Ayoob – ale lepiej przez dwa lata nie istnieć, niż nie istnieć na zawsze. W końcu to tylko dwuletnia przerwa, która się nie liczy.

– A skąd weźmiecie komórkę do zapłodnienia?

– Czyż zapomniałeś, że wszyscy „Nieśmiertelni” oddali swoje komórki do „banku”. Leżą już od dawna zmrożone w płynnym helu. Nie mamy więc żadnych problemów. Jeden egzemplarz przynieśliśmy dla ciebie. Warunkiem sprawnego działania jest noszenie go na głowie, na noc można go zdejmować. Noszenie rejestratora nie jest uciążliwe, jest bardzo lekki, można się do niego szybko przyzwyczaić.

– Dziękuję, że o mnie pamiętaliście! – powiedziałem.

Szkoda, że nie wynaleźli tego pięć lat temu. – pomyślałem. Gaaja byłaby ze mną... Czy na pewno? Czy można zatrzymać tych, którzy chcą odejść? Już nigdy się nie dowiem.

* * *

Oficer gwardii wszedł do mojego gabinetu i wyprężył się służbiście.

– Dwie kobiety chcą z tobą mówić, ragonie! – zameldował.

– O co im chodzi? Nie mam czasu! Skieruj je do sekretarza – powiedziałem, nie odrywając oczu od leżących przede mną papierów.

– One twierdzą, że muszą rozmawiać z tobą, sprawa jest podobno wagi państwowej.

– Wprowadź je! – Zdecydowałem.

Znowu mnie zaskoczyły. Gdy oficer otworzył drzwi, wbiegła ich czwórka. Eur, Opa i dwóch pięcioletnich malców.

– Witaj, Nommo! – zawołały jednocześnie, dodając szybko: – Chłopcy, przywitajcie się z tatusiem!

Nim zdążyłem zareagować, Att i Lass już siedzieli na moich kolanach i cmokali mnie w podbródek. Atak był skoncentrowany, z prawej i z lewej flanki, również od frontu.

Co mogłem zrobić? Objąłem i przytuliłem chłopców.

– Witajcie! – rzuciłem chłodno. – Nie przypominam sobie, bym was zapraszał...

– Przybyłyśmy bez zaproszenia! – odpowiedziała jedna z nich. – W rodzinie nie jest to konieczne – dodała.

– W rodzinie, mówicie... – powtórzyłem.

– Chyba nie zaprzeczysz, że jesteście matkami waszych synów?

– Nie zaprzeczam – odparłem, patrząc na malców.

– Jesteśmy więc i twoimi żonami. A ponieważ chłopcy potrzebują już opieki ojca, zamieszkamy razem z tobą.

– Jest u „Nieśmiertelnych” zwyczaj, że ma się jedną żonę.

– Ty możesz mieć dwie. Nikt się nie zorientuje, nie będziemy się razem pokazywać!

Rozbawiły mnie. Miały już po dwadzieścia cztery lata, a w głowach wciąż zwariowane pomysły.

– Słuchaj! – powiedziałem. – Nie wiem, która ty jesteś, czy Eur czy Opa. To w końcu nie jest ważne, bo dotyczy obu. Otóż, aby być rodziną, mężem i żoną, nie wystarczy przypadkowy kontakt seksualny i urodzenie dziecka. Potrzebny jest fundament tego związku, uczucie zwane miłością. Chodzi o psychiczną potrzebę dwojga ludzi, aby być razem. Nie możemy być rodziną co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, ja was nie kocham i nie odczuwam potrzeby waszej obecności. Po drugie, nie jestem w stanie wyobrazić sobie uczuciowego trójkąta.

– Cóż ty wygadujesz! – krzyknęła ta druga. – Przecież my cię kochamy, i to od dziesięciu lat. Przez cały ten czas bardzo chcieliśmy być z tobą, ale jak miałyśmy to zrobić? Miałaś żonę. Teraz jesteś sam i wolny. A to, że nas nie kochasz, jest logiczne. Jak mogłeś nas pokochać, jeśli nas tu nie było? O uczuciowym trójkącie nie warto nawet mówić, kochaj jedną z nas, a my się już podzielimy. Ty twierdzisz, że nie jesteśmy rodziną. Spójrz na swoich synów, oni tak bardzo chcą mieć ojca!

Nie miałem na nie argumentów, dla nich nie było problemów.

Malcy siedzieli grzecznie na moich kolanach. Byli bardzo podobni do siebie i do mnie.. W końcu byłem ich ojcem, nie mogłem ich odrzucić.

– Zostańcie! – wyrwało mi się mimo woli.

W szale radości przewróciły mnie z fotela. Nie mogłem się bronić, ręce miałem zajęte chłopcami. Przestraszeni malcy rozbeczeli się na cały głos. Na podłodze kłębiło się pięć ciał. Ja leżałem na samym dole przygnieciony resztą. Kątem oka zobaczyłem stojącego przy drzwiach oficera, który drapał się w głębokim namyśle po głowie, nie mogąc się zdecydować, czy to, co widzi, jest zamachem na ragona.

Ledwie im się wyrwałem. Silne, zdrowe, wysportowane dziewczyny to już nie dla mnie.

– Słuchajcie! – odezwałem się surowo. – Proszę, abyście w przyszłości swoją radość objawiały w mniej spontaniczny sposób. Takim postępowaniem podważacie mój autorytet. Zrozumiano!

– Zrozumiano! – powtórzyły chórem. – Będziemy zachowywać powagę godną żon ragona.

* * *

Gdy tylko wszedłem do sypialni, zauważyłem, że leży w moim łóżku.

– Która ty jesteś? – spytałem.

– Eur.

– Czegóż więc tu szukasz, Eur?

– Głupie pytanie! Gdzieś słyszałam, że istnieje zwyczaj spania z mężem...

– To głupi zwyczaj! – orzekłem. – Niehigieniczny!

– Nie wykręcaj się, wiesz o co chodzi!

Położyłem się obok niej i odwróciłem plecami, udając, że zasypiam. Szybko przytuliła się do mnie.

– Myślisz pewnie, że my to takie głupie gęsi, co nic nie rozumieją. Wiemy, kogo straciłeś i jak jest ci ciężko. Rozumiemy, że trudno ci się przestawić, bo wciąż tkwisz w przeszłości. Dlatego tu jesteśmy. Chcemy ci pomóc, żebyś zaczął żyć od nowa. Żyć miłością i przyszłością, a nie nienawiścią i przeszłością. Kochamy cię i chcemy, aby nasza rodzina była szczęśliwa. Dla ciebie zrobimy wszystko.

– Eur! Czy ty musisz mówić w liczbie mnogiej?

– Muszę, bo nas jest dwie. Jest to przypadek kliniczny. Słyszałeś o podwójnej osobowości. W jednym ciele dwie różne osobowości. Z nami jest odwrotnie, dwa ciała i jedna osobowość. My z sobą nie rozmawiamy, ona myśli tak samo, i odwrotnie. Ta identyczność istnieje nawet wtedy, gdy jesteśmy daleko od siebie. Identyczna anatomia i identyczne odruchy fizyczne i psychiczne. Jedność w dwóch ciałach. Dlatego jesteśmy tu obie.

– Nie odczuwasz zazdrości?

– Czy można być zazdrosną o siebie?

Pomyślałem, że jest to przypadek bez precedensu. Ale fakt pozostawał faktem.

– Jaka on była? – spytała nagle.

– Piękna i mądra!

– My też jesteśmy piękne, chociaż w innym typie, a mądrość jest niewymierna. Jest to określenie subiektywne, z którego nic nie wynika.

– Bardzo mnie kochasz, Eur? – spytałem.

– Mogę moje uczucia określić jednym zdaniem, bo nie znam innych mierników. Kocham cię jak samą siebie!

– Dlaczego jak samą siebie?

– Każdy jest dla siebie najwyższym dobrem. Jeśli ktoś twierdzi inaczej, po prostu kłamie. Otaczający nas świat, wszystkie sprawy, wydarzenia, sytuacje sprowadzamy do wspólnego znaku równania, którym jest nasze ja.

– Mogłaś powiedzieć, że mnie ubóstwiasz, że tak mnie kochasz, że umarłabyś dla mnie, albo inne takie miłe słowa...

– To są tylko słowa, deklaracje bez pokrycia. W życiu liczą się czyny, a nie słowa. Mówić można dużo. Nie kosztuje to wiele i do niczego na ogół nie zobowiązuje.

– Powiedz mi, skąd się wzięła u was ta sympatia do mojej osoby? Bo czegoś tu nie rozumiem. Właściwie to dzieli nas wszystko, a nic nie łączy...

– To było bardzo dawno, dla nas oczywiście, gdy zobaczyłyśmy cię pierwszy raz. Miałyśmy wtedy po czternaście lat. Zakochałyśmy się w tobie, na śmierć i życie, jak mówią dziewczęta. Do dzisiaj nie wiem dlaczego, w końcu nie wszystko można wyjaśnić. I wtedy to postanowiłyśmy zostać twoimi żonami. Nic w tym spisku nie było sprawą przypadku. Ani to, że przyjechałeś do Tartessos, ani sypialnia, w której spałeś, ani nasze cięższe. Wszystko było przewidziane i wyliczone. Później pozostało nam tylko jedno – czekać. Czekałyśmy na ciebie dziesięć lat. My nie jesteśmy „Nieśmiertelne” i nie chcemy nimi być. Oceń sam, co się bardziej u ciebie liczy: słowa czy czyny?

Odwróciłem się do niej i przytuliłem ją do piersi. Należało się im to za lata wytrwałości. Za stracone dziesięć lat z krótkiego ludzkiego życia.

Budziłem się. Jak zawsze znajdowałem siebie w pracowni Papadukulosa. Obok „fotela” stała jak zawsze Izabela, z filiżanką kawy. Wszystko było normalne, zwykłe. Na pozór.

Coś się jednak we mnie zmieniło. Na granicy przejścia z jednej do drugiej osobowości odczułem wyraźną niechęć i opór przed powrotem do świata realnego. Wolałem zostać tam, w Atlancie!

Natknąłem się na tę misję zupełnie przypadkiem. Lecieliśmy nad krajem Affri w czasie burzy i pilot stracił orientację. Huragan zepchnął stratoplan w głąb kontynentu. Pod nami ciągnęła się bezkresna dżungla. Burza szalała, niebo połączyło się z ziemią. Lecieliśmy tuż nad wierzchołkami drzew, wypatrując miejsca do lądowania. Widoczność był zerowa.

– Wyżej, bo zawadzisz o wzgórze! – krzyczał Auun do pilota.

– Z góry nic nie widzę! – odkrzyknął pilot.

– Z dołu też nic nie widzisz, wzbij się ponad chmury!

– To nic nie da! Przyrzędy nie działają, nie wiem gdzie lecieć!

Właśnie wtedy, w świetle błyskawicy zobaczyliśmy małą polanę w dżungli. Pilot zatoczył koło i zmniejszył wysokość. Teraz widzieliśmy lepiej. Pod nami była polana, a na niej kilka budynków. Wylądowaliśmy.

Do najbliższego budynku było z pięćdziesiąt dzerów. Pobiegliśmy przeskakując co większe kałuże. Wewnątrz było ciemno, ktoś z obstawy zapalił latarkę. Podłużna sala, zastawiona rzędami ław. Ściany lepiące z gliny, bielone wapnem, dach z trzcinowej strzechy. Pod szczytową ścianą coś w rodzaju katedry. Na wprost wejścia ołtarz z symbolem Słońca, a nad nim wielki napis dużymi literami: „Najtrwalsze jest słowo”.

– Gdzie my trafiliśmy? – zdziwił się Auun. – Świątynia jakaś czy szkoła?

– Wygląda na jedno i drugie – odpowiedział Oann, sekretarz.

– Trzeba znaleźć ludzi – odezwał się pilot. – Wtedy dowiemy się, gdzie jesteśmy.

– Auun! Wyślij kogoś, niech poszuka po chatach! – poleciłem.

Rozsiedliśmy się na ławach. Na zewnątrz szalała burza.

Wziąłem od żołnierza latarkę. Na ścianach zauważyłem wiele rysunków. Sama astronomia. Układ Słońca, Syriusza. Rysunki konstelacji widocznych z Ziemi i konstelacji, które były widoczne z Dogonu. Pojedyncze planety z ich satelitami. Co to jest? Do czego i komu to służy?

Oglądanie przerwał mi powrót żołnierza z jakimś człowiekiem.

– Czy wiesz już, gdzie jesteśmy? – spytałem żołnierza.

– Tak! Osada nazywa się Sig i leży na południe od Morza Wewnętrznego. Ale nie wiem, w jakiej odległości. Oni mówią, że dwadzieścia dni drogi. Nie potrafię przeliczyć dni na begadzery.

– Kto tu mieszka?

– Misjonarze cywilizacji. Mała misja. Uczą dzikusów na czarowników.

– Niemożliwe! Musiałeś coś przekręcić!

– Może – zgodził się. – Ich przełożony zaprasza ragona do swego domu. Przysłał tego człowieka, aby wskazał drogę. My mamy pozostać tutaj. Przyniosą nam tu posłanie i żywność.

– Idźmy więc! – powiedziałem do przewodnika.

– Weź eskortę! – krzyknął za mną Auun.

– Nie trzeba! – odparłem przekrzykując burzę.

Nie szliśmy długo, ale przemokłem. Nie pomogła płachta, jaką mnie okrył przewodnik. Zatrzymaliśmy się przed jedną z chat. Izba, do której wszedłem, był dość obszerna. Na palenisku palił się ogień, przy stole siedział wiekowy człowiek w szatach kapłana. Podniósł się na mój widok.

– Witaj, kapłanie! – powiedziałem.

– Witaj, przybyszu! – odpowiedział. – Wejdz i wysusz swe szaty, a i jadłem pewnie nie pogardzisz? Siądź tu przy stole, zaraz przyniosą wieczerzę, ale nie spodziewaj się nic sutego. Skromnie tu u nas. Dawniej lepiej bywało. Od śmierci er-ragona Gaaji zapomniano o nas.

Zaskoczył mnie wspominając Gaaję i jej zainteresowanie tą osadą. Nic jednak nie powiedziałem. Usiadłem przy stole i przyjrzałem się starcowi. Miał już ponad sześćdziesiąt lat, ale krzepko się jeszcze trzymał. Wysoki, o regularnych rysach twarzy, już w pierwszym odruchu budził sympatię. Oczy błyszczały mu inteligencją.

Podano wieczerzę. Kasza jęczmienna z kozim mlekiem, ser i chleb. Skromnie żyją – pomyślałem, ale zjadłem, co podano.

– Kim jesteś, przybyszu? – spytał kapłan, gdy skończyliśmy jeść.

– Jestem Nommo, ragon Atlantu – przedstawiłem się.

– Skąd i dokąd podążasz? Powiedz, jeśli masz ochotę.

– Zabłądziliśmy w czasie burzy. Zgubiliśmy kierunek i wylądowaliśmy tu przypadkiem. Jutro rano odlecimy.

W izbie panowała cisza, tylko ogień trzaskał na palenisku. Za ścianą szalała burza, wiatr w porywach szarpał dachem chaty.

– Bywała tu kiedyś twoja żona. Kiedyś, dawno. To ona założyła tę misję. Była wtedy gubernatorem Affri. Ile to już lat minęło... Zastanowił się.

– Będzie ze czterdzieści, a wszystko pamiętam tak dokładnie...

Wezwała mnie do siebie i powiedziała: „Jesteś mądrym człowiekiem, kapłanie Inno. Słyszałam to z wielu ust. Czy chcesz być przełożonym misji? Uprzedzam, że nie chodzi o dużą misję i uczenie cywilizacji. Ty i czterej kapłani będziecie uczyć dzikich nowej religii”.

„Po co mamy to robić? – spytałem, bo zdziwiła mnie propozycja. – Czyżby rząd zamierzał zmienić obowiązującą religię?”

„Uspokój się – odparła. – Rząd nie zmienia religii, nie o to chodzi. Pomyśl lepiej, co jest najtrwalsze?” – spytała.

„Myślę, że czas” – odpowiedziałem.

„Nie zrozumiałeś mnie. Co jest najtrwalsze z dzieł człowieka?”

„Chyba słowo” – przyznałem po namyśle.

„Masz rację! Najtrwalsze jest słowo. Ono oprze się potędze czasu, ale trzeba mu nadać formę i treść. Formą będzie religia, w jej treści będzie to, co chcemy utrwalić”.

„Cóż chcesz utrwalić?” – zapytałem wtedy.

„Historię przybycia ludzi z Dogonu na Ziemię”.

„A czy trzeba utrwałać ją w ten sposób?”

„Przecucie mówi mi, że trzeba. Czas jest potężny, on zatrze wszystkie ślady. Pragnę, aby nasz ślad na Ziemi oparł się jego niszczącej sile. Dlatego chcę w pamięci dzikich zaszczepić przekaz, naszą historię. Jej nośnikiem będzie religia, którą będą przekazywać z pokolenia na pokolenie. A w jej dogmatach będzie treść, którą chcę przekazać. Czy podejmiesz się tej misji?”

Zgodziłem się, umiała przekonywać. Była mądrą kobietą, urodzoną na boginię i władcę. Już nigdy nie spotkałem podobnej. Od tego czasu uczę dzikusów. Nazywamy ich Dogonami, czyli wtajemniczonymi. Wbijamy w ich łby wiedzę tajemną, z której nic nie rozumieją. Nie muszą rozumieć, nie o to chodzi. Muszą się jej wyuczyć na pamięć, aby przekazali ją następnym pokoleniom czarowników, bo uczymy ich również innych rzeczy, by podnieść ich autorytet w plemienu – trochę medycyny i praktycznych wiadomości ogólnych. Trwa to już czterdzieści lat i będzie trwało do naszej śmierci. Myślę, że swoje zadanie spełnimy; lawina ruszyła, dalej poleci już własnym pędem. Najtrudniej jest poruszyć pierwszy kamień...

– Czy nie zmęczyła cię ta praca? – spytałem, gdy umilkł.

– Przyrzekłem jej, że do śmierci. A ona mówiła, że to jest warte życia!

Posłali mi na szerokiej ławie, nie mogłem zasnąć. Myślałem o niej. Kiedyś powiedziała do mnie: „Czas leczy wszystkie rany zapomnieniem”. Moich nie wyleczył – nie zapomniałem. Miała jakieś przecucie zagłady, kataklizmu? Nigdy mi o tym nie mówiła. Pragnęła ocalić nasz ślad przed działaniem czasu? Nie rozumiałam pobudek jej działania.

Naszej historii uczy się w szkołach już od dwudziestu pokoleń. Opisano ją w książkach. Zarejestrowano na wizji i fonii. Zna je każde dziecko i dorosły.

Pięknie to wygląda i tak powinno dalej być, ale gdyby zdarzyło się z nami to, co spotkało Drugą Cywilizację? Kto wtedy by ocalał? Pewnie o tym myślała Gaaja. Różni mędrcy twierdzą, że historia się nie powtarza, że nie jest to możliwe. A jednak w moim życiu spotkałem się już z dwoma kataklizmami. Niech wszystko pozostanie tak, jak życzyła sobie Gaaja – zdecydowałem.

Rankiem przed odlotem powiedziałem do Inna:

– Dziękuję ci za gościnę i za twoją pracę! Dziękuję w imieniu swoim i jej! Przyślę wam zapasy jedzenia, abyście nie głodowali. Zegnaj!

– Zegnaj, ragonie! – odpowiedział, nie komentując moich słów.

Mijając biały budynek usłyszałem odgłosy lekcji:

– Wychodząc z arki – mówił głos.

– Wychodząc z arki – powtórzył chór.

–*– Nommo postawił stopę na Ziemi!

– Nommo postawił stopę na Ziemi – zabrzmiało jak echo.

Byłem już blisko stratoplanu, gdy chór skandował: – Co oznaczało, że bierze ją w posiadanie!

Miałas rację Gaaju, pomyślałem, że najtrwalsze jest słowo.

* * *

Moje życie rodzinne jakoś się ułożyło. Chłopcy byli inteligentni i zdolni, byłem dla nich wzorem. Starali się we wszystkim mnie naśladować. Miałem już następców. Ich matki potrafiły stworzyć atmosferę rodzinnego ciepła i przyjaźni. Nie było w naszym „trójkacie” problemów, ale w dalszym ciągu nie byłem w stanie ich odróżnić. Ubierały się jednakowo. Powierzchnowa identyfikacja nie był możliwa. Przyjął się między nami zwyczaj, że rozmawiając ze mną podawały swoje imię. Chłopcy też nie identyfikowali matek. Było to dziwne, ale każda z siostr była dla obu matką. Kiedyś zapytałem ich o to.

– Czy wiecie o tym, że nie jesteście bliźniakami?

– Wiemy – potwierdzili.

– Wy tłumaczcie mi więc, dlaczego uważacie za matkę zarówno Eur jak i Opę?

Spojrzeli na siebie i nie wiedzieli, co mają odpowiedzieć.

– One obydwie są naszymi matkami – powiedział Att. – Nie możemy ich odróżnić. Nie wiemy, która którego z nas urodziła. Zresztą nie odczuwamy potrzeby odróżnienia. Gdy mamy jakiś problem, zwracamy się do tej, którą akurat spotkamy. Nie zdarzyło się, by druga była innego zdania lub nie wiedziała, o co chodziło. Po co mamy je odróżniać, jeśli nie jest to możliwe.

Mieli rację, nie było to możliwe. Sam nie mogłem zrozumieć, jak jest z bliźniaczkami. Przeprowadziłem nawet eksperyment. Zamknąłem je w dwóch odległych komnatach. Rozpocząłem rozmowę zjedną, a zakończyłem z drugą. Sprawa była beznadziejna. Każda z nich pamiętała całą rozmowę od początku do końca. One żyły na jednej fali. Nigdy ze sobą nie rozmawiały, nigdy nie miały odmiennych poglądów na dany temat. Życie jednej było życiem drugiej. Miały już po trzydzieści pięć lat. Ja miałem akurat znowu czterdzieści. Namawiałem je na „Nieśmiertelność” –

odmówiły.

– Wystarczy nam jedno życie – tłumaczyły – osiągnęliśmy w nim pełnię swego szczęścia. Po co mamy je przedłużać? Szczęście nie trwa wiecznie, poświęć nam jeszcze dwadzieścia lat, potem zmienisz „nośnik”. Znowu będziesz młody. My, stare kobiety, odejdziemy, aby gdzieś na prowincji dokończyć swoich dni. Będziemy miały co wspominać. Samotne nie będziemy, jesteśmy przecież dwie.

– Jak chcecie – mówiłem – ale to nieładnie zostawiać mnie samego.

– Mamy tylko jedno życie i poświęciłyśmy je tobie – odpowiadały.

Miałem nadzieję, że z czasem rozmyślą się, i dawałem im spokój. Niekiedy odzywały się we mnie wspomnienia. Miałem wtedy „czarne dni”. Bliźniaczki błyskawicznie orientowały się w moich psychicznych stanach, znały mnie, miały już swoje sposoby na moją chandrę. W dzień schodziły mi wtedy z drogi i nie spotykałem ani ich, ani chłopców, ale nocą zawsze któraś dyżurowała w mojej sypialni. Stosowały psychoterapię, najtrudniejszy był początek. Zaczynało się różnie, były w tym dość pomysłowe.

– Napij się, Nommo, zrobiłam świetny napój! – mówiła Eur czy Opa podając mi puchar z apetycznie pachnącym płynem.

Chodziło oczywiście o rozpoczęcie pogawędki, która niezależnie od tematu wyjściowego kończyła się na wspomnianiu przeszłości.

Innym razem proponowała:

– Połóż się, wyglądasz na zmęczonego, zrobię ci masaż!

A potem od słowa do słowa i temat zahaczał o przeszłość. Pozwalały mi wspominać, prowokowały mnie do wspomnień. Słuchały, podtrzymując umiejętnie rozmowę rzadkimi pytaniami lub trafnymi uwagami.

Najlepiej mi się wspominało w trakcie masażu, który kończyły zawsze sakramentalną formułą:

– A teraz zamknij oczy i o niczym nie myśl. Wyobraź sobie, że cię nie ma!

* * *

Kiedy było mi naprawdę źle, leciałem stratoplanem na wyspę Gaaji. Tam się nic nie zmieniało. Czas się zatrzymał. Tak jak przed laty złociła się w słońcu plaża i szumiało morze. Ona leżała na swej skale, w wiecznym śnie zapomnienia, i nie czekała już na nic. Piękna, daleka, obojętna. Siedziałem nieraz godzinami na granitowej płycie jej mauzoleum i patrzyłem na morze, na zachodzące za widnokretem słońce, na gwiazdy, błyszczące w granitowej toni. Patrzyłem też wtedy gdzieś głęboko w siebie. Myślałem o nich wszystkich, byli we mnie, tkwili w mej pamięci, byli moim życiem. Nakładali się w mojej świadomości warstwami przeżyć, sytuacji, zdarzeń. Byli kwintesencją mojego ja.

Już drugi dzień byłem tym razem na wyspie, gdy na horyzoncie zauważyłem zbliżający się stratoplan. Zatoczył koło nad wyspą i wylądował na plaży. Najbliższe otoczenie orientowało się, gdzie co pewien czas znikalem. Nigdy o tym nie mówiłem, ale miejsce moich wycieczek nie było tajemnicą. Musiało zajść coś bardzo poważnego, skoro zdecydowano się mnie tu niepokoić.

Ruszyłem w kierunku stratoplanu. Wsiadł z niego Auun, spotkaliśmy się w połowie drogi.

– Co cię tu sprowadza? – spytałem, widząc jego poważną minę.

– Wojna.

– Z kim?

– Zbuntowały się cztery prowincje: Tartessos, Kamtt, Kofftiu i Affri.

– Czego chcą?

– Chcą, abyś zrezygnował ze stanowiska ragona!

– Przeprowadziłeś mobilizację?

– Mobilizacja jest w toku, ale tym razem sprawa jest trudna.

– Dlaczego?

– Wygląda to tak. W czterech prowincjach oddziały specjalne zostały zaskoczone. Zaatakowano je w jednym czasie. Użyto bomb i granatów usypiających. Jak dotąd żaden człowiek nie zginął. Buntownicy przejęli broń i sprzęt oddziałów. Flota inwazyjna płynie już w kierunku Atlantu. Koncentracja nastąpiła na Morzu Wewnętrznym. Bez przeszkód przepłynęli przez kanał.

– Jak się to stało?

– Fortece Att i Lass zajął Oszuun, posługując się sfałszowanym rozkazem, rzekomo przez ciebie wystawionym. On jest najbardziej aktywny z całej czwórki. Podobno ma osobiste powody.

– Jakże? – spytałem bez zastanawiania się.

– No, sprawa bliźniaczek! – odpowiedział mrużąc oko.

– Dobrze, niech będzie – skwitowałem przechodząc nad tym do porządku. – Mów dalej!

– Mobilizacja idzie niemrawo. Nastąpiły liczne „tajemnicze” awarie jednostek latających.

– Ale można zmobilizować jednostki podległe gubernatorom...

– Niestety, nie można. Przypadkowo wysłali je, w ważnych oczywiście sprawach, właśnie do tych czterech zbuntowanych prowincji. I podobno nie mieli pojęcia, że wybuchł bunt!

– Więc to tak! Zmowa!

– Właśnie tak!

– Możemy zniszczyć ich flotę z powietrza!

– Niestety, w powietrzu mają nad nami dwukrotną przewagę. Flota wprawdzie płynie wolno, ale jest pod stałą osłoną z powietrza. Czuję w tym rękę Oszuuna, to przecież były pilot.

– Będziemy więc bronić wybrzeży Atlantu! – zdecydowałem.

– Nic mądrzejszego i mnie nie przyszło do głowy – przyznał.

– Znosi się na rzeź, Auunie...

– Tak, ragonie. Mogą zniszczyć cały Atlant. Chyba, że wymyślisz jakiś sposób, aby nie dopłynęli do wyspy.

– Nie będzie to takie proste. Wracajmy na Atlant! – orzekłem, kierując się do stratoplanu.

* * *

Stałem pochylony nad stołem z mapą sytuacyjną, pośród oficerów jednostek specjalnych. Rozmyślałem, co można zrobić? Flota buntowników dopłynie do Atlantu wczesnym rankiem. Jak ich zatrzymać? Jak odeprzeć inwazję? Reszta stała i patrzyła na mnie jak na wszechmogącego boga. Tak jakbym sam mógł zatrzymać buntowników. A ja nie miałem żadnego pomysłu, całkowita pustka w mózgu, nic.

– Ile mamy rakiet? – spytałem.

– Niby czternaście, ale tylko cztery są pewne! – odpowiedział Auun.

– Dlaczego?

– Tutaj też buntownicy mają swoich sympatyków. Dolano czegoś do zbiorników z paliwem raketowym. W dziesięciu raketach nie można uruchomić silników.

– Na kogo, w końcu, mogę liczyć? – spytałem z goryczą.

– Tylko na nas – odparł Auun niezbyt pewnym głosem.

O ich wierności też nie byłem przekonany. Co robił wywiad? Dali się podejść? Dlaczego nie było żadnych sygnałów? Czy Auun jest lojalny?

Zacząłem omawiać plan obrony. Rozmieszczenie oddziałów na odcinkach wybrzeża, sprzęt, zaopatrzenie. Cała ta strategia była już beznadziejna w samym założeniu. Teoretycznie inwazję można było odeprzeć, ale za jaką cenę. Obrona miał szansę pod warunkiem, że wszystkie jej ogniwa wytrzymają atak buntowników. Nie wierzyłem, że wytrzymają. Ci ludzie nie chcieli się bić. W końcu, o co?

Chodziło tylko o moją osobę. Będąc przy mnie niewiele już mieli do zyskania, a w przypadku porażki wszystko mogli stracić. Było to tak oczywiste, że bitwa już okazała się przegrana.

Do sali wszedł oficer łączności.

– Ragonie! Buntownicy chcą z tobą mówić! – zameldował.

– Więc porozmawiajmy – zgodziłem się i do podstawionego aparatu powiedziałem: – Tu Nommo. Z kim mówię?

– Oszuun – odezwał się głos.

– Słucham cię!

– Proponujemy ci kapitulację!

– To bardzo uprzejme z waszej strony. A na jakich warunkach?

– Przyślemy parlamentariuszy, omówisz z nimi warunki.

– A jeśli odmówię?

– Sądzę, że masz dość rozsądku, aby nie podpalać własnego domu!

To było to! Olsnienie! Mój mózg skojarzył dwa fakty. Nieprzydatne paliwo raketowe i pożar. Było wyjście, ale potrzebny był czas.

– Jesteś tam? – spytał Oszuun.

– Jestem. Myślę.

– I co wymyśliłeś?

– Przyjmę parlamentariuszy, ale pod pewnymi warunkami!

– Słucham!

– Wasza flota zatrzyma się aż do ich powrotu.

– Zgadzam się – odparł Oszuun po namyśle.

– Ile osób przyślecie?

– Trzy.

– Niech przylecą stratoplanem. Zawieszenie broni liczy się od tej chwili. Daj rozkaz flocie, aby się zatrzymała.

– Zgoda! Spodziewaj się nas za godzinę.

Na twarzach otaczających mnie oficerów zauważyłem zdziwienie, moją zgodę na przyjęcie parlamentariuszy zrozumieli jako wstęp do kapitulacji. Gdy patrzyłem na nich, unikali mego wzroku.

– Mylicie się! – powiedziałem. – Kapitulacji nie będzie. Bitwa jest wygrana.

– W jaki sposób? – zawołał Auun.

– Zaraz się dowiesz. Wszystko w swoim czasie – odpowiedziałem bardzo spokojnie. Mój mózg zaczął znowu pracować. Nie dostaną mnie! Jeszcze nie tym razem! – Jak duże są zapasy paliwa raketowego? – spytałem.

– Dokładnie nie wiem, jest go bardzo dużo. Tu przecież są jego główne magazyny.

– Natychmiast przetransportować do portu cały zapas paliwa!

– Nie rozumiem w jakim celu? – spytał.

– Do portu wpłynie flota buntowników, a wtedy...

Zrozumiał, zbladł.

– Czy nie mamy innej możliwości obrony?

– Niestety nie!

– Pozostaną ich siły powietrzne.

– One pierwsze wpadną w zasadzkę!

Auun siał i rozmyślał, zgarbił się, wzrok utkwił w podłodze.

– Rozkaz – powiedział w końcu, bez entuzjazmu. – Idę wykonać.

Wydałem polecenia dotyczące przyjęcia parlamentariuszy. Gdy wylądują, należy przewieźć ich bezpośrednio do mnie i pilnować, aby się z nikim nie kontaktowali. Wyzaczyłem na ich eskortę zaufanych oficerów gwardii. Również środki łączności obsadziłem gwardzistami, wydawali mi się najbardziej lojalni. Żadna wiadomość nie mogła być przekazana z Atlantu.

Parlamentariusze przybyli w oznaczonym czasie. Przewodniczył im Oszuun. Eskorta doprowadziła ich do mojego gabinetu.

– Siadajcie! – Wskazałem im krzesła. – Możemy zaczynać!

– Nikogo więcej poza tobą nie będzie? – spytał Oszuun.

– Nie, nie będzie. Sprawa dotyczy wyłącznie mnie! Słucham, co proponujecie?

– Bezwarunkową kapitulację! – odpowiedział Oszuun.

– Sądziłem, że będziemy mówić o warunkach kapitulacji.

Przez bezwarunkową kapitulację rozumiemy, że zrzekniesz się stanowiska ragona, oddasz Atlant i wszystkie oddziały tu stacjonujące.

– Skromne żądania! A co chcecie zrobić z moją osobą?

– Obejmiesz urząd gubernatora prowincji.

– Której?

– Tej, którą sobie wybierzesz?

– Co stanie się z rodziną i osobistym majątkiem?

– Rodzina i majątek pozostaną przy tobie. Są twoją własnością.

– A prawo „Nieśmiertelności” dla mnie i mojej rodziny?

– Odmawiamy!

– Prommet?

– Zostanie uwolniony.

– Nie podobają mi się te warunki!

– Nie masz wyboru!

– Jeszcze jestem ragonem, jeszcze nie przegrałem wojny!

– To fakt, że jeszcze nie przegrałeś, ale szansę masz zerowe! Możesz jedynie doprowadzić do zniszczenia Atlantu. Do tej pory unikaliśmy rozlewu krwi, ale gdy spotkamy się z oporem.. Po bitwie, jeśli ją przeżyjesz, postawimy cię przed sądem!

– Grozicie mi!

– Nie musimy, taka będzie logika faktów!

– Muszę się zastanowić. Proszę o pół godziny przerwy.

– Zgoda!

– Każę przynieść wam coś do jedzenia i picia – powiedziałem wychodząc. Nie miałem zamiaru kapitulować. To była gra na czas.

Chciałem maksymalnie przeciągnąć rozmowę. Pułapka, jaką przygotowywałem, nie miała nic wspólnego z uczciwością, ale oni też zaatakowali mnie podstępnie. Zorientowałem się, w jakim stadium są przygotowania do obrony, i wróciłem do parlamentariuszy.

– W podanych przez was warunkach są dwa punkty, których nie mogę przyjąć!

– Jakże? – spytał Oszuun.

Zauważyłem, że tylko on rozmawia, pozostali uparcie milczą.

– Dotyczące „Nieśmiertelności” i Prommeta.

– Co proponujesz? – spytał Oszuun.

– Z „Nieśmiertelności” mogę zrezygnować, ale wyłącznie na korzyść moich synów i pod warunkiem, że odziedziczą po mnie prowincję. Natomiast Prommet ma pozostać tam, gdzie jest!

– Musimy się naradzić – odpowiedział Oszuun.

– Dobrze! Wrócę tu za kilka minut.

Gdy wróciłem znowu, Oszuun oświadczył:

– Zgadzą się na twoje poprawki!

– Wobec tego przystąpmy do sporządzenia umowy.

– Najpierw spisujemy akt kapitulacji i rezygnację ze stanowiska ragona.

– A moje zabezpieczenie?!

– Określimy je w oddzielnej umowie.

– Jaką mam gwarancję dotrzymania przez was umowy?

– Podpiszemy ją w imieniu własnym i trzech pozostałych przywódców powstania.

Ich podpisy nic nie gwarantowały. Gdybym dotrzymał warunków kapitulacji, zdałbym się na ich łaskę. „Ten, za kim stoi siła, ma rację”, mówiło stare dogońskie przysłowie. Bezbronny, nie miałbym nic do powiedzenia. Po godzinie podpisaliśmy wszystkie dokumenty.

– Kiedy chcecie zająć wyspę?

– Jak najszybciej!

– Macie już plan przekazania?

– Jeszcze nie. Może ty masz jakąś propozycję?

– Proponuję, by wasza flota wpłynęła do portu, a w tym samym czasie jednostki powietrzne wylądowały na lądowisku.

– Dlaczego w tym samym czasie?

– Chodzi o moich żołnierzy, Większość z nich nie będzie zadowolona z kapitulacji, mogą was zaatakować. Postaram się ich odciągnąć od portu i lądowiska. Kiedy chcecie lądować?

– Za cztery godziny.

Kapitulacja była podpisana. Pułapka zastawiona. Pozostało czekać.

Szedłem właśnie do sali strategicznej, gdy drogę zastąpił mi Wottan. Był bardzo zdenerwowany, czułem, że z trudem panuje nad sobą.

– Nommo! – zawołał. – Mam bardzo ważną sprawę!

– Teraz nie mogę z tobą rozmawiać! – odparłem zniecierpliwiony. – Nie czas na to, mamy wojnę!

– Wiem o tym, ale wiadomość, którą chcę ci przekazać, dotyczy losu nas wszystkich. Całego Atlantyku.

– Jeśli to takie ważne, chodź do mojego gabinetu – powiedziałem. A kiedy siadłem już z biurkiem naprzeciw Wottana, zaznaczyłem: – Mogę ci poświęcić tylko kilka minut.

– Mam straszną wiadomość. Za dwie godziny wszyscy zginiemy, cały Atlantyk.

– Przesadzasz! – odparłem, myśląc o inwazji. – Nie martw się. Sytuacja nie jest aż tak tragiczna!

– O czym ty mówisz? – spytał ze zdziwieniem w głosie.

– O grożącej nam inwazji!

– Niestety, nie o to chodzi. Za dwie godziny spadnie na Atlantyk ciało kosmiczne! Z przestrzeni kosmosu leci w stronę Ziemi planetoida, nastąpi kataklizm w skali całego globu. Nasza wyspa

przestanie istnieć.

– Jak duża jest ta planetoida? – spytałem, nie wierząc do końca w to, co słyszę.

– Ma średnicę około dziesięciu begadżerów, objętość proporcjonalną do średnicy i odpowiednią masę.

Teraz dopiero uświadomiłem sobie siłę jej uderzenia i rozmiar katastrofy. Historia się jednak powtarza – pomyślałem.

– Dlaczego nie zawiadomiłeś mnie o tym wcześniej? Na dwie godziny przed kataklizmem jest na wszystko za późno!

– Nie mogłem cię zawiadomić, bo nie wiedziałem! Posłuchaj! Ta planetoida krążyła wokół Słońca po bardzo wydłużonej orbicie. W swym punkcie przysłonecznym zbliżała się do Słońca na odległość mniejszą niż planeta Tho. Płaszczyzna orbity planetoidy była pod niewielkim kątem nachylona do Ziemi. Od czasu do czasu następowało zbliżenie tych dwóch ciał do siebie. Tym razem Ziemia w swym ruchu wokół Słońca znalazła się na skrzyżowaniu dróg. Nastąpiło złączenie się Edy ze Słońcem i Selem. Cztery ciała niebieskie znalazły się w linii prostej. Zaczęła działać siła przyciągania, która zmusiła planetoidę do zbroczenia z dotychczasowej orbity. Wyjątkowe usytuowanie Edy i Selu spowodowało, że pod wpływem ich sił przyciągania orbita planetoidy uległa w swym ostatnim odcinku większemu zakrzywieniu i planetoida zderzy się z Ziemią. Dlatego nie mogłem przewidzieć tego wcześniej.

– Nie ma pewności, że akurat spadnie na nas!

– Niestety, komputer obliczył, że akurat dokładnie na nas!

– Rozumiem, że to będzie koniec Atlantu?

– Tak, Nommo!

– Co można zrobić? – zastanawiałem się głośno. – O ewakuacji nie ma mowy. Tylko cztery rakiety zdolne są do startu. Można w nich uratować niewielką grupę ludzi. I jest to wszystko, co możemy zrobić, nic więcej.

– To niewiele, prawie nic – przyznał Wottan.

– Niestety, w sytuacji buntu, inwazji, nawet przy naszej technice w ciągu dwóch godzin nie można zrobić nic więcej.

Wstałem i z ciężkim sercem podeszedłem do drzwi.

– Sprowadź tu szybko Auuna, moje żony i synów! – poleciłem pełniącemu wartę gwardziście.

Pierwszy wszedł Auun. Przywitał się z Wottanem i usiadł.

– Czyżby jakieś zmiany w planie obrony? – zapytał.

– Będą zmiany i to zasadnicze! – odparłem.

Po chwili weszły Eur i Opa z chłopcami.

– Za niespełna dwie godziny – zacząłem wtedy z drzeniem w głosie – spadnie na Atlant ciało kosmiczne, planetoida. Nastąpi całkowita zagłada. Atlant przestanie istnieć, cała Ziemia odczuje skutki tego kataklizmu. Nic już nie możemy zrobić, na jakiegokolwiek działania brak jest czasu. Mamy cztery rakiety... – Zwróciłem się do Auuna: – Zbierz grupę młodych ludzi, mężczyzn i kobiety, zabierz też moje żony i chłopców. Lećcie na orbitę, przeczekacie kataklizm nad Ziemią!

– A ty? – spytał.

– Ja zostaję! Mój czas minął!

– Zostajemy z tobą! – krzyknęły nagle bliźniaczki.

– Po co? Macie szansę przeżyć!

– Zostajemy! Auunie, zaopiekuj się chłopcami!

– Ruszaj więc, Auunie. I działaj tak, aby nikt się nie zorientował, nie należy wzbudzać paniki.

Lepsza jest nieświadomość swego losu.

Auun wstał i podszedł do chłopców.

– Pożegnajcie się z rodzicami! – powiedział do nich.

Przypadli do mnie, przygarnąłem ich do piersi w ostatnim ojcowskim pocałunku. Rozbeczeli się.

– Bądźcie mężczyznami – upomniałem ich – tak trzeba, chłopcy!

Pchnąłem ich w objęcia matek. Obsypani pocałunkami, ukradkiem ocierali łzy, podobnie jak Eur i Opa.

– Musimy już iść! – Auun przerwał to pożegnanie. – Zegnaj, ragonie! Zegnajcie – zwrócił się do bliźniaczek i Wottana.

– Żegnaj, Auunie! Odprowadziłem ich do drzwi i kazałem gwardziście przynieść chronodżer. Czas znowu płynął wolno, siedzieliśmy bez ruchu, pogrążeni w myślach. Z odrętwienia wyrwało nas dopiero wejście gwardzisty, który przyniósł chronodżer.

– Nastaw go, Wottanie – poprosiłem. – Ty wiesz, kiedy nastąpi czas zero.

Wottan wyjął z kieszeni kartkę i sprawdził czas na zegarze. Uruchomił aparat. Po chwili ciepły głos kobiety płynący z aparatu oznajmił: – Minus osiemdziesiąt siedem.

– Czas na mnie. Wottan podniósł się z krzesła. – Idę do swoich.

– Czy wiedzą? – spytałem.

– Nie. Tak jest łatwiej – odparł.

– Minus osiemdziesiąt pięć – odezwał się głos.

Pomyślałem, że jest podobny do głosu Gaaji.

– Dlaczego nie chciałyście odlecieć z Auunem? – spytałem bliźniaczki.

– Nommo, nie bądź dzieckiem – odpowiedziała jedna z nich. – Przeżyliśmy z tobą nasze szczęście.

Czy warto żyć dla samego życia?

– Jest to kwestia indywidualnej filozofii – zauważyłem.

Podszedłem do okna, miasto spało. Ostatnia noc i ostatni sen tego miasta. Jego przeznaczenie nie przewidywało następnego świtu. Jego czas się dokonał.

Za horyzontem płynie flota buntowników. Płyną po zwycięstwo, są już blisko. Tak jak nas, czekała ich klęska i śmierć. Tylko że dla nich nic się nie zmieniło.

– Minus siedemdziesiąt – powiedział głos.

Ostatnie siedemdziesiąt minut Trzeciej Cywilizacji, pomyślałem. Czy coś po nas zostanie? Co z naszych dzieł na tej planecie przetrwa kataklizm? Może nic. Nie, to niemożliwe. Ktoś przeżyje, musi zostać jakiś ślad. Może Dogoni? Gaaja miała przeczucie.

– Minus pięćdziesiąt.

Ciszę nocy rozdarł ryk raketowych silników. Wystartowali, może ci ocaleją... Może będą nasieniem Czwartej Cywilizacji...?

Bliźniaczki opuściły mnie na chwilę i wróciły do gabinetu z dzbanem wina i pucharami.

Jedna z nich podała mi puchar mówiąc:

– Wypij, Nommo, to nektar zapomnienia. Ambrozja.

Wypiliśmy patrząc na siebie. Potem podeszły i przytuliły się do mnie. Tak, to była ambrozja, ale nie dawała radości, młodości i nieśmiertelności. Była nektarem umierających bogów.

– Minus trzydzieści – oznajmił głos.

Usiedliśmy w trójkę na sofie, objąłem ich szyje rękami, one nigdy nie miały problemów, nawet z własną śmiercią. Usypiały, tuląc się do mnie.

– Minus dwadzieścia.

Jednocześnie przestały oddychać. Miały to już za sobą.

Czułem też narastającą senność, ogarniała mnie noc, broniłem się.

Spojrzałem w okno, czerń nocy zmieniła się w czerwień.

– Minus dziesięć – powiedziała Gaaja.

Przez okno wpłynął strumień czerwieni. Szła po nim Gaaja, wyciągała do mnie ręce, uśmiechała się i coś do mnie mówiła.

Nie rozumiałem. Zauważyła to, bo powiedziała głośniejsze.

– Minus pięć.

Wtedy moją świadomość porwała fala czerwieni i rozumiałem, że odpływam.

W otchłani czerni była dziura. Wdarły się przez nią głosy. Męczyła mnie rozmowa prowadzona w nieznanym mi języku.

– Otchłań powinna być szczelna! – krzyknąłem oburzony.

Głosy na moment zamilkły. Już byłem przekonany, że otchłań się zasklepiła, gdy głosy wybuchły nową kaskadą dźwięków.

– Panie Burns! Panie Burns!

Otworzyłem jedno oko. Uprzytomniłem sobie, że leżę w łóżku. Obok niego stało dwóch ludzi w białych fartuchach. To oni hałasowali.

– Dlaczego tak krzyczycie? Nie jestem głuchy! – powiedziałem otwierając drugie oko.

– Nareszcie! – zawołał ten wyższy.

– Co nareszcie?

– Obudził się pan, po trzech dobach.

– Tak długo spałem?

– Nie spał pan. Stracił pan przytomność.

– Gdzie jestem?

– W klinice, na oddziale neurologicznym. Jesteśmy lekarzami.

– Bardzo mi przyjemnie panów poznać! – Wyciągnąłem do nich rękę. – Jestem pacjent Burns!

– Pan już żartuje, to świadczy o dobrym samopoczuciu.

– Mam do panów prośbę.

– Słuchamy!

– Proszę kazać podać mi obiad i moje ubranie.

– Obiad zaraz załatwimy, ale z ubraniami będzie trudniej

– Czy skradziono moją garderobę?

– Nie! Po prostu jeszcze nie możemy wypuścić pana z kliniki.

– A gdzie jest moja żona?

– Jest tutaj w sąsiednim pokoju. Śpi. Czuwała przy panu przez dwie doby.

– Proszę więc jej nie budzić.

– Oczywiście, niech odpoczywa. Była bardzo zmęczona.

– Jak długo tu pozostanę?

– Jeszcze nie wiemy, co panu dolega. Najpierw musimy przeprowadzić niezbędne badania.

– Ja wiem, co mi dolega.

– Co?

– Nic! Jestem zupełnie zdrowy!

– Nie traci się na trzy doby przytomności, gdy jest się zdrowym.

– W tym przypadku nie ma to nic do rzeczy.

– Podejrzewamy, że jednak coś panu dolega. Nigdy nie ma skutków bez przyczyny.

– Ja znam przyczyny.

– Może je pan nam podać?

– Niestety, nie mogę!

– Trudno, będziemy szukać sami. Naszym obowiązkiem jest panu pomóc.

– Wobec tego rezygnuję z leczenia! – oświadczyłem kategorycznie. – Chcę jak najszybciej opuścić klinikę!

Podniosłem się na łóżku i przez chwilę tak siedziałem. Nie miałem zawrotów głowy.

– Niech pan jeszcze to przemyśli – powiedział lekarz.

– Naprawdę nie ma się nad czym zastanawiać. – odparłem, wstając z łóżka. – Proszę mnie zaprowadzić do żony!

Spała w pokoju lekarzy. Twarz miała szarą, zmęczoną, pod oczami sińce. Biedna Izabela, pomyślałem, martwiła się o mnie.

– Kiedy zasnęła? – spytałem lekarza.

Spojrzał na zegarek. – Prawie cztery godziny temu.

– Muszę ją obudzić, wyśpi się w hotelu. Izabelo! – zawołałem dotykając jej ramienia.

Obudziła się i usiadła na kanapie.

– Tom! – rzuciła po chwili.

– Wracamy do hotelu – oznajmiłem. – Trzeba tylko załatwić związane z tym formalności.

– Nie chcesz zostać w klinice?

– Nie widzę potrzeby, jestem zupełnie zdrowy.

Nie nalegała, po godzinie jechaliśmy taksówką do hotelu.

– Co się tam stało? – spytała.

– Koniec Atlantu. Na wyspę spadła planetoida, wszyscy zginęli. Ja też. Uratowało się zaledwie kilkanaście osób.

– Rozumiem, przeżyłeś wstrząs!

– Tak, stąd utrata świadomości.

– Bardzo się przestraszyliśmy!

– Przykro mi.

– Może już zrezygnujesz?

– Nie, wytrwam do końca. Tam nie może być już nic dramatycznego.

– Boję się o ciebie!

– Teraz się nie bój, najgorsze mam za sobą.

Z hotelu zadzwoniłem do Papadukulosa. Ucieszył się, że nic mi już nie dolega. Gdy zaproponowałem ostatnią transmisję, trochę się wykręcał, był wyraźnie przestraszony, ale w końcu zgodził się. Ustaliliśmy termin: za dwa dni.

* * *

Co w tym zapisie może być, jeśli wszystko się skończyło? – myślałem, gdy Papadukulos przypinał mnie do „fotela”.

Przejście było łagodne. Wszedłem w inną osobowość, ale nie byłem pewny, czy jestem Nommem. I tak, i nie. Jakby jakiś konglomerat osobowości, występujący równolegle, mojej i jego – nie było to ostre ani podzielone. Sceneria też była dziwna. Byłem na piaszczystej pustyni, przed niewielką świątynią. Wokół, jak daleko sięgał wzrok, była pustka. Pośrodku białej kolumnady świątyni wznosił się ołtarz, na którym leżała czarna kula. To było wszystko. Białe kolumny, czarna kula, żarzące się Słońce i ja. Wszedłem pomiędzy kolumny i powoli zbliżałem się do ołtarza. Drgnąłem lekko, gdy usłyszałem za sobą głos zadający mi pytanie:

– Skąd przybywasz?

Odwróciłem się w kierunku głosu. Stał przede mną starzec w długiej białej szacie. Jego twarz, długa biała broda i włosy były mi znane. Już gdzieś widziałem tego człowieka. Przypominał mi kościelne malowidła. Nagle skojarzyłem. On jest podobny do Boga Ojca, pomyślałem.

– Stamtąd! – wskazałem w kierunku horyzontu.

– Czego szukasz? – spytał.
– Prawdy absolutnej – odpowiedziałem – sam nie wiem dlaczego.

– Nie ma prawdy absolutnej. Prawd jest wiele.

– Czy ty jesteś bogiem? – zapytałem.

– A któż to jest bóg?

– Istota, która wszystko może.

– Co znaczy: wszystko może?

– To znaczy, że jest źródłem wszystkich możliwości, nieskończonych i nieograniczonych.

– Ale przecież wszystko ma początek, koniec i granice. Nie, nie jestem bogiem.

– To może jesteś filozofem?

– Kto to jest filozof?

– Ktoś, kto dąży do poznania istoty, struktury i zasad bytu. Do zrozumienia prawd ogólnych.

– Wiele jest bytów i wiele prawd – odparł, wzruszając ramionami. – Rozsiane w czasoprzestrzeni, w przenikającej się mnogości światów rodzą się i umierają, aby ustąpić miejsca innym. Istnieją krótko, przez mgnienie oka, i nie warto się nimi zajmować.

– Ja mówię o ludzkim bycie.

– Nic mi ten termin nie mówi.

– Czy nigdy nie słyszałeś o człowieku? To kim ty jesteś?

– A czy każdy wie, kim jest? Podobno jestem pamięcią.

– Wieczną pamięcią?

– Co znaczy: wieczną?

– To znaczy taką, której czas i przestrzeń nie są ograniczone. Wieczność, jest czymś, co nie miało początku i nie będzie miało końca.

– Już ci mówiłem, że wszystko ma początek i koniec.

– Tak, mówiłeś, ale to jest kwestia skali, punktu odniesienia, porównania z określonym wzorcem.

– Z jakim wzorcem chcesz porównać wieczność?

Nie miałem porównań, więc nic mu nie odpowiedziałem. To wszystko było jakieś nierealne, nierzeczywiste. Dziwny jest ten zapis, pomyślałem.

– Do czego służy ta czarna kula? – spytałem.

– Ona jest pamięcią

– Mówiłeś, że ty jesteś pamięcią.

– Tak mówiłem, ale ona jest mną, a ja jestem nią.

– Czyli, gdy ciebie nie ma, to i jej nie ma.

– Nie, to nie tak. Gdy jej nie ma, to i mnie nie ma, ale gdy ona jest, ja nie muszę być.

– Jesteś jej tworem?

– Tak

– A ona czym jest tworem?

– Ona nie jest tworem. Ona jest kwintesencją wszystkiego: czasu, przestrzeni i bytu. Są w niej zawarte wszystkie prawdy i wszystkie wymiary, światy i przestrzenie, to co jest, co było, co będzie.

– W tak małej kuli? – spytałem z powątpiewaniem.

– Wymiar jest pojęciem względnym. Sam mówiłeś, że to kwestia skali, punktu odniesienia, porównania z określonym wzorcem.

– Czy można ją o coś zapytać?

– O co?

– Chcę wiedzieć, co było po kataklizmie, który zniszczył Imperium Atlantu. Co było potem?

– Poproś ją, może się zgodzi.

– Jak?

– W myślach, skoncentruj się!

„Czarna Kulo, która wszystko możesz, kwintesencjo czasu, przestrzeni i bytu, spraw, abym zobaczył powierzchnię Ziemi po kataklizmie...” – wniosłem w myślach modlitwę.

* * *

Zawirował mój świat, zakrzywiła się przestrzeń, zmienił się czas. Szybowałem nad powierzchnią Ziemi, unoszony jakąś niezrozumiałą siłą. Pode mną ciągnęła się ruina planety. Przesunęła się oś ziemską, zmienił klimat, brzegi lądów i oceanów, zginęła większość zwierząt. A ludzie? Gdzie są ludzie? Kto będzie budował Czwartą Cywilizację?

Obniżyłem lot. Leciałem kanonem rzeki. Z otworu jaskini wyszedł człowiek. Ubrany był dziwnie, na podartą szatę naciągnął surową niedźwiedzią skórę. Schylił się i podniósł z ziemi nieudolnie wykonaną maczugę. To ma być jeden z twórców przyszłej cywilizacji, pomyślałem. Aż dziwne, że zaczynamy zawsze od jaskini i maczugi!

A może... Błysnęła mi nadzieja. Może ocalała wyspa Gaaji? Przyspieszyłem lot. Znalazłem się nad oceanem, tam gdzie był kiedyś Atlant. Widziałem kilka obcych mi wysp, ale wyspy Gaaji nie było. Gaaja! Gaaja! – łkało coś we mnie.

„O, Czarna Kulo, kwintesencjo czasu, przestrzeni i bytu – zacząłem się znowu modlić – w której zawarte są wszystkie prawdy i wymiary, światy i przestrzenie. Ja, nędzny robak, nędzny byt ludzki, błagam cię o łaskę: Spraw, abym przeżył jeszcze jeden dzień z Gaają!”

Zawirował świat, zakrzywiła się przestrzeń, zmienił się czas.

* * *

Leżeliśmy na złotej plaży bezludnej wyspy. Morze, piasek, słońce, ona i ja. Uprzytomniłem sobie jednak, że nie jestem Nommem, a Tomem Burnsem! Ale kim jest ta dziewczyna, Gaają?

– Kim jesteś? – spytałem.

Nie zdziwiło jej to pytanie. Uśmiechnęła się.

– Jestem tą, którą chciałeś widzieć! – odpowiedziała.

– Ale ja nie jestem Nommem, nazywam się Tom Burns.

– Ładnie brzmi twoje imię – stwierdziła, znowu się uśmiechając.

– To jak będzie z nami? – spytałem.

– Nie wiem. Ty jesteś Tomem Burnsem, ale jest w tobie pamięć osobowości Nomma. Ja byłam Gaają, ale moja pamięć poszerzyła się o inne wymiary.

– Nie jesteśmy już sobą?

– Sobą jesteśmy zawsze, nie jesteśmy takimi jak wtedy, gdy ty byłeś Nommem, a ja Gaają. Mamy już inne wcielenia i inny byt.

– Wiesz, że kataklizm zniszczył Atlant? Nic po nim nie pozostało, nawet ślad.

– Wiem o tym – odparła – ale sądzę, że ślad pozostał.

– Dogoni?

– Nie tylko Dogoni, zabezpieczyłam też inne ślady.

– Jakie?

– Nie, nic ci nie powiem, ty należysz już do innego świata. Nie mogę zakłócać twojej

rzeczywistości!

Podniosła się i ruszyła w stronę oceanu. Stała na styku lądu i wody i długo patrzyła na skraj horyzontu. Obserwowałem ją. Czy ona jest Gaają? Była jakaś inna, obca. Zewnętrznie taka sama jak kiedyś, ale różniła się od tamtej sposobem bycia, formułowaniem zdań, czymś nieuchwytnym a rozdzielającym, niewidzialną barierą.

– Gdzie my jesteśmy, Gaaju? – spytałem, gdy wróciła do mnie.

– W twoim mózgu.

– To znaczy, że nie ma tu nic rzeczywistego?

– Nic prócz ciebie.

– Czy można mieć aż tak plastyczną wyobraźnię?

– To sprawa techniki.

– Więc ty nie istniejesz?

– Istnieję w twojej świadomości.

– Masz rację, wszystko jest względne.

– Jednak przekonałem cię!

– Tak – przyznałem, kładąc jej rękę na biodrze. – Przekonałaś mnie. Ale nie ze wszystkim się zgadzam.

– Na przykład?

– Wiem, że jesteś Gaają. Czuję twoje żywe ciało, Kocham cię i pożądam, a nie mogę się do ciebie zbliżyć. Dlaczego?

– Bo wiesz, że nie żyję. Jest to zapisane w twojej świadomości i nie można tego wymazać. To właśnie ta obcość i ta bariera, która nas dzieli.

– Ty znasz moje myśli?!

– Znam, bo jestem ich tworem.

– Jestem już zmęczony, chcę wrócić do mojego czasu i przestrzeni.

– Wyobraź je sobie, a stanie się, jak zechcesz.

– Żegnaj, Gaaju! – rzuciłem, wyobrażając już sobie pracownię Papadukulosa.

* * *

Zaskoczyłem ich swoim przebudzeniem. Emisja nie trwała nawet piętnastu minut.

– Co się stało? – pytał Papadukulos.

– Nic! Po prostu zapragnąłem, aby się już skończyło!

– Zmęczyło cię?

– Tak! Już nie ta osobowość i nie ta historia. Jakiś konglomerat dwóch osobowości, sam nie wiem...

– Na czym to polegało?

– Wariacje własnej wyobraźni.

– Ciekawe, jak to osiągnęli? – zainteresował się.

– Nie wiem. Emitowany sygnał modelujesz własną wyobraźnią. Oczywiście w zakresie posiadanych informacji. Z tym, że są wyzwalane również informacje z podświadomości.

– Interesujące!

– Możliwe, ale tylko z technicznego punktu widzenia. Sama emisja pozostawia pewien niesmak.

– Dlaczego?

– Jest to dziwaczne, teatralne. Zdajesz sobie sprawę ze sztuczności tych sytuacji.

- Może jest to sprawa indywidualnego odbioru?
- Może – zgodziłem się na koniec. Miałem już dość tych dywagacji.

Zbieraliśmy się już do odejścia, gdy Papadukulos poprosił:

- Tom, zostaw mi obręcz jeszcze na jakiś czas.
- Po co?
- Chcę nad nią popracować, interesują mnie pewne szczegóły techniczne.
- Dobrze – zgodziłem się – trzymaj ją do soboty.
- Trzy dni, trochę krótko...
- Nie mogę dłużej. W niedzielę rano odlatujemy. Przyjdę po nią w sobotę wieczorem.
- Dzięki i za to.
- To do soboty – rzuciłem wychodząc.

Izabela wyszła chwilę przede mną i kiedy otwierałem drzwi, zobaczyłem, że stoi nieruchomo na ścieżce prowadzącej do bramy. Przed nią, w odległości trzech metrów, siedział cybernetyczny pies. Właśnie płynną francuszczyzną wygłaszał pogadankę o szkodliwości palenia papierosów. Widziałem, że była przerażona i nic z tego nie rozumiała.

Co za idiota! – pomyślałem. – Trzymają się go naprawdę głupie kawały.

Wróciłem do Papadukulosa z pretensjami: – Co za kretyńskie kawały urządzasz! Zidiociałeś na starość, żeby tak straszyć kobiety! Natychmiast wyłącz psa!

Wyglądał jednak na kompletnie zaskoczonego.

– O co ci chodzi? Nie rozumiem...

– Twój cybernetyczny pies przed domem napastuje Izabelę!

– Niemożliwe! – zawołał i wybiegł z sali. Nie trwało długo, gdy wrócił ze słowami: – Bardzo cię przepraszam, coś mu się rozregulowało, pewnie jakieś przebicie. Muszę go jutro przejrzeć.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, psa już nie było. Izabela stała jednak jak wryta.

– Przestraszył cię? – spytałem.

– On był niesamowity, jak koszmar. Już jego wygląd mnie sparaliżował, a gdy zaczął mówić po francusku o tym paleniu, myślałam, że zwariowałam. Co to było, Tom?

– Cybernetyczny pies. Maskotka Papadukulosa. Podobno nawet śpiewa operowe arie, ale coś się w nim popsło, bo pojawił się tam samowolnie, bez zgody swojego pana...

W taksówce Izabela zaproponowała:

– Powinniśmy uczcić zakończenie eksperymentu. Może zaprosisz mnie do restauracji, mam ochotę się napić...

– Dobry pomysł, ale wobec tego szkoda, że nie zabraliśmy naszego geniusza.

– Chcę być tylko z tobą. Zresztą nie lubię go, on jest taki dziwny...

Dopiero gdy koniak zaczął działać, Izabela się rozluźniła.

– Tom – powiedziała. – Cieszę się, że mamy ten eksperyment już za sobą. Nie masz pojęcia, jak się o ciebie bałam!

– W końcu okazało się, że nie był on tak bardzo niebezpieczny.

– Teraz tak mówisz, sam też się bałeś.

– Masz rację! Bałem się, ale nie żałuję, że się zdecydowałem. Warto było. Znam teraz całą historię Atlantu.

– Jako jedyny człowiek na Ziemi?

– Wszystko opublikuję, przewrócę historię cywilizacji do góry nogami. Obręcz jest konkretnym dowodem. W świecie nauki wybuchnie rewolucja, jakiej jeszcze nie było.

– Aż się tego boję – przyznała Izabela. Zamyśliła się, a po chwili patrząc mi w oczy spytała: – Czy

była tam kobieta?

– Była – odparłem.

– Zdradzałeś mnie z nią?

– Ależ, Izo! Bądź rozsądna! Przecież to nie byłem ja!

– Może i nie ty – odpowiedziała, ale wiedziałem, że nie była przekonana.

* * *

W sobotę wieczorem stałem przed „fortecą” Papadukulosa i od dobrych dziesięciu minut bezskutecznie przyciskałem dzwonek.

Pewnie gdzieś wyszedł, pomyślałem.

Postanowiłem, że wrócę tu za godzinę. Powłóczyłem się trochę krętymi uliczkami Aten oglądając wystawy sklepów. W końcu wstąpiłem do najbliższego lokalu na kieliszek wina. Stary Grek za barem próbował od razu nawiązać rozmowę, ale ja nie znałem greckiego, a on angielskiego. Uśmiechnąłem się więc do niego, bezradnie rozkładając ręce.

Kiedy wróciłem pod „fortecę”, nic się nie zmieniło. Papadukulos nie otwierał. Zaniepokoiłem się. Przeczucie mówiło mi, że coś się tam stało, a ja musiałem odebrać obręcz. Rankiem odlatywaliśmy z Aten. Wyjąłem z kieszeni plan miasta, by odszukać najbliższy komisariat policji. Był dwie ulice dalej, przy Kalipoleos.

Dyżurny policjant znał tylko ojczysty język. Rozkładał bezradnie ręce i coś zawile mi tłumaczył. Wreszcie po dwudziestu minutach „konwersacji” wpadł na pomysł, aby przywołać kogoś władającego zrozumiałym dla mnie językiem. I po kolejnym kwadransie do biura wkroczył niski, krępy brunet w średnim wieku.

– Jestem porucznik Gryvas – odezwał się po angielsku. – Proszę mówić, o co chodzi!

– Nie mogę dostać się do domu przyjaciela. Jestem pewien, że nie wyjechał, podejrzewam, że stało się coś złego. Proszę o interwencję policji. Jestem bardzo zaniepokojony.

– Gdzie mieszka ten pana przyjaciel?

– W pobliżu komisariatu, przy ulicy Kapaneos.

– Jak się nazywa?

– Dymitrios Papadukulos.

– Proszę o pański paszport! – Obejrzał go dokładnie, sprawdził ważność wizy. Zwracając, zaznaczył: – Możemy otworzyć zamki, ale wyłącznie na pana odpowiedzialność!

– Zgadzam się!

– Najpierw spisujemy protokół zgłoszenia.

Po tych formalnościach ruszyliśmy w trójkę, z policyjnym ślusarzem, na ulicę Kapaneos.

Otworzenie zamka nie było łatwe nawet dla policyjnego fachowca. Dopiero po półgodzinnych manipulacjach ślusarz otworzył zamek furtki. Weszliśmy na plac przed budynkiem. W laboratorium na piętrze paliło się światło. Na parterze nie zastaliśmy nikogo. Weszliśmy na piętro. Gryvas otworzył drzwi do laboratorium Papadukulosa i znieruchomiał. Spojrzałem w głąb nad jego ramieniem. Laboratorium było zdemolowane, jakby przeszedł przez nie huragan. Na podłodze leżała porozbijana w drobny mak cała aparatura łącznie z wszelkim sprzętem. Oszołomieni patrzyliśmy przez chwilę na ten kataklizm. W końcu weszliśmy do środka.

Papadukulos leżał za laboratoryjnym stołem. Był zmasakrowany, z jego ran wyciekła na podłogę kałuża krwi. Widać było, że długo walczył, nim został pokonany. I to chyba przez kilku napastników.

Gdzie może być moja obręcz? – zastanawiałem się gorączkowo. Zacząłem rozglądać się po

laboratorium.

– Proszę niczego nie dotykać! – zastrzegł Gryvas.

Nie było to już potrzebne. Sam już rozumiałem, że obręcz zniknęła. Przełknąłem ślinę, coś mnie dławilo w gardle. Druga zagłada Atlantu... Teraz już nic nikomu nie udowodnię! Schyliłem się, aby zajrzeć pod stół.

– Prosiłem, aby pan niczego nie dotykał! – powtórzył z wymówką w głosie Gryvas. – Zaraz będzie tutaj grupa dochodzeniowa, musimy wszcząć śledztwo! Jestem zmuszony zatrzymać pana jako świadka.

– Dobrze, ale najpierw zadzwonię do żony.

– Proszę, niech pan dzwoni.

Izabela czekała chyba przy telefonie, bo od razu podniosła słuchawkę. Musiała się już mocno niepokoić. Opowiedziałem jej przebieg wypadków.

– To znaczy, że jutro nie odlecimy? – spytała.

– Niestety. Śledztwo będzie trwało na pewno kilka dni, a ja jestem jedynym świadkiem.

– Rozumiem! Odwołam rezerwację biletów.

– Tak będzie najlepiej.

– Trzymaj się, Tom! – dodała cicho. – Pamiętaj, że masz jeszcze mnie.

– Dziękuję ci, Izo! – powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Do laboratorium wkroczyła grupa dochodzeniowa. Policijni eksperci rozbiegli się wokoło jak mrówki. Błyskały flesze, zdejmowano odciski linii papilarnych, sporządzano plan sytuacyjny. Zwykła proceduralna kolejność. Zabrano zwłoki Papadukulosa na sekcję. Obręczy nikt nigdzie nie znalazł.

– Czy denat miał krewnych? – spytał mnie Gryvas.

– Nie mam pojęcia, nigdy o nich nie wspominał. A co do tej pory ustalono? – teraz ja wypytywałem Gryvasa.

– Wygląda na napad rabunkowy – odparł. Znaleźliśmy na murze ślady po zaczepach drabiny. Prawdopodobnie przyszli nocą i działali z za skoczenia. Szkoda, że nie trzymał psa, wtedy by go tak nie zaskoczyli.

– Miał psa, ale elektronicznego, który się akurat zepsuł – wyjaśniłem.

– Interesujące, z czymś takim się jeszcze nie zetknąłem – przyznał Gryvas. – A kim denat był z zawodu?

– Inżynierem elektronikiem, cybernetykiem, a tak poza tym geniuszem techniki – dodałem. A w myśli stwierdziłem, że znowu ubył je den z tych, którzy tworzą nowe.

– Gdzie pan mieszka? – pytał dalej Gryvas, a kiedy podałem adres, zaznaczył: – Proszę nie wyjeżdżać do zakończenia śledztwa.

– Dobrze, ale mam nadzieję, że nie będziecie tego przeciągać, bo kończy mi się urlop.

– Postaramy się załatwić wszystkie formalności jak najszybciej – obiecał.

Wsiadłem do taksówki i kazałem się zawieść do hotelu. Działalem jak w transie.

Izabela jeszcze nie spała, czekała na mnie.

– Czy mamy coś mocniejszego do picia? – spytałem.

– Mamy jakiś koniak – odpowiedziała, zaglądając do lodówki.

Nalała dwa kieliszki. Uniósłem jeden, patrząc przez złocisty płyn, i wzniosłem toast:

– Wypijmy, Izabelo, za fatum, które zaległo nad Atlantem. Wypijmy za los, który zniszczył Imperium w przeszłości i ślady jego istnienia w naszych czasach!

Wypiliśmy. Nalałem po raz drugi.

– A teraz za człowieka, który przerósł swą epokę, Dymitriosa Papadukulosa!

Kiedy wypiliśmy, nalałem po raz trzeci.

– Wypijmy jeszcze raz, bo Bóg trójcę lubi, jak mówią Rosjanie. Wypijmy za to, że nie będzie rewolucji w historii ludzkiej cywilizacji, i w dalszym ciągu będą uczyć dzieci w szkołach, że na początku był płot, a pod płotem Pan Bóg ustawił glinianego Adama, żeby wysechł...

– Może jednak trochę przesadzasz – próbowała mnie pocieszyć Izabela. – Przecież masz coś o Atlantycie.

– Praktycznie nic! Zostały taśmy z relacjami nagrywane bezpośrednio po transmisjach. Trochę zdjęć, których autentyczności nie da się udowodnić, bo fotografowany obiekt „wyparował”. I jednego osobnika z rozdwojoną osobowością. Mogę sobie dać z tym spokój...

* * *

Słońce zachodziło. Za kilka minut miał nastąpić zmrok. Siedziałem na tarasie hotelu Imperial w San Sevara, nad morzem Tyrreńskim. Mała urocza miejscowość około sześćdziesięciu kilometrów od Rzymu. Było ciepło, druga połowa czerwca.

Z Aten odlecieliśmy w tydzień po śmierci Papadukulosa. Następnego dnia po jego pogrzebie. Skromny był to pogrzeb, prosta sosnowa trumna i cztery osoby. Izabela, ja i dwóch panów z wieńcem. Na szarfię wieńca napis: „Odchodzącemu Przyjaciele”. Nie rozmawialiśmy z tymi panami, ograniczyliśmy się do wymiany sztywnych ukłonów.

Wtedy to ogarnęła mnie apatia. Nie mogłem się z niej otrząsnąć, pozbierać. Czułem, że Atlant tkwi ciągle we mnie, w świadomości i podświadomości, wspomnienia nakładają się na rzeczywistość.

Siedząc na tarasie hotelu Imperial i popijając aperitif też to czułem. Byłem sam. Izabela załatwiała wypożyczenie samochodu. Rankiem mieliśmy jechać do Voltery i San Gimignano. Zapatrzyłem się w aleję wysadzaną palmami, na jej końcu topiło się w morzu słońce. Tak samo jak wtedy, pomyślałem. Teraz powinna zjawić się Gaaja i powiedzieć: „Chodź, Nommo, pobiegamy po plaży...”

– Witaj, ragonie! – odezwał się nagle ktoś obok.

Spojrzałem w tym kierunku. Przy moim stoliku stał Oggo.

– Witaj, Oggo! – odpowiedziałem zaskoczony.

– Czy mogę się przysiąc? – zapytał.

– Proszę!

Nic się nie zmienił, jak dawniej jego twarz wyrażała stanowczość i energię, jak dawniej patrzył na mnie stalowoszarymi oczami, w których czaiły się błyski ironii.

– Co słysząc u ciebie, Nommo? – zagadnął.

– Nic ciekawego. Ożeniłem się, jesteśmy tu na wycieczce.

– Wiem! – odparł.

– Wiem, że wiesz, ale nie wiem, po co pytasz?

– Trzeba od czegoś zacząć...

Poza plecami usłyszałem nagle głos Izabeli:

– Z kim ty rozmawiasz, Tom?

Podniosłem się z krzesła.

– Wy się jeszcze nie znacie – powiedziałem. – To jest Oggo, a to moja żona Izabe...

Urwałem widząc, że Izabela patrzy na mnie dziwnie. Spojrzeniem, w którym daje się wyczytać ból i rozpacz.

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[1. 3](#)

[2. 24](#)

[3. 37](#)

[4. 45](#)

[5. 56](#)

[6. 64](#)

[7. 73](#)

[8. 79](#)

[9. 93](#)

[10. 102](#)

[11. 115](#)

[12. 127](#)